



JADWIGA COURTHS-MAHLER



Kto zawinił?

Pod biało-niebieskimi markizami rozciągniętymi nad tarasem dworku Hagenau dwaj mężczyźni siedzieli wygodnie w wiklinowych fotelach i w milczeniu palili cygara, śledząc smużki dymu wirujące nad ich głowami.

Podziwiali przepiękny widok: w tle szczyty Alp Bawarskich, nieco bliżej zielone płachty ukwieconych łąk poprzeplatane równymi prostokątami obsianych już pól, a u stóp dworku pięknie urządzony park.

Posiadłość niedawno kupił Holender, doktor Hendrik van der Straaten, blondyn z niebieskimi oczami i mocno opaloną twarzą. Był naukowcem. Siedział teraz na tarasie ze swoim przyjacielem Niemcem, Rüdigerem Lersingenem, również naukowcem.

Młody Niemiec wyglądał na nieco starszego, poważniejszego i bardziej doświadczonego. Na pierwszy rzut oka mógł się wydawać oschły i wyniosły, ale spojrzenie szarych, łagodnych oczu wyraźnie temu przeczyło.

Obaj przyjaciele przekroczyli niedawno trzydziestkę i byli pełni młodzieńczego zapału. Każdy z nich miał już za sobą pewne przeżycia. Van der Straaten, jedyny syn bogatego holenderskiego fabrykanta, chciał zostać przyrodnikiem. Bez najmniejszych kłopotów ukończył jeden z niemieckich uniwersytetów. Ojciec zamienił swoje przedsiębiorstwo w spółkę akcyjną, pozostawiając sobie większość udziałów. Za pozostałe pieniądze kupił na Sumatrze ogromną plantację, którą powierzył zaufanemu zarządcy. W ten sposób Hendrik mógł spokojnie studiować i nie musiał się zajmować sprawami ojca.

Gdy zdobył dyplom doktora, ojciec wkrótce zmarł. Potem wybuchła wojna. Na cztery lata Hendrik stracił kontakt ze swoim najlepszym przyjacielem. Odnaleźli się dopiero po zakończeniu wojny. Obaj zamieszkali w domu van der Straatenów w Holandii.

Lersingen ciężko przeżył lata wojennej tułaczki, wiele wycierpiał. Choć był rówieśnikiem Hendrika, wyglądał poważniej.

W starym patrycjuszowskim domu w Amsterdamie, będącym własnością rodziny przyjaciela od kilku pokoleń, młody Niemiec szybko odzyskał siły i równowagę psychiczną, a studencka przyjaźń beztróskiego Hendrika i doświadczonego Rüdigera na nowo okrzepła i jeszcze się pogłębiła. Wkrótce przyjaciele zaczęli wspólnie organizować wyprawę geologiczną na Nową Gwineę. Hendrik podejrzewał, że tamtejsze góry mogą zawierać złotonośne minerały.

Ekspedycja trwała dwa lata. Zebrano bardzo bogaty materiał naukowy, wymagający dalszego opracowania w laboratoriach europejskich. W drodze powrotnej obaj przyjaciele zatrzymali się na kilka miesięcy na Sumatrze w posiadłości van der Straatenów. Hendrik zainteresował się plantacją i najchętniej pozostałby tam na stałe, ale uznał, że wydanie wraz z Rüdigerem pracy naukowej z geologii jest ważniejsze.

Wrócili do Holandii, a wkrótce przenieśli się do Bawarii, gdzie Hendrik kupił posiadłość Hagenau wraz z dworkiem przypominającym zamek. Holender uwielbiał góry. Uznał, że tu, z dala od miejskiego zgiełku, znajdzie wraz z przyjacielem najlepsze warunki do opracowania zebranego materiału.

Ostatni właściciel dworu, Georg von Hagenau, popadł w straszliwe długi i gdy zmarł, jego wierzyciele wystawili posiadłość na sprzedaż. Żona i córka nie mogły temu zaradzić i tylko dzięki wspaniałomyślności Hendrika nie utraciły dachu nad głową.

U stóp wzgórza, na którym stał dworek, rozciągał się park, na którego skraju zbudowano kiedyś osobny domek przeznaczony dla wdów i samotnych członków rodziny von Hagenau. Miał on oddzielne wejście, choć z trzech stron był otoczony dworskim parkiem.

Hendrik uzgodnił z dotychczasowym zarządcą dworu, że domek ten zostanie udostępniony pani von Hagenau i jej córce, za co starsza pani była mu niezwykle wdzięczna.

Nowy właściciel sprowadził się niedawno, więc nie miał jeszcze okazji poznać wszystkich mieszkańców posiadłości, w tym także panny von Hagenau. Postanowił dłużej już z tym nie zwlekać i właśnie dzisiaj zamierzał złożyć wizytę obu paniom w ich nowym mieszkaniu.

— Muszę wreszcie znaleźć chwilę czasu, bo powiedzą, że jestem nieokrzesany — rzekł do przyjaciela i westchnąwszy głęboko, wstał z fotela.

Rüdiger strząsnął popiół z papierosa i uśmiechnął się:

— Wiem, że boisz się tej wizyty. Ciągle ją odkładasz.

— Czuję się dziwnie winny, jakbym tym kobietom wyrządził krzywdę, jakbym był intruzem, który wyrzucił je z rodzinnego domu.

— Drogi Hendriku! Twój konkurent do Hagenau z pewnością nie miałby żadnych skrpułów. Myślę, że obie panie są ci bardzo wdzięczne, że to ty kupiłeś dwór i pozwoliłeś im zostać.

— Poważnie?

— Oczywiście! Stary zapis, przyznający domek wdowie po poprzednim właścicielu, dotyczył tylko członków rodziny von Hagenau. Ty zaś nazywałeś się van der Straaten i kupiłeś

całą posiadłość wraz z domkiem dla wdów. Jeżeli postąpiłeś jak jeden z rodziny von Hagenau, to zrobiłeś to dobrowolnie. Wcale nie musiałeś.

— Uważam, że nie mogłem postąpić inaczej. Chciałbym się cieszyć nowym nabytkiem, a gdybym te dwie bezbronne kobiety zostawił na pastwę losu, nigdy nie czułbym się tu szczęśliwy.

Lersingen uśmiechnął się:

— Czy podpisałeś się także pod innymi zobowiązaniami tej umowy sprzed wieków?

— A jak myślisz? Kobiety mają prawo zbierać owoce z przydomowego ogrodu. Na własne potrzeby będą dostawały z dworu mleko, masło i jaja. Z każdej zabitej świni dostaną część mięsa, a oprócz tego także zapas ziemniaków. Mogą też kupować wszystko, co potrzebują, u zarządcy dworu, ale po cenie niższej, którą ja ustalę.

— Módl się tylko, żeby nie puściły cię z torbami! A może chcesz, żebym poszedł z tobą? Miałbym okazję też się przedstawić.

— Nie, daj spokój! Krępowałbym się przy tobie, wysłuchując hymnów pochwalnych na moją cześć. Pójdiesz z wizytą kiedy indziej. Do zobaczenia później!

— Trzymaj się, Hendriku. Pojeżdżę teraz konno.

— Przyjemnej zabawy. Tylko wróć przed obiadem!

Hendrik ruszył przez łąkę i park w stronę domku, a Rüdiger kazał osiodłać konia.

Przed domkiem na skraju parku rozmawiały dwie młode kobiety. Jedna z nich ubrana była w zgrabny góralski strój. Spod kapelusza wymykały się jej pukle złocistobrązowych włosów, połyskujących metalicznie na słońcu. Szafirowoniebieskie oczy uśmiechały się wesoło, gdy rozmawiała z przyjaciółką oparta o furtkę w żywopłocie okalającym domek.

Druga, równie szczupła jak ta pierwsza, ubrana była w prostą lnianą niebieską sukienkę przepasaną szarym fartuszkim. Kasztanowe włosy i brązowe oczy lśniły, jakby płonęły w nich iskierki słońca.

Wyciągnęła teraz dłoń do przyjaciółki:

— Dziękuję ci, Malwinko, za wizytę. Doceniam, że zechciałaś przyjść także teraz, gdy z mamą musimy mieszkać w tak skromnych warunkach.

— Co by to była za przyjaźń, Dani, gdyby nie wytrzymała takiej próby?

Daniela von Hagenau objęła swoją rozmówczynię.

— Masz rację, Malwo. Prawdę mówiąc, liczyłam na ciebie. Biegnij już, bo nie zdążysz na obiad i twój srogi opiekun cię zbeszta.

Malwina westchnęła.

— Tak, muszę pędzić. Nie chcę też przeszkadzać ci w pracy. Jestem pełna podziwu, Dani, że tak szybko odnalazłaś się w nowych warunkach i masz tyle zapału. Przyszłam podtrzymać cię na duchu, ale widzę, że nie ma potrzeby.

— Wierz mi, że tego nie oczekiwałam. Byłabym zupełnie szczęśliwa, gdyby tylko mama potrafiła się pogodzić z tą sytuacją. Ja jestem zadowolona, że tak się stało. Nawet sobie nie wyobrażasz, co przeżyliśmy w ciągu tych kilku lat przed śmiercią ojca. Ciągła niewiadoma. Widziałam, jak bankructwo zbliżało się wielkimi krokami i mimo nadludzkich wysiłków nic nie było w stanie go powstrzymać. Ja zaś musiałam odgrywać komedię i udawać, że w Hagenau wszystko jest w najlepszym porządku. Dla mnie było to upokarzające. Dziś nikomu nic nie jesteśmy dłużne — nawet nie wiesz, jaka to ulga. Nie czekam na podliczenie odsetek od hipoteki, nie martwię się, czy starczy pieniędzy na wypłatę dla ludzi... Żadnych kłopotów! Zatrzymałyśmy tylko starą Walburge, ale na jedną pokojówkę możemy sobie pozwolić. A nasz domek jest naprawdę piękny. Nie sądzisz?

— Wspaniale go urządziłaś, Dani.

— Meble już tu były. Musiałam je tylko trochę odświeżyć, głównie ze względu na mamę. Popatrz na ogród, Malwinko, na te szpalery drzew brzoskwiniowych. Wiesz, ile pieniędzy zarobię, gdy sprzedam owoce w Monachium? Są tak smaczne, że ludzie je kupią, nie patrząc na cenę. Walburga kupiła od zarządcy cztery kury i koguta, to na początek, a gdy stado się powiększy, zacznę sprzedawać jaja. Na własne potrzeby dostaniemy wszystko ze dworu, jednak pieniądze też się przydadzą, chociażby na drobne zakupy. Z czasem urządzę tu nowoczesną fermę, zobaczysz. Muszę, oczywiście, uzyskać zgodę pana van der Straatena, bo bez niej nic nie zrobię.

Malwina Bertram ujęła Danielę von Hagenau za rękę:

— Chętnie ci we wszystkim pomogę, Dani.

— Nie, Malwo! Wiesz dobrze, że od nikogo pomocy nie przyjmę, nawet od ciebie!

— Zapomniałam o twojej dumie, Dani, ale powiedz mi: rozmawiałś już z panem van der Straatenem?

— Mówi się: „z doktorem van der Straatenem"! Nie, nie widziałam go. Nigdzie nie wychodzę, bo po prostu nie mam czasu.

— A on nie mógł przyjść?

— Po co? Nie będzie się przecież nami zajmować. Tak czy inaczej muszę go kiedyś zaczepić na drodze, bo jeszcze mu nie podziękowałam, że nie zostawił nas bez dachu nad głową.

— Nie mógł tego zrobić. Jest przecież zapis! Na twarzy Daniela pojawił się cień niepewności.

— Z tym zapisem to wcale nie tak. Prawdę mówiąc, Malwo, ten zapis jest nieważny. Doktor van der Straaten kupił Hagenau z całym dobytkiem i zapłacił za wszystko. Nasz zarządca zataił treść tego dokumentu i podsunął nowemu właścicielowi do podpisania wszystkie papiery, które ten bez mrugnięcia okiem zaakceptował, nie mając pojęcia, że zapis dotyczący domku dla wdów zobowiązuje tylko członków rodziny von Hagenau. Pan van der Straaten wspaniałomyślnie zgodził się także go przestrzec. Czy miałam mu powiedzieć, że nie musi tego robić? Czy miałam pozbawić mamę dachu nad głową? Nie mogłam tego zrobić. Sama jakoś bym sobie poradziła. Mam wyrzuty sumienia, ale muszę dalej milczeć.

— Ależ, Dani! Któż śmiałyby żądać, żebyś zrzekła się praw, które on przecież uznał?

— Wiem, że nikt tego nie zrobi oprócz mnie samej. Dopóki jednak mama żyje, będę się męczyć tą myślą, ale nikomu nie powiem.

— Nie powinnaś się tym przejmować. Muszę już jednak iść. Zrobiło się późno.

— Pozdrów ciotkę i twojego opiekuna.

— Dzięki. Ucałuj też mamę ode mnie.

Objęły się na pożegnanie. Malwina Bertram szybkim krokiem przeszła łąkę i ścieżką wśród pól ruszyła w stronę wąwozu, który rozdzielał dwie niebotyczne góry. Po drugiej stronie wąwozu znajdowała się posiadłość Franza Marlitzza, opiekuna Malwiny, który po śmierci jej rodziców zajął się wychowaniem bogatej nieletniej krewnej swojej żony. Z Hagenau do Lindenhof trzeba było iść przez wąwóz dobre pół godziny.

Daniela mogła wrócić do przerwanej pracy. Założyła rękawice, chroniące jej piękne, smukłe ręce, wzięła ze stołu szpulę sznurka i idąc wzdłuż szpaleru brzoskwiniowych drzew podwiązywała gałęzie obwieszane już gęsto owocami. Wesoło przy tym podśpiewywała.

Nie usłyszała, kiedy po miękkiej, parkowej murawie nadszedł Hendrik van der Straaten. Stał nieopodal i przyglądał się uroczej dziewczynie, jakby patrzył na sielski obraz znanego mistrza.

Dziewczyna miała gęste kasztanowobrzazowe włosy oplecione wokół głowy i choć była ubrana po wiejsku, Hendrik nie miał wątpliwości, że spotkał damę. Podeszedł jeszcze bliżej, a ona odwróciła się i spojrzała mu odważnie w oczy. Oboje stali tak przez chwilę, nie wiedząc co powiedzieć. Hendrik odezwał się pierwszy.

— Przepraszam panią. Nazywam się van der Straaten. Chciałbym odwiedzić panią von Hagenau.

Daniela uśmiechnęła się niewyraźnie.

— Mogłam się domyślić, że jest pan nowym właścicielem Hagenau. Proszę wejść, mama na pewno się ucieszy — rzekła, zdejmując rękawice.

— Z kolei ja się domyślam, że mam zaszczyt rozmawiać z panną von Hagenau.

— Tak, panie doktorze. Bardzo mi miło pana poznać. Dziękuję przy okazji za wszystko, co pan był łaskaw dla nas zrobić.

— Och, spełniłem tylko warunki umowy — bronił się przed komplementami.

Daniela otworzyła niską furtkę w żywopłocie. Hendrik wszedł do ogrodu i stanął obok niej. Był co najmniej o głowę wyższy od dziewczyny, która patrząc mu odważnie w twarz, uśmiechała się wesoło.

Ucieszył się bardzo, że jest w pogodnym nastroju, bo idąc z wizytą obawiał się wyrzutów ze strony poprzednich właścicielek dworu.

— Naprawdę nic więcej pan nie zrobił? — spytała, mrużąc oczy, a Hendrikowi mocniej zabiło serce.

— Nic poza zobowiązaniami. Proszę, nie mówmy na ten temat, gdyż to mnie krępuje. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że jestem tu intruzem.

Popatrzyła na niego zdziwiona i uśmiechnęła się znowu.

— Zatem nie przyjmuje pan moich podziękowań? Widzę, że muszę poczekać na sposobniejszą chwilę. A zmieniając temat: pan jako Holender doskonale mówi po niemiecku. Gdzie nauczył się pan naszego języka?

Hendrik odetchnął z ulgą.

— Dziękuję za komplement. Po pierwsze: moja matka była Niemką, po drugie: studiowałem na niemieckim uniwersytecie, a po trzecie: mam przyjaciela Niemca, który jest jakby moją drugą połową. Jak w tej sytuacji nie mówić doskonale po niemiecku.

— Mimo wszystko nie mogę wyjść z podziwu. Ale proszę wejść do domu. Zaraz zawołam mamę.

Uklonił się, nie mogąc oderwać oczu od dziewczyny. Weszli do niedużego salonu umeblowanego biedermeierami.

— Proszę usiąść. Mama zejdzie do pana.

Wyszła, a on, odprowadzając ją wzrokiem, pomyślał: Co za cudowna istota!

Po chwili zjawily się obie z matką. Daniela zdjęła fartuszek, pozostając jednak w skromnej, lnianej sukience.

Pani von Hagenau wyglądała jak typowa arystokratka. Zmęczona, blada i zboląta twarz nosiła wyraźne ślady ostatnich trosk i przeżyć.

Podala Hendrikowi rękę mówiąc:

— Bardzo się cieszę, panie doktorze, że zechciał nas pan odwiedzić. Niech mi wolno będzie raz jeszcze za wszystko podziękować.

Pocałował ją w rękę i nie mogąc ukryć zażenowania, spojrział ukradkiem na Daniellę.

— Nie dziękuj, mamo, panu doktorowi, bo jak już zdążył mi powiedzieć, bardzo go to krępuje — powiedziała dziewczyna z uśmiechem.

Usiedli wszyscy troje, a Hendrik opowiadał o sobie, udzielając odpowiedzi na wszystkie pytania pań.

— Urodziłem się w Holandii, a mimo to zawsze ciągnęło mnie w góry. Pewnie miłość do gór odziedziczyłem po matce, która pochodziła z okolic Allgäu. Ucieszyłem się, mogąc tu zamieszkać, ale radość mąci mi ciągle świadomość, że zmusiłem panie do opuszczenia dworu.

— Ależ, panie doktorze! Niech się pan nie zadrecza, bo my naprawdę jesteśmy zadowolone, że to pan kupił naszą posiadłość, a nie pański konkurent, ten nieokrzesany grubianin. Dzięki Bogu, że go pan przelicytował. On z pewnością wyrzuciłby nas od razu.

— Nie miałyby prawa tego zrobić, szanowna pani. Przecież zgodnie z zapisem mogą tu panie pozostać.

— Być może, ale miałybyśmy z nim ciężki żywot. Muszę dziękować Bogu, że pozwolił panu wygrać. Szczerze mówiąc, gorąco modliłam się o to. Niech się pan nie gniewa, że znowu wracam do tego tematu, ale przeżyłyśmy tak trudne chwile, że wciąż nie mogę się uspokoić.

— Teraz mama już i tak trzyma się dzielnie — wtrąciła Daniela uśmiechając się.

— A pani nie była nigdy załamana, panno von Hagenau? — spytał Hendrik, próbując żartować.

— Niestety, panie doktorze. Były chwile, że omal nie pękło mi serce. Bardzo źle się czuję wiedząc, że jestem komuś coś winna. Teraz nareszcie pozbyłyśmy się wierzycieli, nikomu nie jesteśmy winne ani feniga i co najważniejsze, mamy dach nad głową.

— Rozumiem, że są panie zadowolone.

— I to bardzo!

— Czy niczego wam tu nie brakuje?

— Niczego? O nie! To byłaby przesada. Mam pewne plany i już się szykowałam, aby je z panem omówić.

— Postaram się pomóc, o ile będę mógł. Proszę więc śmiało przedstawić mi wszystkie życzenia, a jeżeli uda mi się je spełnić, będę bardzo szczęśliwy.

Daniela nerwowo splotła dłonie.

— Marzy mi się stworzenie wokół domku prawdziwej fermy. Chciałabym wykorzystać każdy skrawek ziemi. Oprócz brzoskwiń mogłabym uprawiać warzywa i hodować kury. Służąca kupiła już cztery kury i jednego koguta, a ja jeszcze nie spytałam pana o zgodę.

— O zgodę? — uśmiechnął się. — Przecież domek należy do pań!

Daniela zawahała się przez chwilę. Powinna mu wyjaśnić pomyłkę i powiedzieć, że kupił także prawo do domku, ale ze względu na matkę wołała przemilczeć prawdę.

— Nasza posiadłość leży na terenie pańskiego parku, panie doktorze, i być może, nie życzy pan sobie, żeby pętały się po nim kury. Nie mogę obiecać, że nie przeleżą przez płot.

Hendrik pokręcił ze zdumienia głową.

— Czy pani da radę to wszystko zrealizować?

— Nie boję się niczego, a w razie konieczności pomoże mi Walburga.

— Daj spokój, Dani, masz już dość roboty z tym sadem — wtrąciła się pani von Hagenau.

— Widziałem pani córkę przy pracy i muszę powiedzieć, że zasługuje na szacunek — rzekł, patrząc na piękne ręce Daniela.

— Jak na razie robota idzie mi szybko i sprawnie. Dziękować Bogu, że wszystko mi wychodzi. Tato zawsze mówił, że mam szczęśliwą rękę.

— Szczęśliwa ręka to ważna rzecz, ale ważniejsze jest chyba zadowolenie z życia — rzekł poważnie Hendrik.

— Tego też mi nie brakuje, bylebym miała co robić. Chwała Bogu, że już nie muszę się martwić, czy zaproszą mnie do salonów czy nie. Nie zważając na konwenanse, mogę teraz przyjąć pana w roboczej sukience i nikt nie ma do mnie pretensji. To też jedna z korzyści naszej nowej sytuacji.

— Gdy cię tak słucham, to mam wrażenie, że nasza pożałowania godna pozycja wydaje ci się wprost wymarzona.

Daniela chwyciła obie dłonie matki i pocałowała je.

— Nie uwierzysz, mamo, ale tak jest naprawdę. Tu, w tym małym królestwie, czuję się o wiele szczęśliwsza niż w ciągu ostatnich lat w dworku. Jedno co mnie martwi — to twoje cierpienie z powodu przeprowadzki.

— Nie mówmy teraz o tym, Dani. Pana doktora to nie interesuje. Hendrik popatrzył na Danielę.

— Proszę tak nie mówić, szanowna pani. Czuję się zaszczycony, że w mojej obecności rozmawiają panie o swoich zmartwieniach. Jestem pełen podziwu dla panny von Hagenau i uważam, że może pani być dumna z córki.

Daniela pokręciła głową uśmiechając się.

— O nie! Nie doczekam się tego! Mamie moje niektóre cechy wcale się nie podobają.

— Jesteś niesprawiedliwa, Dani. Nawet jeżeli nie zawsze się z tobą zgadzam, to jestem z ciebie dumna. Muszę zaakceptować obecną sytuację i cieszyć się, że tak szybko przystosowałaś

się do gorszych warunków. Ale nie mówmy już o tym. Zamierza pan na stałe zamieszkać w Hagenau, panie doktorze?

— Przez kilka najbliższych miesięcy na pewno. Piszemy z przyjacielem pracę naukową i dopóki jej nie skończymy, chociażby w zarysie, nie ruszymy się stąd nigdzie.

— Uczestniczył pan w jakiejś wyprawie, panie doktorze? — zainteresowała się Daniela.

— Owszem. Z panem Lersingenem badaliśmy góry na Nowej Gwinei. Po napisaniu pracy muszę wyjechać na kilka miesięcy do Holandii, by dopilnować niektórych spraw związanych z moimi interesami. Pojadę też na Sumatrę, gdyż i tam mam posiadłość. Przypuszczam, że w Hagenau będę mieszkał tylko przez kilka miesięcy w roku.

— To cudownie tak podróżować po całym świecie — westchnęła Daniela.

— Pani by też chciała? — spytał śmiejąc się.

— I to jak! Ale mogę sobie tylko pomarzyć. Gdybym była mężczyzną, już dawno zabrałabym mamę i ruszyła w świat szukać szczęścia gdzie indziej.

— Zależy, co dla pani jest szczęściem.

W jej oczach pojawił się błysk.

— Wiele zobaczyć, wiele się nauczyć — a przy okazji zarobić tyle pieniędzy, żebym mogła spełnić każde życzenie mamy.

— I to wystarczyłoby pani?

— Sądzę, że tak.

— Młode damy raczej nie tak wyobrażają sobie szczęście.

Spoważniała nagle.

— Ach, pod tym „raczej” rozumie pan męża i wszystko, co on wnosi do małżeństwa.

— Ależ, Dani! — przerwała jej matka.

— Co w tym złego, mamó, że mówię głośno to, co pan doktor myśli? Nie mylę się, panie doktorze? Pan też uważa, że jedynym szczęściem dla młodej dziewczyny jest wyjście za mąż?

— Tak właśnie myślę, proszę pani.

— Tak — rzekła, patrząc mu prosto w oczy — to rzeczywiście może być szczęście, gdy dziewczyna znajdzie kogoś, kto ją kocha i kogo ona też darzy miłością. Ale takie szczęście spotyka niewiele kobiet. Ja nawet nie marzę, żeby przeżyć coś takiego i nie dam się tak łatwo otumanić.

— Widzę, że stawia pani mężczyznom wysokie wymagania.

— Zatem jestem wybredna? — uśmiechnęła się. — Teraz już chyba nie przekonam się o tym, bo w naszych stronach ubogimi dziewczynami mało kto się interesuje. Nie mówmy już na ten temat, bo mama pogniewa się, że pana zanudzam.

— Rzeczywiście, Dani! Co sobie pan doktor pomyśli o tobie?

Daniela popatrzyła poważnie na Hendrika.

— Mam nadzieję, że doceni moją szczerość, mamó. Hendrik uklonił się i spojrział jej prosto w oczy.

— Doceniam nie tylko szczerość, ale i odwagę. Znam się trochę na ludziach i proszę mi wierzyć — rzadko się takich spotyka.

Pani von Hagenau zmieniła temat rozmowy.

— Odwiedził pan już sąsiadów, panie doktorze?

— Nie, szanowna pani. Pierwsze kroki skierowałem do pań. Mam nadzieję, że dla pozostałych też znajdę chwilę czasu. Jestem cudzoziemcem i nie wiem, czy zostanę życzliwie przyjęty.

— Och, cóż mieliby panu do zarzucenia? W sąsiedztwie znajduje się tylko Lindenhof i Gundlingen. Do pierwszej posiadłości można dojść pieszo lub na koniu w pół godziny. Wystarczy przejść wąwóz. Drogą trzeba by objechać całą górę, a to zajęłoby ze dwie godziny, dlatego też korzystamy przeważnie z przejścia między górami. Gundlingen leży przy szosie, jakieś pół godziny jazdy stąd — wyjaśniła pani von Hagenau.

— Mama zapomniała dodać, że do pokonania wąskiej i stromej ścieżki trzeba być dobrym wspinaczem. Jeżeli się nie zabłądzi, to na przejście rzeczywiście wystarczy pół godziny — rzekła Daniela.

— Dziękuję za tak wyczerpujące informacje. A skoro już rozmawiamy na temat sąsiadów, opowiedzcie mi panie o mieszkańcach Lindenhof i Gundlingen — poprosił Hendrik.

— Chętnie — powiedziała z radością Daniela. — Lindenhof to samotnie stojący dworek, zaraz po drugiej stronie wąwozu. Należy do niejakiego Marlitza. Dziwny z niego człowiek i niezbyt towarzyski, w odróżnieniu od żony, kobiety prostej i gospodarnej. Ich obie córki wyszły już za mąż i od kilku lat mieszkają gdzieś daleko od Lindenhof i z rzadka tylko przyjeżdżają z wizytą. Na stałe natomiast mieszka tam wychowanica pana Marlitza, bogata krewna jego żony, panna Malwina Bertram. Czasami w zimie wyjeżdża z ciotką do Monachium, by rozzerwać się trochę, pójść do teatru, na koncert... Malwa jest moją serdeczną i jedyną przyjaciółką. To tyle o Lindenhof.

— Dowiedziałem się dużo. A teraz Gundlingen.

— Z tym będzie gorzej. Jest to wioska, do której należy też nasza posiadłość. Tam znajduje się nasz kościół parafialny i dworzec kolejowy. Jest też dwór, w którym od początku tego roku mieszka jakiś nowobogacki Niemiec. Wcześniej była to posiadłość barona von Granitza, ale podobnie jak Hagenau trafiła pod młotek. Nowy właściciel musi być bardzo bogaty, bo wyremontował zamek i urządził go z przepychem aż nazbyt rażącym. Nikt z nim nie utrzymuje stosunków towarzyskich, gdyż jest to wyjątkowy gbur. Osobiście go nie znamy, ale czasami spotykamy jego żonę. Jakies sto metrów powyżej wioski znajduje się sanatorium górskie doktora Hallera. Doktor i jego żona to nadzwyczaj sympatyczni ludzie. W ich towarzystwie można się doskonale bawić, zwłaszcza że wśród pacjentów, gości z całego świata, spotyka się wiele ciekawych osobistości. Gdyby pan się nudził, radzę pojechać do sanatorium, a będąc już w Gundlingen musi pan odwiedzić też naszego proboszcza, człowieka niezwykle mądrego i rozmownego. Bywa chętnie w towarzystwie i nigdy nie psuje nikomu zabawy.

— Dziękuję, panno von Hagenau. Widzę, że muszę zainteresować sąsiadami mojego przyjaciela Lersingena. Pozwolą panie, że złożę wam wizytę?

— Będzie nam miło go poznać. Jeżeli nie razi panów skromność naszego domu, bardzo prosimy przychodzić zawsze, gdy panowie będą mieli ochotę — zaprosiła starsza pani.

Hendrik spojrzał na Danielę.

— Mam nadzieję, że pani także zechce poznać mojego przyjaciela?

Uśmiechnęła się.

— Ach, panie doktorze! Gdyby pan wiedział, jak jesteśmy samotne i jak cieszymy się z każdej wizyty, nie postawiłby pan tego pytania. Nie widzę przeszkód, ale pod warunkiem, że — jak dzisiaj — będę mogła pozostać w roboczym stroju.

— Nie o suknie przecież chodzi, panno von Hagenau. Ale czas już na mnie. Jak na pierwszą wizytę i tak siedzę za długo. Jeszcze tylko chciałem spytać, czy mógłbym paniom w czymś pomóc?

— Dziękuję, panie doktorze. Zrobił pan już dla nas tyle, że nie wiem, jak się odwdzięczymy — rzekła starsza dama.

Hendrik wstał i uklonił się. Pani von Hagenau podała mu rękę, Daniela również uściśnęła jego dłoń, dołączając serdeczne: „Do widzenia, panie doktorze”.

Gdy panie zostały same, matka westchnęła:

— Co za przystojny i stateczny człowiek ten pan van der Straaten! Ciekawe, Dani, czy jest jeszcze wolny?

Daniela poczerwieniała, bo matka niewątpliwie zauważyła, jak spojrzała za odchodzącym Hendrikiem.

— Co masz na myśli, mamó?

— Mój Boże! Nie udawaj naiwnej. Zastanawiam się, czy jest zaręczony, bo że nie jest żonaty, to wiem na pewno.

Daniela dumnie podniosła głowę.

— A co nas to obchodzi, mamó?

— Pomyśl, dziecko, taka doskonała okazja, a ty uważasz, że nas nie powinno interesować? Przecież...

— Proszę cię, mamó, przestań bujać w obłokach. Doktor van der Straaten nawet jeśli nie jest zaręczony, może wybierać wśród najelegantszych kobiet i nie będzie zawracał sobie głowy twoją niepozorną Danielą.

— Niepozorną!... Ty nie widzisz, Dani, że jesteś ładna? A on naprawdę patrzył na ciebie z podziwem.

— Każda matka swe dziecię chwali! Dajmy już spokój, mamó, i przestań o tym myśleć, bo znowu uciekasz w świat iluzji. Od lat żyłyśmy tylko złudzeniami. Czas wreszcie stanąć na ziemi i zadowolić się tym, co mamy. Nie mam zamiaru się okłamywać, nawet ze względu na ciebie.

— Och, Dani, chcesz pogodzić się z tak smutną rzeczywistością? — skarżyła się starsza pani.

— Czy naprawdę tak smutną, mamó? Czy nie czujesz ulgi, że nie mamy już na karku wierzycieli? Przecież we dworze żyłyśmy na ich koszt! Ja osobiście nie chciałabym wrócić do dawnej sytuacji. Wierzę, że tobie trudno się przyzwyczaić, bo zawsze lubiłaś dostatek i towarzystwo, a ojciec zapewniał cię, że zawsze tak już pozostanie. Ja jednak widziałam, co się działo. Widziałam nadchodzącą powoli katastrofę wcześniej od ciebie, więc gdy się zdarzyła, byłam na nią przygotowana. Teraz dopiero czuję, że żyję w prawdziwym świecie. Nie są to wprawdzie idealne warunki do życia, ale za to pozwalają mi swobodnie oddychać, czuć się wolną.

— Cóż, moje dziecko, nie będę cię zadrezczać swoimi narzekaniami, ale nie chcę też ukrywać, że jedyną szansą na polepszenie twojego losu jest odpowiednie zamążpójście. Pan van der Straaten byłby dobrym kandydatem na męża.

Daniela skrzywiła się, a w jej oczach pojawił się błysk złości.

— Przestań mnie już dręczyć! Nie mogę słuchać takich niedorzeczności. Wiesz dobrze, że mam taki charakter, jaki mam i za nic w świecie nie zgodzę się wyjść za mąż dla poprawienia swojej sytuacji majątkowej.

— Nie mówię, że tylko dlatego. Przecież w takim mężczyźnie każda dziewczyna może zakochać się od pierwszego wejrzenia.

Daniela popatrzyła przez okno za znikającym między drzewami Hendrikiem.

— Nie życz mi tego, mamó. Byłabym najniezszczęśliwszą istotą na świecie. Idę do moich drzewek. Mam z nimi jeszcze wiele roboty.

Wyszła do ogrodu, a zajmąwszy się pracą szybko zapomniała o rozmowie z matką. Znowu poczuła się wolna i niezależna. Nucąc coś wesołego, z uśmiechem pracowała przy drzewach. Jak to dobrze, że Hagenau ma już właściciela, i co najważniejsze — jest nim młody i sympatyczny Holender.

Rüdiger Lersingen minął już łąki i pola. Wjechał do wąwozu. Koń stapał ostrożnie po wąskiej, kamienistej ścieżce stromo pnącej się pod górę. Długie cienie kładły się na ściany urwiska i pogrążały dno wąwozu w gęstniejącym mroku. Rüdiger ominął ostrożnie występ skalny przegradzający ścieżkę, gdy koń wspiał się i stanął jak wryty. Na kamieniu z głową opartą o skałę siedziała dziewczyna. Oczy miała zamknięte. Na nodze wokół kostki miała związaną chustkę; najwyraźniej skrzyła nogę.

Była to Malwina Bertram, przyjaciółka Daniela. Wracając od niej poślizgnęła się na ścieżce w wąwozie.

Zobaczywszy nagle jeźdźca, przestraszyła się.

— Przepraszam, ale wydaje mi się, że potrzebna będzie pani pomoc — rzekł, zsiadając z konia.

Malwina знаła wszystkich mieszkańców, nawet z dalszych okolic, zatem ten nieznajomy jeździec musiał być nowym właścicielem Hagenau lub jego przyjacielem. Uśmiechnęła się blado:

— Rzeczywiście, napytałam sobie biedy. Ze zwichniętą nogą daleko nie zajdę.

— Chętnie pani pomogę. Nazywam się Lersingen i jestem gościem nowego właściciela Hagenau.

— Tak też pomyślałam, bo prócz pana i doktora van der Straatena znam tu wszystkich.

Rüdiger patrzył jak urzeczony. Bezradny uśmiech dziewczyny poruszył go do głębi. Podszedł bliżej.

— Spróbuję więc i ja zgadnąć: rozmawiam z panną von Hagenau?

— Nie, z jej przyjaciółką. Właśnie byłam u niej z wizytą i wracam do domu, do Lindenhof. Gdyby był pan tak uprzejmy, podjechał tam i poprosił o pomoc kogoś z rodziny. To niedaleko. Jakies dziesięć minut jazdy wąwozem, a za nim, w dolinie, leży Lindenhof.

— W żadnym wypadku nie zostawię tu pani samej, a pomoc mogę w znacznie prostszy sposób: wsadzę panią na konia i odwiozę do domu!

Poczerwieniała, patrząc w jego szare oczy.

— Tak byłoby najprościej, ale pan musiałby iść pieszo.

— Trochę spaceru nie zaszkodzi mi. Czy bardzo panią boli? Może mógłbym pomóc?

Patrzyła na niego zakłopotana.

— Ból ustąpił, gdy obwiązałam kostkę chustką. Już tak nie boli.

— Proszę więc odwiązać opatrunek, zmoczę go wodą, a potem wsadzę panią na konia.

Podtrzymując zdrową nogę, pomógł Malwinie usiąść w siodle. Wziął konia za uzdę i poprowadził idąc obok.

Szli przez chwilę w milczeniu zaskoczeni niezwykłością sytuacji. Wreszcie odezwał się Lersingen:

— Gdyby nie ten drobny wypadek, spotkalibyśmy się dopiero za kilka dni. Przyjaciel zamierzał właśnie złożyć wizytę sąsiadom. Dziś poszedł do pani von Hagenau.

— Z pewnością spotka się z miłym przyjęciem. Pani von Hagenau jest mu bardzo zobowiązana za to, że pozwolił jej zamieszkać wraz z córką w domku dla wdów. Nie ukrywam, że i ja się z tego cieszę, bo dzięki temu moja jedyna przyjaciółka nie musiała stąd wyjechać.

Mówiła o Danieli. Rüdiger nie przerywał ciągu pochwał, gdyż słuchanie dźwięcznego głosu Malwiny sprawiało mu niezwykłą przyjemność. Gdy przestała, odezwał się:

— Jeśli się nie mylę, jesteście panie bardzo ze sobą zaprzyjaźnione. Zazwyczaj kobiety nie mówią tak pochlebnych rzeczy o swoich potencjalnych rywalkach.

Zamiast odpowiedzi Malwina zmieniła temat:

— Czy doktor van der Straaten zamierza mieszkać w Hagenau na stałe?

— Raczej nie. Na pewno zostanie tu przez lato, a ja z nim.

Właśnie to chciała usłyszeć. Doktor Lersingen od razu jej się spodobał. Patrzyła na niego i dziwiła się, że ktoś zrobił na niej tak wielkie wrażenie już przy pierwszym spotkaniu. Ujął ją rycerskim zachowaniem i troskliwością. Ciągle dopytywał się, czy noga jeszcze boli.

Wyszli z mrocznego wąwozu. Rüdiger aż przystanął olśniony pięknym widokiem rozciągającym się na dolinę i starannie utrzymane zabudowania dworu Lindenhof.

— Jak tu pięknie! Czy to jest pani dom? — spytał. Malwina westchnęła.

— Właściwie, nie. Zamieszkałam tu po śmierci rodziców. Właściciel dworu, pan Marlitz, jest moim opiekunem. Jego żona jest kuzynką mojej matki i jedyną krewną. Mieszkam tu od trzech lat. Jeżeli mam jakikolwiek dom rodzinny, to jest nim Lindenhof.

Powiedziała te słowa z pewnym smutkiem. Rüdiger spojrział na nią i rzekł poważnie, patrząc przed siebie.

— Tak, są ludzie, którzy nie mają rodzinnego domu, a nawet nigdy go nie mieli.

Teraz ona popatrzyła z zaciekawieniem.

— Z pana tonu wynika, że i pan się do nich zalicza.

Skinał tylko głową.

— Przepraszam, jeżeli sprawiłam panu przykrość. Ja miałam szczęśliwy dom w Nadrenii, za życia moich rodziców.

Malwina zmieniła nagle temat rozmowy. Zaczęła wymieniać nazwy szczytów okalających dolinę.

— Czy pan lubi chodzić po górach? — spytała.

— Och, bardzo! Przez dwa lata nie robiłem nic innego. Na Nowej Gwinei nie omijaliśmy nawet pięciotysięczników.

Gawędząc doszli do zabudowań. Dworek był mniejszy niż w Hagenau. Ze wszystkich stron otoczony był werandą. Tam właśnie czekał pan Marlitz z żoną, aż niespodziewany gość podejdzie bliżej.

— Mój Boże! Malwo, co się stało? — zawołała pani Marlitz, kobieta około pięćdziesięciu lat.

— Nic poważnego, ciociu Herto. Zwichnęłam w wózku nogę i pewnie siedziałabym tam do teraz, gdyby doktor Lersingen nie zechciał mi pomóc.

Franz Marlitz patrzył niezbyt życzliwym okiem na Malwę i towarzyszącego jej młodzieńca. Wzbudził od razu niechęć w Rüdigerze. Młodzieniec, zwracając się do dziewczyny, rzekł:

— Muszę panią zanieść do domu, gdyż nie powinna pani nadwierać nogi. Pani Marlitz, proszę mi pokazać drogę.

Franz Marlitz chciał zaprotestować, ale zanim się odezwał, Rüdiger wziął Malwinę na rękę jak dziecko i zaniósł do dworku. Położył ją w pokoju na kanapie i uklonił się:

— Szanowni państwo pozwolą, że się pożegnám. Sądzę, że moja pomoc nie będzie już potrzebna.

— Może zechce pan coś zjeść z nami? — zapraszała pani Marlitz.

— Dziękuję, łaskawa pani. Jeżeli państwo pozwolą, przyjadę za kilka dni dowiedzieć się o zdrowie panny Malwiny, a przy okazji zabiorę mojego przyjaciela, doktora van der Straatena, który wybiera się do was z sąsiedzką wizytą.

Pani Marlitz zgodziła się chętnie, a jej mąż zdobył się na kilka uprzejmych słów. Malwina, uśmiechając się słodko, podała Rüdigerowi rękę.

— Dziękuję panu za nieocenioną pomoc, panie doktorze.

— Nie trzeba, panno Bertram, bo zacznę się rumienić.

Franz Marlitz odprowadził Lersingena na werandę, po czym wrócił do pokoju, gdzie leżała Malwina.

— Natarczywy aż do przesady ten doktor! Nie podoba mi się, Malwo, że przyjąłeś jego pomoc akurat w takiej formie — rzekł zagniewany.

Malwina zdenerwowała się:

— A co twoim zdaniem, wuju, miałam w tej sytuacji zrobić? Siedziałam na ścieżce, nie mając sił stąpać na tę nogę. Miałam powiedzieć, że nie potrzebuję pomocy?

— Wystarczyłoby, żeby nas zawiadomił, a on od razu zorganizował bardzo romantyczną przejażdżkę na koniu. Wyglądał jak paż prowadzący królową elfów. Zupełnie niepotrzebnie pozwoliła mu zanieść się do domu — rzekł do żony, która siedziała obok Malwiny. Po tych słowach obrócił się na pięcie i wyszedł.

Pani Marlitz pokiwała tylko głową.

— Zrędzi coraz bardziej, ale ty nie przejmuj się nim, Malwino — rzekła.

Malwina poczerwieniała.

— Wiem, ciociu, ale wuj wygaduje niestworzone rzeczy. Znam go dobrze. Od razu się denerwuje, gdy tylko zobaczy mnie w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

— Na pewno czuje się za ciebie odpowiedzialny — uspokajała ją ciotka.

— Doskonale wiem, co robić i bez jego ględzenia.

— Daj spokój, Malwo. Nie bierz tego tak tragicznie. Dopóki mężczyźni nie rozdmuchają jakiejś sprawy, nie przejdą nad nią do porządku dziennego. Ale twoja noga rzeczywiście nie wygląda dobrze. Kostka spuchła, więc przez kilka dni będziesz musiała poleżeć. A wracając do doktora Lersingena, to, moim zdaniem, bardzo porządny człowiek. Jest w nim coś młodzięczego, widać jednak, że przekroczył już trzydziestkę.

Malwina uśmiechnęła się.

— Masz rację, ciociu. Jest w nim jakaś siła, która wprost zmusza człowieka do poddania się jego woli.

Ciotka pogroziła jej palcem.

— Oj, oj, Malwinko! Czyżbyś uległa jego czarowi?

Poczerwieniała, ale broniła się twardo.

— Wiesz dobrze, ciociu, że ja tak szybko nie ulegam.

— Udajesz chyba taką oziębłą, choć, prawdę mówiąc, niewielu mężczyzn ci się podobało. Pan Lersingen chyba pierwszy wpadł ci w oko.

— Co wcale jeszcze nie znaczy, że mnie oczarował, ciociu Herto.

Ciotka wyszła. Malwa zamknęła oczy i przywołała w pamięci obraz Lersingena dumnie kroczącego obok konia. Westchnęła cicho z wyraźną nutką tęsknoty.

4

Obaj przyjaciele spotkali się przy obiedzie. Milczeli prawie cały czas. Dopiero gdy zapalili papierosy i popijali kawę, Hendrik odezwał się:

— Wybacz, Rüdigerze, że jestem dziś kiepskim gospodarzem, ale nie mogę pozbierać myśli.

— A cóż cię tak rozkojarzyło?

— Wizyta u pani von Hagenau, niewątpliwie.

— Coś nie wyszło? Zdenerwowałaś się?

Hendrik pokręcił głową i rozpromienił się.

— Skądże! Wręcz przeciwnie. Mówię ci, Daniela von Hagenau to wyjątkowa dziewczyna. Drugą taką byłoby trudno znaleźć na świecie.

— Hm! Już dziś słyszałem hymn na jej cześć.

— A z czyich ust?

— Jej przyjaciółki, panny Malwiny Bertram, która mieszka w Lindenhof u swojego opiekuna.

— Ach tak! Więc z nią rozmawiałeś?

Rüdiger opowiedział o swoim spotkaniu z Malwiną, nie wspomniał jednak o wrażeniu, jakie na nim zrobiła. Hendrik słuchał z zaciekawieniem.

— Zatem rozmawialiście o panie von Hagenau?

— Panna Bertram jest nią wprost oczarowana. Nie sędzę, żeby były to tylko czcze komplementy.

— Chyba nie, bo jest to rzeczywiście wspaniała dziewczyna.

Rüdiger spojrzał na niego uważnie.

— Ej! Ty wyrażasz się o niej z jeszcze większym entuzjazmem niż panna Bertram!

— Zgodzisz się ze mną, gdy poznasz pannę Daniełę. Ale nie staraj się poznać jej zbyt blisko!

— Hendriku, czy ty się aby nie zakochałeś?

— Nie wiem, czy użyłeś właściwego słowa. W każdym razie zrobiła na mnie ogromne wrażenie.

— Zatem: oszołomiony!

— Być może nawet więcej. Proszę cię, żebyś przypadkiem nie próbował mi jej pode-
rwać.

Powiedział to pół żartem, pół serio, więc Rüdiger pokręcił tylko głową.

— Z tego co zdażyłeś opowiedzieć, widzę, że muszę zaliczyć pannę von Hagenau w po-
czet gwiazd, które się podziwia, ale których się nie zdobywa.

— A jeżeli oczaruje cię tak jak mnie?

Rüdiger zapatrzył się przed siebie, mając w oczach bladą twarz Malwy Bertram. Po
chwili powiedział dobitnie:

— O mnie możesz być spokojny, Hendriku. Jeżeli jakaś kobieta zdoła mnie oczarować,
to będzie nią ta, którą dziś spotkałem.

Hendrik wstał i popatrzył na niego poważnie.

— Myślisz o panie Bertram?

— To naprawdę śliczna dziewczyna — rzekł zamyślony Rüdiger.

Hendrik podał mu rękę.

— Wiesz, Rüdigerze, to dziwne, że tego samego dnia obaj ulegliśmy czarowi kobiecych
oczu.

Lersingen wzruszył ramionami.

— Zrządzenie losu. Nie powiem, żebym już był zakochany, ale jestem na dobrej drodze.
Ty chyba też?

— Nie da się zaprzeczyć — powiedział z uśmiechem Hendrik.

— A zatem trzymajmy się razem.

— Dopóki to będzie możliwe.

Dwaj przyjaciele oraz panny z Hagenau i Lindenhof spotykali się dosyć często. Szcze-
gólnie polubili sanatorium doktora Hallera, gdzie wśród pacjentów czuli się znakomicie. Wszy-
scy bawili się doskonale.

Pod koniec sierpnia doktor Haller i jego żona urządzili przyjęcie dla kuracjuszy i zapro-
szonych gości. Nie mogło na nim zabraknąć czwórki młodych przyjaciół, pani von Hagenau i
państwa Marlitzów.

Daniela wraz z matką zabrała się samochodem Hendrika. W Gundlingen spotkali przybyłych wcześniej Marlitzów. Rüdiger nie mógł oderwać oczu od Malwiny. Niestety, podobnie jak wcześniej, tak i dziś pan Marlitz nie odstępował dziewczyny na krok. Lersingen nie był tym zachwycony, ale tłumaczył sobie ostrożność opiekuna Malwiny poczuciem odpowiedzialności. Nie przypuszczał nawet, że pan Marlitz miał zupełnie inny powód, by nie dopuścić do jego spotkania sam na sam z Malwiną. Pani Marlitz patrzyła z pobłażaniem na tęskne spojrzenia obojga młodych i tylko uśmiechała się ze zrozumieniem. Nie dziwiła się, że jej wychowanica i doktor Lersingen spodobali się sobie. Nie zamierzała im ani pomagać, ani też przeszkadzać.

Rüdiger w żaden sposób nie potrafił sobie wyjaśnić przyczyny niechęci, jaką okazywał mu Franz Marlitz. Nic złego przecież nie zrobił, więc nie czuł się winny, zachowanie ziemianina jednak denerwowało go.

Kilka dni przed dzisiejszym przyjęciem w Gundlingen żalił się Hendrikowi:

— Pan Marlitz jest chyba najsroższym opiekunem, jakiego można sobie wyobrazić.

— Zachowuje się tak, jakby każdego młodzieńca uważał za łowcę posagu swojej podopiecznej.

Rüdiger zdziwił się.

— Uważasz, że chodzi mu o posag?

— Z tego, co mówiła panna von Hagenau, Malwina Bertram odziedziczyła spory majątek.

Rüdiger zmartwił się wyraźnie.

— Mogłeś mi tego oszczędzić, Hendriku.

— Ależ, przyjacielu, przecież ja dobrze wiem, że nie chodzi ci o bogactwo Malwiny i jej pieniądze.

— Ty wiesz, bo mnie znasz. Ale inni ludzie mogą wcale tak nie myśleć. To chyba wyjaśnia postępowanie pana Marlitza. Teraz, gdy zwróciłeś mi na to uwagę, zupełnie mnie załamałeś.

— Nie pleć głupstw! Uważasz, że im mniej pieniędzy miałaby Malwa, tym bardziej byś ją kochał? Czy na tym polega miłość?

Rüdiger uspokoił się trochę.

— Masz rację, Hendriku. Te rzeczy nie mają ze sobą nic wspólnego. Pomogłeś mi jednak zrozumieć postępowanie pana Marlitza. Myli się co do mnie. Mniejsza o niego, byleby tylko Malwina nie myślała tak jak on.

— Myślę, że ona nie ma wątpliwości.

— Obyś miał rację.

Rüdiger jednak nie od razu zgodził się z opinią Hendrika. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie mógł zapewnić żonie odpowiednie warunki do życia, snuł przeróżne plany, ale nie przypuszczał, że Malwa może mieć posag. Wiadomość ta tylko go zmartwiła. Zawsze sobie wyobrażał, że kobiecie, którą pokocha, da wszystko i spełni każde jej życzenie.

Myśli te nie dawały Rüdigerowi spokoju, gdy na przyjęciu w Gundlingen zobaczył Malwinę. Za wszelką cenę chciał z nią porozmawiać na osobności.

Właściwie nie był pewien, czy Malwa go kocha. Nie była zbyt wylewna, raczej skryta, i jeszcze nie doszło między nimi do szczerzej rozmowy. Była miła i uprzejma, ale przecież nie tylko wobec niego. Nic nie wskazywało, że go w jakiś sposób wyróżnia. Nie przypuszczał, że chce przed nim ukryć swoje uczucia. Musiał koniecznie z nią porozmawiać. Czekał więc z niecierpliwością na okazję.

Niestety. Ciągłe coś stawało mu na przeszkodzie. Przy stole posadzono go obok jasnowłosej Dunki, zaś Malwinę po drugiej stronie z jakimś starszym Szwedem, również pacjentem sanatorium. Daniela i Hendrik też mieli niewesołe miny, bo także ich rozdzielono. Na szczęście posiłek nie trwał długo i goście rozeszli się po parku. Rüdiger odnalazł wreszcie Malwinę samotnie odpoczywającą na ławce.

Patrzył na nią z podziwem. Wyglądała prześlicznie w matowoniebieskiej szyfonowej sukni. Policzki miała zaczerwienione. W świetle elektrycznej lampy jej złociste włosy połyskiwały, jakby były z metalu.

— Czy mógłbym się na chwilę przysiąc do pani? — spytał nieśmiało.

— Bardzo proszę, panie doktorze! — powiedziała z uśmiechem, wskazując na miejsce obok siebie. W tym momencie z cienia wyłoniła się sylwetka jej opiekuna.

— Nie będzie ci za zimno na dworze, Malwino? — spytał.

Zmarszczyła czoło, gdyż nie spodziewała się, że i tym razem wuj się zjawi i znowu przeszkodzi jej w rozmowie z Rüdigerem. Jego ciągłe pilnowanie i szpiegowanie męczyło ją coraz bardziej.

— Jest taki ciepły wieczór, wujku, że naprawdę nie ma się czego bać.

On jednak nie odszedł, wręcz przeciwnie — wdał się w rozmowę z Rüdigerem, nie wzbudzając bynajmniej zachwytu obojga młodych. Malwina odetchnęła z ulgą, widząc nadchodzącą Daniełę.

— Chodź, Malwo, pójdziemy na polanę. Zaraz panowie rozpalą tam ognisko. — Po czym, zwracając się do Marlitz, rzekła: — Żona pana szuka. Czeka obok fontanny. Chce, żebyście razem poszli na ognisko. Niech pan się pospieszy, bo nie wypada, żeby dama czekała na dżentelmena.

Marlitz spojrział na Rüdigera.

— Idzie pan ze mną?

— Lepiej będzie, jeżeli zaprowadzę obie panienki na polanę.

— Brawo, panie doktorze! Nie może nas pan zostawić samych — zaśmiała się Daniela.

Marlitz chcąc nie chcąc musiał odejść. Pocieszał się myślą, że w obecności Daniela tych dwoje nie odważy się rozmawiać o swoich uczuciach.

Nagle zjawił się Hendrik van der Straaten, przyciągnięty przez Danielę jak przez magnes.

— Czy wolno mi dołączyć do was? — spytał, patrząc w piękną twarz dziewczyny.

— W drodze wyjątku pozwalamy — skinęła głową i biorąc Hendrika pod rękę, pociągnęła do przodu.

Nareszcie Lersingen został z Malwiną sam. Podał jej ramię i razem ruszyli za rozbawioną Danielą i Hendrikiem. Holender, spoglądając co chwila w oczy Daniela, spytał:

— Podoba się pani przyjęcie? Cieszę się, widząc panią w dobrym humorze.

— Czemu miałabym się smucić? — uśmiechnęła się. — Jesteśmy przecież na przyjęciu, więc musimy się bawić. Zwłaszcza że takich okazji nie ma zbyt wiele.

— Żałuje pani?

— Powiedzmy, że trochę.

— Lubi pani przyjęcia?

— Uwielbiam.

— Miałbym więc propozycję. Chciałbym się zrewanżować sąsiadom i zaprosić ich na przyjęcie do Hagenau, ale ja, stary kawaler, zupełnie nie wiem, jak się do tego zabrać. Myślałem, czy nie poprosić o pomoc pani von Hagenau. Boję się, czy jej nie urażę, zwracając się z taką prośbą. Czy, pani zdaniem, matka zgodziłaby się pełnić honory gospodyni, czy też wspomnienie dawnych czasów byłoby dla niej zbyt bolesne?

— Prawdę mówiąc, mama nie urządziła już przyjęć w Hagenau od wielu lat. Nie było nas na to stać. Przypuszczam, że matka się zgodzi. Spytajmy ją od razu. Rozmawia z państwem Marlitzami.

Malwina i Rüdiger szli za nimi. Lersingen nie zdobył się na odwagę i nie wykorzystał tak upragnionego sam na sam. Zastanawiał się, od czego zacząć. Obecność Malwiny jasno uświadomiła mu, że coś się z nim dzieje, że całym sercem pragnie z nią być, pragnie ją mieć dla siebie. Trudno mu było jednak wyrazić swoje uczucia słowami. Im bardziej był tego pewien, tym bardziej zamykał się w sobie. Zaledwie powiedział kilka słów, z których Malwa mogłaby się domyślić, co do niej czuje, a już znaleźli się w kręgu rozbawionych gości. Tego wieczoru nie mieli już szans na samotne rendez-vous, a płomienne spojrzenia, jakie Rüdiger rzucał Malwinie w czasie pożegnania, świadczyły, że wkrótce poprosi o jej rękę. Poczerwieniała, podając mu drżącą z emocji rękę, i rozstali się.

5

Pięknie przystrojony dworek w Hagenau oczekiwał na gości. Daniela wspomagana przez obu młodzieńców i matkę dosłownie dwoiła się i troiła, by przygotować przyjęcie, jakiego w Hagenau jeszcze nie było. Dyrygowała wszystkim jak reżyser na planie filmowym, co zresztą wymyślił Hendrik, zwracając się tak do niej żartem.

— To żadna sztuka, panie doktorze, wydawać pańskie guldeny. Za takie pieniądze można przygotować baśniową ucztę — śmiała się Daniela.

— Do tego są jednak potrzebne ręce wróżki, a te z kolei należą do pani. Bez nich moje guldeny zdałyby się na nic — sprzeciwiał się Hendrik.

Daniela ubrana w białą suknię, jedyną wyjściową, jaka jej pozostała, rzeczywiście wyglądała jak królewna z bajki. Matka w czarnej jedwabnej kreacji, widać, że dawno kupionej, wyglądała dostojnie, jak na arystokratkę przystało.

— „Orkiestra tusz! Zabawę czas zacząć” — zawołała Daniela, gdy Hendrik witał się z obiema paniami.

— Ależ proszę pani, musimy poczekać na gości! — zawołał, udając przestraszonego.

— Nimi bym się nie martwiła. Na wsi ludzie są punktualni, nie tak jak wy, mieszczuchy — droczyła się.

— A kur nie zapomniała pani ułożyć do snu? — odciął się.

— Od tego mam służbę, doktorze! Walburga nie pozwoliłaby się wyreczyć. Jest tak dumna z naszego stadka, bo rzeczywiście kury nie próżnują: jutro zawiozę dwieście jaj do sana-

torium. Niewątpliwie zostanę pana konkurentką i jeszcze pan pożałuje, że zgodził się na założenie przeze mnie kurnika.

— Widzę, że podjąłem wtedy pochopną decyzję. Co ja, nieszczęsny, pocznę? Dobrze byłoby wejść w spółkę, ale czy zechce mnie pani przyjąć?

— Ani mi się śni, panie van der Straaten! — żartowała dalej.

— A co pani robi z tym ogromnym kapitałem zarobionym na tych dwustu jajach?

— W całości ulokuję go u szewca. W zamian uszyje mi nowe buty i naprawi kilka par starych.

Hendrik nagle spowaźniał, ale szybko wrócił do żartobliwego tonu.

— Myślałem, że raczej otworzy pani konto w banku.

— I na to przyjdzie czas. Niech no tylko dojrzeją brzoskwinie i gruszki. Uzbieram okrągłą sumę — uśmiechnęła się.

— Pierwsze dojrzałe brzoskwinie obiecała pani mnie. Zapłacę jak za złote — rzekł, niby to żartując.

Daniela nagle spowaźniała i popatrzyła na niego zdumiona.

— Nie musiał mi pan o tym przypominać. Należą się panu nie tylko pierwsze brzoskwinie, ale i pierwsze czereśnie, truskawki i tak dalej. Oczywiście, żadnej zapłaty nie przyjmę i proszę nie sprawiać mi przykrości.

— Przykrości? Gdzieżbym śmiał! Ale nie mogę też pani okradać z owoców ciężkiej pracy. Co to, to nie!

Potarła dłonią czoło.

— Czy nie dosyć dobrego zrobił już pan dla nas i nie pozwolił sobie nawet podziękować? Proszę mi pozwolić chociaż raz znaleźć się w sytuacji kogoś, kto daje, a nie tylko bierze. Niewiele mam takich okazji, proszę mi wierzyć.

Chwycił ją za rękę.

— Przepraszam. Powinienem był się domyślić, że moje słowa mogą panią urazić. Wiem przecież, jaka jest pani dumna.

Dziewczyna poczerwieniała.

— To duma nędzarza, panie doktorze, i łatwo ją urazić. Wiem, że nie zrobił pan tego namyślnie. Nie mówmy już o tym. Szkoda psuć sobie nastrój przed przyjęciem.

Rüdiger rozmawiał w tym czasie z matką Danieli, chodząc po tarasie. Coraz spoglądał w stronę alei dojazdowej. Nie mógł się już doczekać przyjazdu Malwiny.

Pierwsi przybyli jednak goście z sanatorium doktora Hallera, on sam i jego żona. Zjawienie się dwudziestu rozbawionych ludzi od razu wprowadziło wesóły nastrój.

Po chwili przybył proboszcz z Gundlingen ze swoim bratankiem, wesółym studentem, który sam powoził bryczką wielebnego stryja. Z uśmiechniętej twarzy duchownego można było bezbłędnie odczytać wyznawaną przez niego dewizę: żyj i pozwól żyć innym. Student najwyraźniej dostosował się do niej także i wkrótce wśród gości na tarasie zapanowała radosna atmosfera. Wreszcie zjawili się państwo Marlitzowie.

Na widok ich powozu Rüdiger zerwał się, chcąc ich przywitać i pomóc paniom przy wsiadaniu. Malwina ubrana była w zwiewną, jedwabną suknię z obramowaniem w kwieciste wzory, lekko przebijające przez cienką, białą tkaninę. Wyglądała tak ślicznie, że Rüdiger tylko z trudem powstrzymał się, by nie porwać jej w ramiona. Otrzeźwiło go chłodne i ostre spojrzenie pana Marlitza.

Na tarasie tymczasem zagrała orkiestra. Rozpoczęto od ulubionych melodii Daniela. Najpierw była to prosta pieśń wędrowca, którą często śpiewała na głos, spacerując po lesie i polach. Później zagrano znaną niemiecką pieśń ludową. Widocznie do programu włączył ją Hendrik, bo Daniela usłyszawszy pierwsze takty zdziwiła się i poszukała go wzrokiem. Rozmawiał z jej matką. Ich oczy spotkały się jak namagnesowane.

— Nie wiedziałam, panie doktorze, że zna pan niemieckie pieśni, a zwłaszcza tę, raczej rzadko śpiewaną.

— Ale pani ją zna, jak widzę? — spytał trochę zmieszany.

— O tak! I bardzo ją lubię.

— Chciałbym nauczyć się jej słów. Mogłaby pani zaśpiewać? — poprosił.

— Tu, przy wszystkich? — zaczerwieniła się.

— Tak, po cichutku, żeby nikt nie słyszał prócz mnie.

— Zatem prywatny koncert, panie doktorze? — uśmiechnęła się i zaśpiewała półgłosem:

Gdy świat urzeknie pięknem cię, Wstań wcześniej, tuż przed świtem. W uśpionym lesie zanurz się I wsłuchaj w błogą ciszę. Skowronki jeszcze wtedy śpią, A tylko w stawie trzciny drżą, Pieśń Bogu nucąc swojemu.

Hendrik patrzył na Daniellę roziskrzonymi oczami.

— Słyszałem już tę pieśń, gdy wczesnym rankiem przejeżdżałem konno przez las. Śpiewała ją kobieta. Głos dolatywał z góry i brzmiał tak cudownie, tak uroczyście, że poczułem się w tym lesie jak w przeogromnym kościele. Nie wie pani, kto mógł wtedy śpiewać?

Zarumieniła się.

— W tej okolicy wielu ludzi zna tę pieśń.

— Ale mało kto ma tak cudowny głos. Brzmiał on tak wesoło, tak ujmująco jak śpiew skowronka wlatującego w niebo i dziękującego Bogu za to, że stworzył tak piękny świat. Modliłem się też wtedy i nigdy tej pieśni nie zapomnę.

Daniela po raz pierwszy poczuła, że w rozmowie z Hendrikiem nie zdoła zachować zimnej krwi. Szybko zmieniła temat.

— Panie doktorze, musimy zająć się gośćmi — odwróciła się i odeszła.

Popatrzył za nią i pomyślał: To ona była tym moim skowronkiem. Hendrik wmieszał się w tłum gości.

Wszyscy bawili się znakomicie. Pogoda najwyraźniej też dostosowała się do ciepłego i serdecznego nastroju.

Malwina i Rüdiger mieli dziś więcej szczęścia i od czasu do czasu udawało im się ukradkiem zamienić kilka słów. Pewnie nie domyślali się, że każde z nich z osobna pragnęło znaleźć tych kilka chwil tylko dla siebie. Malwina dziwiła się samej sobie, że tak bardzo szuka towarzystwa Rüdigera, a gdy już wreszcie go znalazła, ze strachu i nieśmiałości nie potrafiła wymówić ani słowa, które wyrażałoby jej uczucia.

Najgorsze, że on też nie zdobył się na odwagę i nie powiedział dziewczynie o swoich uczuciach. Postanowił jednak, że nazajutrz napisze do pana Marlitz list i poprosi o rękę Malwiny. Pomysł spodobał mu się od razu i resztę wieczoru Rüdiger spędził już w znacznie lepszym nastroju.

Kolację podano przy muzyce, więc goście siedzieli przy osobnych stolikach. Hendrik dla siebie, Rüdigera i obu dziewcząt wybrał stół w rogu przy oknie.

Franz Marlitz z panią von Hagenau usiedli niedaleko. Pan Marlitz wybrał takie miejsce, by przez cały czas mógł obserwować Malwinę i Rüdigera. Dziś jednak Lersingenowi to już nie przeszkadzało. Jutro poprosi go oficjalnie o pozwolenie spotkania Malwy, choć, prawdę mówiąc, nie był całkiem pewien, czy ona go kocha. Patrzył na uśmiechniętą twarz Malwiny i serce zabiło mu mocniej, gdy zobaczył, że zarumieniła się lekko.

W czasie kolacji Hendrik wygłosił krótkie przemówienie, w którym podziękował gościom, że przyjęli go tak serdecznie do swego grona, mimo że jest cudzoziemcem. Dzięki temu poczuł się w Niemczech jak u siebie w domu.

— Po matce mam prawo czuć się Niemcem. Wypijmy za zdrowie moich sąsiadów! — zakończył swoją mowę, a w duchu dodał: — Ożenię się też z niemiecką dziewczyną, którą już nawet sobie wybrałem.

Wszyscy chętnie spełnili toast młodego i sympatycznego Holendra, który w tak krótkim czasie zdołał sobie zjednać ich serca. Hendrik usiadł, a trącając się kieliszkiem z Danielą, rzekł, patrząc jej prosto w oczy:

— Nu laat ik je niet meer los, ik laat je niet meer los. (Teraz już cię nie oddam nikomu).

— Co pan powiedział, panie doktorze! To było po holendersku i zrozumiałam tylko, że nie chce pan czegoś oddać.

Uśmiechnął się nieco zakłopotany i zwracając się do Rüdiger, rzekł:

— Mówiłem, że nigdy nie wyjadę z Niemiec. Prawda, przyjacielu? Lersingen zrozumiał wyznanie van der Straatena, ale dyplomatycznie rzekł tylko:

— Ik weet niet. (Nie wiem).

Przy pożegnaniu Rüdiger, wyraźnie zdenerwowany, rzekł do Malwiny:

— Miałem nadzieję, że uda mi się dziś powiedzieć pani coś bardzo ważnego, ale widzę, że muszę zwrócić się z tym listownie do pani opiekuna. Ufam, że otrzymam pozytywną odpowiedź. Proszę nie trzymać mnie w niepewności.

Patrzyła mu czule w oczy, ale zanim zdążyła się odezwać, pan Marlitz stanął obok z groźną miną.

— Pośpiesz się, Malwo. Ciotka Herta już czeka.

Dziewczyna bez słowa podała Rüdigerowi rękę, a on zauważył, że mocno drżała.

— Do widzenia — rzekł, kłaniając się nisko.

— Do widzenia, panie doktorze — odpowiedziała cicho.

Jej smutne, przestraszone nieco spojrzenie zapadło mu głęboko w serce.

Nazajutrz doktor Lersingen wysłał do pana Marlitza posłańca z listem, w którym oficjalnie prosił o rękę Malwiny Bertram i o pozwolenie na ustne oświadczenia.

Franz Marlitz przeczytawszy list zbladł i złapał się za głowę. Jak zapobiec małżeństwu Malwiny? Przecież teraz cała przyszłość Lindenhof zależała od tego, czy Malwina wyjdzie za mąż czy nie.

Usiadł przy biurku i odpisał panu Lersingenowi. Złożył kartkę i schował ją pod arkusz bibuły leżący obok na stoliku. Wstał i zadzwonił po lokaja, by poprosił do gabinetu pannę Bertram. Po kilku minutach przyszła.

— Chciałeś mnie widzieć, wuju?

— Tak, Malwinko. Usiądź, proszę. Powiem wprost, o co mi chodzi: znowu zjawił się amator posagu bogatej spadkobierczyni. Od dawna wiedziałem, że się zgłosi. Ten doktorek, ten wydrwigrosz poczynał sobie bardzo odważnie. Myślę, że jesteś na tyle rozsądna, że przejrzałaś jego zamiary i niczego mu nie obiecałaś.

Malwa zmarszczyła brwi. Wuj zaczyna swoją starą śpiewkę: ilekroć zbliży się do niej jakiś mężczyzna, od razu zostaje posądzony o polowanie na posag. Czy on naprawdę uważa, że oprócz majątku ona już niczym nie może zaimponować? Denerwowało ją takie myślenie, ale dotychczas żaden mężczyzna jej nie zainteresował. Teraz było inaczej i Malwa postanowiła sprzeciwić się wujowi.

Wszystko się w niej buntowało. Nie pozwoli, żeby doktora Lersingena nazywać wydrwigroszem. Podniosła głowę odważnie i spytała:

— Kogo masz na myśli, wuju?

— No, tego Lersingena, który zagnieździł się w Hagenau i rozgląda za bogatą partią. Gdy skończy tę swoją pracę naukową, nie będzie miał już pretekstu do wykorzystywania gościnności przyjaciela.

Malwa obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

— Jak możesz, wuju, tak nisko oceniać pana Lersingena?

W jego oczach błysnęła nienawiść.

— Nie widzę powodu, żeby oceniać go wyżej. A ty czemu tak go bronisz? Ja zdania i tak nie zmienię. Wracając jednak do rzeczy: czy mam temu panu odpowiedzieć w twoim imieniu?

— Wolę zrobić to sama. Daj mi ten list. Bez słowa sięgnął po kopertę.

Malwina przeczytała pobieżnie, potem wróciła jeszcze raz do słów: „Panna Bertram na pewno wie i czuje, że gotów jestem związać się z nią na całe życie, kocham ją całym sercem, chociaż nie powiedziałem jej ani słowa o moich uczuciach.”

Zrobiło się jej gorąco. Rüdiger nie mylił się: wiedziała, że on ją kocha. Ona jego też kochała. Była całkowicie tego pewna. Wyprostowała się i stanowczym tonem rzekła:

— Proszę cię, wuju, napisz panu Lersingenowi, że czekam na jego oświadczyzny i jestem dumna i szczęśliwa, że będę jego żoną.

Franz Marlitz westchnął cicho, ale opanował wybuch gniewu.

— Moje dziecko, czy ty naprawdę wiesz, co chcesz zrobić? — spytał, udając zatroskanie.

— Wiem na pewno, że kocham doktora Lersingena, a on kocha mnie.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem i rzekł spokojnie:

— Wierzę, że ty go kochasz, moja droga, i dlatego bardzo się o ciebie martwię. Ale nie mam też wątpliwości, że on nie z miłości chce się z tobą ożenić, a z wyrachowania.

— Źle go oceniasz. Jest poważnym i uczciwym człowiekiem i nie starałby się o moją rękę, gdyby mnie nie kochał.

— Drogie dziecko, zakochana kobieta jest mało ostrożna i łatwo ją oszukać. Moim zaś obowiązkiem jest ochronić cię przed rozczarowaniem i nieudanym małżeństwem. Nie mogę zadowolić się opinią zakochanej dziewczyny. Muszę nabrać pewności co do jego rzeczywistych zamiarów i dlatego proponuję poddać go próbie.

Malwa skrzywiła się.

— Nie widzę takiej potrzeby.

— Boisz się, że jej nie wytrzyma? — rzekł mrużąc oczy.

— Próbujesz poniżyć go w moich oczach, ja mimo to wierzę w jego miłość, tak jak wierzę w swoją.

Uśmiechnął się z politowaniem.

— I jak tu nie wierzyć, że miłość jest ślepa?

— Nie wiem, czy jest to miłość, ale gotowa jestem obdarzyć doktora Lersingena najwyższym zaufaniem. On jeden może uczynić mnie szczęśliwą. Wierzę w jego uczciwość, poczucie godności i honoru. Z twoją zgodą czy bez i tak zostanę jego żoną. Jeżeli skorzystasz z prawa przysługującego ci jako opiekunowi, poczekam jeszcze tych kilka miesięcy, zanim nie ukończę dwudziestu jeden lat.

Marlitz zbladł. Drgały mu mięśnie na twarzy, a mimo to uśmiechnął się i rzekł:

— Oj, ta niecierpliwa młodzież! Czemu się denerwujesz, Malwinko? Nie chcę ci przecież zabronić szczęścia, a jedynie upewnić się, czy rzeczywiście ten mężczyzna jako mąż potrafi ci je dać. Być może niesłusznie go podejrzewam i gotów jestem go przeprosić. Proponuję, żeby mu odpisać i poprosić o trzy dni na zastanowienie. Wspomnę w liście, niby mimochodem, że wcale nie jest prawdą to, co w okolicy mówi się o twoim bogactwie. Owszem, masz oszczędności, ale odsetki od nich wystarczają z ledwością na skromne utrzymanie. Jeżeli uwierzy, a nie chodzi mu o posag, za trzy dni zjawi się tu, w Lindenhof, i oświadczy się osobiście. Odpowiesz mu, jak będziesz uważała.

Malwina pokręciła głową.

— Ta próba, jak to nazwałeś, jest niepotrzebna. Jestem pewna, że ją przetrzyma, więc po co narażać go na nerwowe oczekiwanie?

— Mimo to uważam, że powinienem dokładnie poznać mężczyznę, któremu oddam cię pod opiekę.

— Skoro się upierasz, pozwól, że dopiszę kilka słów od siebie, z których dowie się, że mu ufam.

Wahał się przez chwilę, a w końcu rzekł:

— Oczywiście. Możesz to zrobić. Poczekaj chwilę. Napiszę odpowiedź od razu, a ty usiądź sobie obok w fotelu.

Przesunął fotel pod ścianę tak, aby nie mogła patrzeć mu na biurko.

Zaczął pisać:

„Szanowny Panie Doktorze,

Otrzymałem Pański list i zawarte w nim pytanie postawiłem pannie Bertram. Poprosiła o trzy dni na zastanowienie się. Popieram jej zamiar, gdyż powinna dokładnie przemyśleć każde słowo Pańskiego listu. Panu też radzę zrobić to samo, zwłaszcza że czuję się zobowiązany sprostować fałszywą informację krążącą po okolicy, jakoby moja wychowanica była spadkobierczynią ogromnego majątku. Owszem, ma trochę oszczędności, ale odsetki wystarczą zaledwie na najniezbędniejsze wydatki. Jeżeli Pański zamiar oświadczenia się był poważny, oczekujemy Pana w Lindenhof za trzy dni. Wtedy też moja wychowanica da Panu ostateczną odpowiedź.

Z poważaniem Franz Marlitz"

Podał kartkę Malwinie.

— Przeczytaj i dopisz kilka słów. Pamiętaj, żeby niczego nie obiecywać.

Malwina nie była zadowolona z pomysłu wuja, ale skoro się upierał... Bez słowa podała mu list. Nie wstając od biurka, odebrał kartkę i niby chcąc osuszyć atrament, wsadził ją pod bibułę.

Spod bibuły wyjął jednak list napisany przed przyjściem Malwiny. Złożył go i ostentacyjnie włożył do koperty. Napisał szybko adres. Podając czystą kartkę papieru, rzekł:

— Napisz raczej osobno.

Usiadła przy biurku. Chwilę się zastanawiała, a w końcu skreśliła tylko jedno zdanie:

„Proszę się nie gniewać, ale nie mogę nic poradzić. Szczerze oddana Malwa Bertram.”

Podala kartkę Marlitzowi. Czytał z wielkim napięciem, ale szybko się uspokoił. Śmiało mógł dołączyć list Malwiny do swojego: nic nie popsukała, wręcz przeciwnie.

— Dobrze, Malwinko — uśmiechnął się. — Napisałaś niezobowiązująco.

Złożył kartkę i wsadził ją do tej samej koperty, którą starannie od razu zakleił. Przez lokaja kazał zawołać posłańca czekającego na odpowiedź w kuchni, gdzie poczęstowano go zaraz po przybyciu herbatą.

Dał mu list do pana Lersingena, czego Malwina była świadkiem. Nie wiedziała tylko, że zawierał on inną odpowiedź niż ta, którą czytała przed chwilą.

Gdy posłaniec odszedł, Marlitz rzekł do Malwy:

— Idź teraz do ciotki Herty, bo ja mam jeszcze dużo pracy. Życzę ci, żeby pan Lersingen wytrzymał te trzy dni.

Malwina uśmiechnęła się:

— Wytrzyma, wytrzyma, a ty będziesz musiał go przeprosić.

— Chętnie to zrobię, moje dziecko. Nie zapominaj, że zastępuję ci ojca.

Malwa zmarszczyła brwi.

— Ojciec na pewno by tak nie postąpił — rzekła cicho i wyszła z gabinetu.

Marlitz patrzył za nią dziwnym wzrokiem.

— Będziesz musiała pogodzić się z faktem, że on tej próby nie przetrzyma — rzekł sam do siebie.

Usiadł przy biurku, wyjął spod bibuły list, który czytała Malwina, i podarł go na drobne strzępy.

Zabrał się do rachunków. Tylko on wiedział, że Malwina rzeczywiście, i to od dawna, nie miała już ani grosza, gdyż zdążył wszystko wydać. Gdy trzy lata temu dziewczyna przyszła do jego domu, Marlitz był bliski bankructwa, o czym prawie nikt nie wiedział. Za jej pieniądze stanął znowu na nogi. Podpisywała każdy czek, który opiekun podsunął jej pod nos. Pieniądze na drobne wydatki dawał jej Marlitz, więc Malwina zadowolila się, że ma to, czego potrzebuje. Tymczasem on, chcąc odzyskać zdefraudowany majątek dziewczyny, wdał się w przeróżne spekulacje, ale jakoś nie miał szczęścia: zamiast zarabiać, ciągle tracił, i to coraz więcej.

Sytuacja pogarszała się z roku na rok, a on ciągle ryzykował. Tracił powoli nerwy i przez to nawet trafione przedsięwzięcia po pewnym czasie obracały się w klęskę. Żył w ciągłym stra-

chu, że ktoś odkryje jego machinacje. Malwina dochodziła do pełnoletności. Co on zrobi, gdy będzie musiał przekazać jej sprawy finansowe?

Jak każdy hazardzista liczył na szczęście i wierzył, że przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami wychowanicy zdąży odzyskać jej pieniądze i uwolni się od kłopotów. Teraz jednak miał już niewiele czasu.

Resztkę majątku Malwiny musiał więc postawić na jedną kartę. W razie potrzeby odda pod zastaw cały Lindenhof, byleby tylko mieć pieniądze w garści. Rzuci wszystko na szalę i albo wygra, albo strzeli sobie w łeb!

6

Herta Marlitz siedziała w salonie przy oknie i szyła coś w rękach. Było to jej codzienne zajęcie. Właściwie zajmowała się tylko pracami domowymi, gdyż mąż uważał, że na niczym się nie zna, a ona przyznawała mu rację. Oczywiście, nie wiedziała też o ich tragicznej sytuacji finansowej. Gdy Malwa weszła, pani Marlitz podniosła wzrok znad robótki:

— Co wujek Franz chciał od ciebie, Malwo?

— Musieliśmy coś uzgodnić, ciociu Herto.

— Coś ważnego?

Zaczerwieniła się, ale przyznała otwarcie:

— Pan Lersingen prosił wuja Franza o moją rękę.

Pani Marlitz natychmiast odłożyła szycie.

— Naprawdę? Dawno wiedziałam, że tak będzie. Rozglądał się tylko za tobą. To interesujący i przystojny mężczyzna. Tobie też się chyba spodobał, a może wolisz doktora van der Straatena? To dopiero przystojniak!

— Oddałam serce Lersingenowi, ciociu — rzekła poważnie.

— Och, to bardzo się cieszę. Kiedy urządzamy zaręczyny?

— Wkrótce, mam nadzieję.

— Dlaczego się wahasz? Nie przyjęłaś oświadczyn?

— Nie pozwolił mi wuj Franz. On podejrzewa, że panu Lersingenowi nie o miłość chodzi, ale o moje pieniądze i dlatego chce się ze mną ożenić.

Pani Marlitz zrobiła ruch rękoma, jakby chciała się przed czymś bronić.

— Co on? Nie widział, jakimi oczyma tamten za tobą wodził! Wuj zawsze, gdy tylko ktoś na ciebie cieplej spojrzy, od razu robi się podejrzliwy. Dokładnie tak samo było z naszymi córkami. Wszędzie widział tylko łowców posagu. Mój Boże! A czegoż można było u nas szukać? Z tobą jest inaczej, bo ty rzeczywiście jesteś bardzo bogata, ale zanim zjawi się ktoś, komu na majątku nie zależy, zostaniesz starą panną! Doktor Lersingen z pewnością nie czyha na posag, ale też ucieszy się, jeżeli żona wniesie trochę grosza. Nie wygląda na bogatego i trudno się dziwić, że szuka żony wśród zamożniejszych od siebie. Każdy by tak zrobił, ale najważniejsze, żeby cię kochał.

Słowa wypowiedziane przez Marlitzę w gabinecie nie zrobiły na Malwie żadnego wrażenia, ale to, co powiedziała teraz ciotka, zastanowiło ją.

— Sądziś więc, ciociu, że doktor Lersingen nie oświadczyłby się, gdyby nie wiedział, że jestem bogata? — spytała cicho.

— Nie, wcale tak nie myślałam — zaśmiała się. — Ale byłaby to z jego strony lekko-myślność, gdyby będąc w tak marnej kondycji finansowej, jeszcze chciał się ożenić z biedaczką. Zarabia z ledwością na swoje utrzymanie i gdzie tu myśleć o założeniu rodziny?

Malwina westchnęła głęboko. Po raz pierwszy na jej wyśnionym szczęściu położył się cień. Zapatrzyła się przed siebie i opowiedziała ciotce o próbie, którą wuj Franz wymyślił dla Lersingena, i o liście, który do niego wysłał.

Ciotka Herta zaśmiała się i pokręciła głową.

— Och, ci mężczyźni! Zarozumiali, pełni podejrzeń i domysłów! Nie gniewaj się na wuja, Malwinko, on chce twojego dobra, a trzy dni miną, jak z bicia trzasł.

— Naprawdę, wolałabym być biedna! — rzekła, pocierając czoło. Ciotka z przerażeniem w oczach zatkała jej ręką usta.

— Uwważaj, dziewczyno, żebyś nie zgrzeszyła! Takie życzenia, nawet wymówione nieświadomie, potrafią czasami się spełnić. Ciesz się, że masz pieniądze, i ciesz się szczęściem, które cię czeka. Jeżeli pan Lersingen bardzo cię kocha, to i tak nie ożeniłby się z tobą, gdybyś nic nie miała. Musiałabyś czekać, aż się dorobi.

Malwina westchnęła i poweselała trochę.

— Masz rację, ciociu. Plotę głupstwa i nie powinnam już myśleć, co będzie dalej. Wiem, że mnie kocha, i to wystarczy.

— Powiedział ci to? Rozmawialiście wczoraj w Hagenau? — ciocia Herta próbowała dowiedzieć się szczegółów i zaspokoić babską ciekawość.

— Nie rozmawialiśmy, ciociu, ale to się przecież czuje. Byłam zła na wuja, że nie pytając mnie o zdanie, zabronił mi powiedzieć od razu: tak. Odebrał mi najpiękniejszą chwilę szczęścia.

— Daj już spokój, Malwinko. Przeżyjesz ją za trzy dni — uspokajała ją starsza pani.

W tym momencie weszła pokojówka informując, że Gertruda Kainzerowa chciałaby rozmawiać z jaśnie panią.

— Niech tu wejdzie — odpowiedziała pani Herta.

Pokojówka zniknęła, a po chwili w drzwiach stanęła schludnie ubrana żona ogrodnika z Lindenhof.

Stała w progu zakłopotana, szarpiąc nerwowo brzeżek fartucha, patrzyła raz na Malwinę, raz na panią Marlitz.

— Co tam dobrego, Gertrudo? — zachęcała ją pani Herta.

Kobieta popatrzyła na Malwę.

— Mom zmartwienie, ale przy paniencie nieswojo mi gadać — odezwała się wreszcie, usiłując nie mówić dialektem bawarskim.

Malwina wstała:

— Poczekam na werandzie, ciociu. Proszę mnie zawołać, Gertrudo, gdy pani skończy — rzekła, uśmiechając się uprzejmie.

Kobieta ukloniła się.

— Bóg wam zapłać, panienko, i nie gniewojcie się na mnie, ale dło mnie to ważno gadka.

Malwina wyszła, a pani Marlitz uśmiechnęła się znowu.

— No, chodźcież tu bliżej, Gertrudo, i mówcie, o co chodzi.

Kobieta była wyraźnie zdenerwowana.

— Ach, pani! Tak ciężko mi na sercu, a jak mi nie pomożecie, to nie wiem, co zrobić z tą moją Vreni?

— Waszą córką, prawda?

— A któżby, pani? Pomogliście ji dostać robotę u tego nowego pana w Hagenau. Tu przichodziła ino w niedziele, a u Kainzera robi ten Seppel, pomocnik w ogrodzie, wiecie. Dobry z niego parobek. A jak to młodzi... Vreni mu się spodobała, a on ji też, no i tak długo chodzili, aż wychodzili. Seppel chce się żenić, żeby choć dziecko miało już jakieś nazwisko, no nie? Ale, Józefie święty, za co fu robić wesele? Ino wy, pani, i jaśnie pan możecie nos poratować.

Pani Marlitz nie wyglądała na zaskoczoną. Historie takie zdarzają się ludziom ze wszystkich sfer. Wstrzymała się od komentarza, westchnęła tylko i spytała:

— W czym mogłabym pomóc, Gertrudo?

— Jużech o tym myślała, pani. Nad naszymi izbami są śpichlerze, kaj Kainzer chowie narzędzia i nasienie. Gdyby to przenieść do jednego pomieszczenia, dwa by były próżne. Wiem, że tu we dworze, na strychu, macie stare meble. Pomagałach przy sprzątaniu, toch widziałam. Jak byście nam je mogli dać, to by Kainzer i Seppel w niedzielę je trocha wyrychtowali. Mam już ździebko bielizny dla Vreni, ale można macie jakie stare poswy i prześcieradła? Na pewno młodym się przydadzą na początek, a oni wam wszystko odrobiją... Jak już tak się stało... Czy byście nam mogli pomóc, pani...

Gertruda przerwała w pół zdania, bo drzwi się otworzyły i wszedł pan Marlitz. Zdziwił się, widząc żonę ogrodnika w dworskim salonie.

— Co się dzieje, Gertrudo? — spytał.

Kobieta skuliła się ze strachu. Marlitz właściwie bali się wszyscy. Herta opowiedziała mu w kilku słowach o kłopotach w rodzinie ogrodnika. Marlitz spojrzał na Gertrudę z tak groźną miną, że kobieta straciła już wszelką nadzieję na pomoc.

— Co za lekkomyślność! To Kainzer nie mógł zawczasu uderzyć pięścią w stół?

— Walił, jasnie panie, ale co to pomogło? — narzekała. — To nasze dziecko, przecie je nie wygonimy. Dla nas to już utrapienie, a ino wy, jasnie pan i pani, możecie uratować naszą Vreni. Ona i Seppel, Kainzer i ja, wszyscy będziemy pilnie pracować i za wszystko się odwdzięcimy.

Franz Marlitz zastanawiał się przez chwilę. Jak tu wykorzystać tych ludzi gotowych na wszystko, szukających wyjścia z beznadziejnie trudnej sytuacji?

— Więc Vreni chce wyjść za mąż? — spytał.

Gertruda skwapliwie przytaknęła widząc, że rysuje się jakaś szansa.

— Seppel też się zgadza?

— To dobry młodzieniec, jasnie panie. Taki zaradny i tak się stara, by nie ukrzywdzić naszej Vreni. Gdzieś ino by musiał mieszkać i trocha statków też by potrzebował.

Franz cały czas myślał, czy może coś zyskać, gdy nagle przypomniał sobie, że Vreni jest pokojówką we dworze Hagenau.

— Muszę się zastanowić, Gertrudo. Niech Vreni przyjdzie do mnie jutro przed południem — jest przecież niedziela. Ja do tego czasu pomyślę, jak wam pomóc.

Kobieta rozplakała się ze szczęścia. Dziękując obiecała, że jutro przyśle Vreni do dworu.

Gdy wyszła, Marlitz rzekł:

— Co za bezmyślni ludzie. Dłużej ich lekkomyślności nie będę tolerować.

— My i tak nic nie poradzimy, Franz. Młodzi ludzie są wszyscy jednakowi, a darując im rzeczy nam niepotrzebne, zyskamy ich przychylność. Nie zaszkodzi obsztorcować trochę Vreni. To się jej przyda. Bo chyba po to kazałeś jej przyjść.

— Oczywiście. Po cóż innego bym ją wzywał — rzekł, będąc myślami już gdzie indziej.

7

Po obiedzie Hendrik i Rüdiger siedzieli na tarasie, gdy posłaniec przyniósł z poczty telegram. Hendrik przeczytał treść i popatrzył na Lersingena zmarszczywszy brwi.

— Niedobra wiadomość, Hendriku? — spytał zaniepokojony Rüdiger.

— Niestety. Zarządca mojej plantacji na Sumatrze uległ wypadkowi. Nie żyje. Będę miał kłopot, bo gdzie znajdę szybko kogoś na jego miejsce. Tam potrzeba zaufanego i energicznego człowieka. Obecny personel da sobie jakoś radę, ale nie na długo. Właściwie powinienem natychmiast wyjechać i zająć się wszystkim sam, ale nie mogę. Wiesz przecież dlaczego.

— Rozumiem, Hendriku, twoją rozterkę, ale jakieś wyjście się znajdzie.

— Muszę tam kogoś mieć i to prędko.

Rüdiger potarł ręką czoło.

— Gdyby nie Malwa Bertram, chyba bym się zdecydował przyjąć to stanowisko. Pamiętasz? Myślałem nawet, żeby kupić coś na Sumatrze dla siebie.

— Tak. Tobie powierzyłbym tę posiadłość bez wahania. Lepszego zarządcy bym przecież nie znalazł. Ale ciebie trzyma tu Malwa, podobnie jak mnie Daniela.

— Niestety, drogi przyjacielu, przyszedł czas, że nieodwołalnie będziemy musieli się rozstać — uśmiechnął się Lersingen.

— Rozstać? O czym ty mówisz, Rüdigerze?

— Gdy wprowadzisz tu żonę, dla mnie nie będzie już miejsca.

— Co ty opowiadasz! Dom jest duży i spokojnie możesz tu mieszkać, nawet gdy będę żoną, pod warunkiem, że żoną będzie Malwina.

Rüdiger pokręcił głową.

— Nie, nie, Hendriku. Pracę skończyliśmy i najwyższy czas, żebym pomyślał o własnej przyszłości. Jak wiesz, poprosiłem o rękę Malwiny i czekam na odpowiedź, mam nadzieję, że pozytywną.

— Skąd te wątpliwości? Panna Bertram tak wodziła za tobą oczyma, że nie sądzę, by teraz odrzuciła twoje oświadczenia.

— Czasami też mam wrażenie, że ona mnie kocha, a zaraz potem oblatuje mnie strach, że mogę się mylić. Dziś sprawa się rozstrzygnie. Jeżeli dostanę kosza, nikt i nic nie zatrzyma mnie w Niemczech. Wyjadę prosto na Sumatrę. Mam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie, bo chyba nie pomyliłem się co do Malwiny.

— Rozumiem twoje zgrzyoty, Rüdigerze, gdyż jestem w identycznej sytuacji, jeżeli chodzi o Daniełę. Muszę upewnić się, na czym stoję, ale póki co i niezależnie od rezultatów — trzymajmy się razem.

Rüdiger uściskał mu dłoń.

— Oczywiście, Hendriku. Przecież prócz Malwy, której oddałem serce i duszę, mam tylko ciebie.

Spojrzał tęsknym wzrokiem na pas trawy oddzielający taras od parku. Tędy powinien nadejść posłaniec z Lindenhof. Gdy zobaczył go między drzewami, bez słowa rzucił się do schodów i wybiegł mu naprzeciw.

Służący wyjął z torby list i rzekł:

— Jest odpowiedź, panie doktorze.

— Kto ją panu wręczył? — spytał Lersingen.

— Pan Marlitz, oczywiście.

— Był wtedy sam?

— Skądże! Panienska też przy tym była.

Rüdiger wręczył posłańcowi banknot, a sam wbiegł szybko po schodach na taras. Usiadł w fotelu i wyjął z koperty obie kartki. Rozwinął tę od Malwiny i osłupiał rozczarowany: tylko jedno zdanie? „Proszę się nie gniewać, ale nie mogę nic poradzić. Szczerze oddana Malwa Bertram”.

Serce biło mu jak oszalałe. Czuł, że jego szczęście skończyło się, zanim zdążyło się naprawdę zacząć. Drżącymi palcami rozwinął drugą kartkę, tę, którą Marlitz napisał jeszcze przed rozmową z Malwiną. Odpowiedź brzmiała tak:

„Szanowny Panie Doktorze,

Pański list, w którym prosi mnie Pan o zgodę na oświadczenie się mojej wychowawicy, dałem jej do przeczytania. Z przykrością musi Pańską prośbę odrzucić i mimo wielkiego szacunku, jakim Pana darzy, nie może przyjąć oświadczyń, gdyż bez miłości nie wyobraża sobie małżeństwa. Prosiła, żebym wyręczył ją w tej kłopotliwej dla niej sytuacji i przekazał Panu tę odpowiedź. Przeczytała ten list i uznaje, że właściwie oddaje to, co chciała wyrazić. W jej obecności wręczyłem kopertę posłańcowi.

Z poważaniem Franz Marlitz."

Rüdiger zacisnął zęby. Złożył obie kartki i wsadził je z powrotem do koperty. Przez chwilę siedział blady z zamkniętymi oczyma. Hendrik nagle się zaniepokoił.

— Rudi, co się stało?

Lersingen jak wyrwany ze snu wstał z trudem z fotela.

— Przepraszam cię, ale chcę teraz zostać sam. Odmówiła, pisze, że mnie nie kocha.

Zerwał się i pobiegł na oślep przed siebie. Zaszył się w najodleglejszym zakamarku i długo nie mógł się uspokoić.

Dlaczego tak mocno uwierzył w miłość Malwy? Wczoraj przy pożegnaniu wyraźnie czuł, że drżała jej ręka. Patrzyła tak czule w oczy... Dlaczego, jeżeli nie kocha?

Rüdiger nie należał do ludzi, którzy z tak wielkim zawodem potrafią się łatwo pogodzić. On przeżywał wszystko bardzo głęboko i każdy zawód odczuwał boleśnie. Niewiele miał w życiu radości, a te, których doświadczył, pieczołowicie przechowywał w pamięci i w sercu. Tak było z Malwiną. Liczył, że zostanie jego żoną, a ona go nawet nie kochała!

Popatrzył nieprzytomnym wzrokiem w stronę gór, za którymi leżał dwór Lindenhof, widział wąskie wejście do wąwozu, który jak czarna kreska oddzielał dwa górskie kolosy. Tam właśnie zobaczył Malwę po raz pierwszy, gdy przestraszona, z pobladłą twarzą siedziała bezradnie na ścieżce. Tak ją zapamiętał i taki obraz pozostanie mu w pamięci na zawsze. Nigdy jej nie zapomni, nigdy nie pokocha innej kobiety tak, jak kochał, jak kocha Malwę... mimo wszystko. Wyjął z koperty jej list.

„Proszę się nie gniewać, ale nie mogę nic poradzić".

Przed oczami stanął mu wizerunek Malwy, bardzo wyraźny, jak żywy. Czuł, jakby patrzyła na niego w rzeczywistości. Jej słowa brzmiały tak niezdecydowanie, wzruszająco i beznadziejnie, wręcz bojaźliwie. Nie, na pewno nie chciała sprawić mu przykrości. Tego był pe-

wien. Zrobiło się jej go żal, ze współczucia sięgnęła po pióro i skreśliła tych kilka słów. Myśl ta wcale nie uspokoiła Rüdigera, wręcz przeciwnie: załamał się jeszcze bardziej. Nie czuł jednak nienawiści. Chciał tylko jak najprędzej zapomnieć o wszystkim.

Na pewno nie będzie próbował spotkać się z Malwiną, to było pewne.

Dopiero po kilku godzinach zdecydował się wrócić do domu. Hendrik wyszedł mu naprzeciw.

— Dzięki Bogu, że wróciłeś, Rudi. Już zaczynałem się martwić o ciebie — rzekł, obejmując przyjaciela ramieniem.

Rüdiger popatrzył na niego rozgorączkowanymi oczyma.

— Wybacz. Potrzebowałem kilku chwil samotności. Mam do ciebie prośbę, Hendriku: wyślij mnie na Sumatrę. Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby dobrze poprowadzić twoją plantację. Muszę coś zrobić i wyjechać stąd jak najdalej, nawet jeszcze dziś.

Hendrik westchnął głęboko.

— Rudi, czy naprawdę nie masz już żadnej nadziei?

Rüdiger zmarszczył czoło.

— Nie kocha mnie, więc na co mam liczyć? Nie chcę jej więcej widzieć i dlatego muszę wyjechać.

— Oczywiście, że nie sprzeciwię się twojej decyzji. Tak było przecież zawsze. Skoro chcesz i musisz wyjechać, siłą cię nie zatrzymam. Nie rozumiem tylko, dlaczego Malwa cię nie kocha? Dałbym sobie rękę odciąć, że jest inaczej. Ale takie właśnie są kobiety. Kto je naprawdę rozumie? Jeżeli rzeczywiście chcesz wyjechać na Sumatrę, komuż jak nie tobie powierzę zarząd nad plantacją? Będę podwójnie zadowolony, gdyż pomogę ci zapomnieć o tym przykrym zdarzeniu i nie będę się martwił o zarządcę. A może uda ci się zrealizować twój dawny plan i kupisz jakąś posiadłość w pobliżu mojej? Mój zarządca pisał mi krótko przed swoją tragiczną śmiercią, że na południe od Madali i Ramaniny niejaki pan Stolten sprzedaje posiadłość, gdyż ze względu na zdrowie musi wracać do Holandii. Znam tę plantację. Jest niewielka, w sam raz dla ciebie. Byłbyś sąsiadem moim i pani Saalfner. Pamiętasz właścicielkę Ramaniny?

Rüdiger przytaknął.

— Oczywiście, Hendriku. To bardzo interesująca kobieta. Prawdziwa białowłosa królowa. Pamiętam ją doskonale.

Usiedli w gabinecie i zajęli się przygotowaniami do wyjazdu. Hendrik wystawił Rüdigerowi pełnomocnictwo i wyjaśnił, co ma zrobić po przybyciu na Sumatrę.

— Napiszę ci od razu, jak mi poszło z Danielą — westchnął głęboko. — Gdy zgodzi się zostać moją żoną, wyjedziemy w podróż poślubną, oczywiście do Madali, i tam się zobaczymy. Teraz jednak całkiem już opuściła mnie odwaga i boję się postawić jej to ważne pytanie. Skoro Malwa nie kocha ciebie, to skąd mam mieć pewność, że z Danielą nie będzie tak samo? Póki co, nie rezygnuję i nie wyjadę stąd. Nie mogę uwierzyć, że się rozstajemy, Rüdigerze.

— Trudno, Hendriku, ale dla mnie jest to najlepsze wyjście.

Wieczorem Lersingen był już spakowany i gotów do wyjazdu nocnym pociągiem do Monachium. Tam dopiero podejmie dalsze przygotowania do podróży za morze. Spieszył się, jakby ziemia paliła się mu pod nogami.

— Nie pożegnasz się z Danielą i jej matką? — zdziwił się Hendrik, gdy Rüdiger stał już ubrany do wyjścia.

Potrząsnął głową.

— Nie. Przepróż obie panie w moim imieniu i wymyśl jakiś powód nagłego wyjazdu. Nie mów im, przynajmniej na razie, że jestem na Sumatrze. Malwa mogłaby się o tym dowiedzieć, a ja chcę wymazać ją całkowicie z mojej pamięci i z życia.

— Coś jednak będę musiał powiedzieć.

Rüdiger zamknął na chwilę oczy, po czym rzekł zdecydowanie:

— Państwu z Lindenhof przekaz wyrazy uszanowania i przepróż, że się nie pożegnałem. Powiedz, że musiałem nagle wyjechać w interesach. I proszę cię, udawaj, że sam nie wiesz dokładnie dokąd. Nie chciałbym psuć waszych stosunków. Malwa jest przyjaciółką Danieli, będziecie się spotykać, więc lepiej niech ona wierzy, że ty o niczym nie wiesz.

Hendrik odwiózł przyjaciela na stację kolejową. Tam pożegnali się bardzo serdecznie i po chwili Rüdiger siedział już w wagonie pociągu zdążającego do Monachium. Pomachał jeszcze tylko przez okno przyjacielowi i bezsilnie opadł na miękkie fotel. Zamknął oczy. Znowu był zupełnie sam jak przez większość przeżytych lat.

Nie wiedział, niestety, że padł ofiarą nikczemnej gry, której celem było oddzielenie go od Malwy Bertram.

Po wysłaniu przez wuja listu Malwina czuła jakiś dziwny niepokój. Nie mogła też pogodzić się z myślą, że nie wolno jej natychmiast przyjąć oświadczyn Lersingena, powiedzieć tego radosnego „tak”.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej tęskniła za tą chwilą, gdy będzie mogła wyjaśnić Rüdigerowi, że to nie ona kazała mu czekać aż trzy dni. Ani przez moment nie wątpiła, że on wytrzyma tę próbę.

Niepokój jednak nie opuszczał jej ani na chwilę. Najchętniej pobiegłaby od razu do Hagenau i zwierzyła się Danieli, ale się nie odważyła. Mogłaby natknąć się na Rüdigera i co by wtedy zrobiła?

Na samą myśl o nim zarumieniła się. Do końca dnia nie mogła sobie znaleźć miejsca i kręciła się bez celu po całym domu.

Nazajutrz, gdy do południa siedziała z ciotką Hertą na werandzie, zobaczyła Vreni wchodzącą do gabinetu Marlitza. Dziewczyna ukloniła się z daleka obu damom i zniknęła za drzwiami.

— Po co też Vreni przychodzi do wuja? — zainteresowała się Malwa.

— Wychodzi za mąż za Seppela, pomocnika ogrodnika, i wuj chce jej trochę pomóc.

— Och, to i ja pomogę tym młodym — zaproponowała Malwina.

— Na pewno się ucieszą. Ale nie przesadzaj z tą hojnością, bo rozpuścisz mi służbę.

— Pamiętam o tym, ciociu Herto — uśmiechnęła się.

Vreni tymczasem weszła do gabinetu Marlitza.

— Szczęść Boże, jaśnie panie. Matka posłała mnie, co bym poprosiła o pozwolenie na ślub Seppela i mój — rzekła śliczna córka ogrodnika, stojąc w progu.

— Daj Boże, Vreni. A więc chcesz wyjść za mąż? I myślisz, że ja od razu dam wam dom i na dodatek dozorcę — rzekł naburmuszony.

Vreni stanęła w pąsach.

— Oj, to nie myślałam, ale za wszystko, co dostaniemy, będziemy dziękować Panu Bogu i zrobimy dla jaśnie pana, co tylko zechce.

— To tylko czcze gadanie, a żadnego pożytku...

— O nie! Tak się boję tego małżeństwa i wszystkich kłopotów, a gdy ktoś nam pomoże, to mu tego nigdy nie zapomnimy.

Marlitz spojrział na dziewczynę groźnym wzrokiem.

— A gdybym tak sprawdził, czy mówisz prawdę, co Vreni? Naprawdę chciałybyś się odwdzińczyć?

— Tak, jaśnie panie. Jestem gotowa to udowodnić.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

— Już dobrze. Każę przygotować wam to mieszkanie i pomogę je urządzić. Idźcie jutro z Seppem do Gundlingen i dajcie u proboszcza na zapowiedzi, ale do ciebie miałbym prośbę już teraz.

W oczach Vreni pojawił się błysk.

— Ach, jaśnie panie, proszę powiedzieć, co mogłabym zrobić?

— Hm! Dalej pracujesz w Hagenau? Widujesz na pewno doktora Lersingena, który jest gościem twojego pana.

— Ano, ale doktor Lersingen wyjechał wczoraj wieczorem.

Marlitz aż zaniemówił.

— Pan Lersingen wyjechał? Chyba na kilka dni?

— Nie, na zawsze. Zabrał ze sobą ogromny kufer, a Heinrichowi, służącemu, powiedział, że już nigdy nie wróci do Hagenau. Chce jechać gdzieś na wielkim statku, tak powiedział.

Dziwny błysk w oczach Marlitz'a jeszcze się nasilił. Wyjazd Lersingena był mu bardzo na rękę. Na pewno uciekł po przeczytaniu listu. Jako odrzucony narzeczony nie zbliży się do Malwiny już nigdy więcej.

Właściwie Vreni nie była już teraz Marlitzowi potrzebna, ale czemu nie zabezpieczyć się podwójnie? Uśmiechnął się cynicznie pod wąsem.

— Powiedz mi, Vreni, ten Lersingen często uganiał się za kobietami?

Dziewczyna ze zdziwieniem pokręciła głową.

— Skądże, z żadną go nie widziałach.

Popatrzył na nią niezadowolony.

— Musiałaś przecież widzieć. Ja byłem w Hagenau tylko raz i widziałem Lersingena w parku, jak całował się z jedną pacjentką doktora Hallera.

— Kie ja naprawdę nic nie widziała.

Wstał i stanął na wprost dziewczyny.

— Skoro ja widziałem, to ty też musiałaś widzieć. Zrozumiano! Musisz powiedzieć panie Malwinie, że to ty widziałaś Lersingena w tym parku. Jak nie powiesz, to nic nie dostaniesz

i żadnego wesela nie będzie. Chcę, żebyś zrobiła to, co ci kazałem. Sam nie mam odwagi powiedzieć o tym panie Malwinie, a jeżeli ona się o tym nie dowie, spotka ją wielkie nieszczęście. Chyba nie chcesz, Vreni, żeby się tak stało? Rozumiesz?

Nie rozumiała niczego poza tym, że ma okłamać panienkę Malwę, która zawsze była dla niej taka dobra. Ale skoro miało to uchronić ją przed nieszczęściem? Jaśnie pan chyba wie, co robi? Żeby móc wyjść za Seppela, Vreni gotowa była skłamać jeszcze nieraz. Chodziło przecież o dziecko, które nie powinno urodzić się bękartem.

Przycisnęła rękę do serca i powiedziała:

— Dobrze, powtórzę panience to, co pan chce. Niech już tak będzie.

— To zawołam teraz pannę Bertram, a jak jej wszystko powiesz, możesz od razu iść z Seppelem do księdza.

— Stokrotne Bóg zapłać, jaśnie panie.

Powiedział jej jeszcze raz dokładnie, co ma przekazać Malwinie, po czym zadzwonił na lokaja i kazał mu zawołać pannę Bertram. Gdy weszła, zbliżył się do niej i ujął za rękę.

— Moje biedne dziecko! — rzekł płaczliwym głosem. — Musisz zdobyć się na odwagę. Vreni powiedziała mi coś, co bardzo boleśnie cię zrani. Niestety, jak przypuszczałem już wcześniej, doktor Lersingen nie zasłużył na twoje zaufanie.

Zbladła i popatrzyła szeroko otwartymi oczami.

— Co się stało, wuju? — wyjąkała.

Poprowadził ją do fotela.

— Usiądź, moje dziecko. Vreni powtórzy ci wszystko, co widziała. Śmiało, Vreni, mów! Dziewczyna poczerwieniała, ale bezbłędnie powtórzyła historyjkę, której nauczył ją Marlitz:

— Nie wiem, czemu to takie ważne, ale jak jaśnie pan chce, to powiem jeszcze raz. Pan Lersingen wyjechał wczora. Powiedział, że na zawsze odpłynie na wielkim statku. A ja sobie pomyślałam, że ta panienska z sanatorium od Hallera, to teraz se oczy wypłacze. Przedwczora widziałach ich w parku, jak się obejmowali i całowali, a dziś jego już nie ma. To tyle, co o tym wiem — odetchnęła z ulgą, że ma to wreszcie za sobą.

Malwina znieruchomiała i z pobladłą twarzą patrzyła na Vreni. Nie mogła wydobyć z siebie słowa, a gdy wreszcie uspokoiła się trochę, spytała:

— Pan Lersingen wyjechał z Hagenau?

Vreni skinęła głową i nieco skołowana patrzyła na Malwinę.

— Wczoraj wieczorem nasz pan zawiózł go na stację do Gundlingen. Zabrał też wszystkie bagaże, bo nigdy nie wróci. Pojechał najpierw do Monachium, a potem dalej popłynie gdzieś statkiem. Tak powiedział służącemu Heinrichowi.

Malwina zagryzła wargi, chcąc ukryć ich drżenie.

— A tę dziewczynę z sanatorium to pani widziała, Vreni?

— Tak, całowali się i obejmowali — skłamała, nie mrugnawszy okiem.

Franz Marlitz przerwał tę rozmowę.

— Już wystarczy, Vreni. Może pani już iść i radzę się pospieszyć, bo przyjdziecie do proboszcza za późno. O mieszkaniu dla was porozmawiam z twoimi rodzicami.

Vreni ukloniła się i odetchnęła z ulgą.

— Bóg zapłać, jaśnie panie. Stokrotne Bóg zapłać.

Zniknęła szybko za drzwiami.

Franz Marlitz patrzył na Malwinę z wyższością:

— Biedaczko! Widzisz przynajmniej, że miałem rację. Z tobą chciał się ożenić dla pieniędzy, a flirtował z tamtą. A gdy mu napisałem, że nie jesteś bogata, dał drapaką. To typowe zachowanie nikczemnego łowcy posagów.

Malwina słuchając go, to rumieniła się, to bladła. Nagle wstała.

— Przepraszam, chcę zostać sama — rzekła krótko i ruszyła szybko przed siebie.

Marlitz patrzył za nią zadowolony.

— Niebezpieczeństwo chwilowo zażegnane — pomyślał. — Zysk na czasie, to duży zysk!

Malwina z trudem dowlokła się do swojego pokoju. Usiadła na kanapie i zakryła twarz rękoma. Nie potrafiła wydobyć z siebie ani jednego jęku skargi, ani jedna łza nie popłynęła jej z oczu. Czuła, jakby naraz umarła. Słowa Vreni zburzyły jej obraz Rüdigera, jaki wrył jej się głęboko w pamięć, gdy pierwszy raz spotkali się w górskim wąwozie. Runął jej ideał. Jeszcze wczoraj gotowa była wyjść za niego za mąż, a on, gdy dowiedział się, że jest biedna, uciekł, by się z nią nie ożenić.

Ogarnął ją palący wstyd, że oddała serce komuś, kto nie kochał, a tylko udawał, bo chciał zdobyć jej posag.

Leżała półprzytomna z bólu, pogrążona jakby we śnie. Zerwała się, gdy służąca zapukała do drzwi, prosząc na obiad.

Wymówiła się bólem głowy. Ciotka chciała natychmiast do niej pójść, ale Marlitz ją powstrzymał.

— Daj jej teraz spokój, Herto. Dziewczyne spotkał wielki zawód i musi się z tym uporać sama.

— O czym ty mówisz, Franz?

— Stało się tak, jak przewidywałem. Doktorowi chodziło tylko o posag. Przeczytał mój list i czmychnął jeszcze przed upływem czasu, jaki dałem mu na zastanowienie.

Pani Marlitz popatrzyła na męża zgorszona.

— Nie wiem, czy zrobiłeś dobrze, odgrywając tę komedię, Franz. Chyba nie przypuszczałeś, że w dzisiejszych trudnych czasach biedny mężczyzna odważy się poślubić dziewczynę bez posagu. A Malwina przecież jest bogata i z Lersingenem mogłaby być szczęśliwa.

— Zmienisz zdanie, gdy ci powiem, że ten Lersingen jeszcze przedwczoraj na przyjęciu w Hagenau — mówiąc ogólnie — flirtował z pacjentką doktora Hallera. Vreni widziała, jak się całowali.

— Biedna Malwina! Muszę zaraz do niej pójść.

— Lepiej zostań, Herto. Z tym każdy musi poradzić sobie sam. W tej chwili nie powinnaś jej przeszkadzać. Pójdiesz do niej później.

Pani Marlitz wytrzymała mniej więcej do piątej i nie chcąc czekać dłużej, zapukała do Malwiny. Dziewczyna, blada jak ściana, otworzyła po chwili wahania.

— Biedne dziecko! Czegóż to się nie dowiedziałam! Nie mogłam uwierzyć, że doktor Lersingen wyjechał, ale wuj spotkał dziś po południu pana van der Straatena. Potwierdził tę wiadomość i przekazał pozdrowienia, bo jego przyjaciel musiał nagle wyjechać w interesach. Nie miał nawet czasu, by przyjść się pożegnać.

— To i tak dobrze, że przekazał przynajmniej pozdrowienia — rzekła Malwina, patrząc półprzytomnie przed siebie.

— Na pewno ten wyjazd służbowy był tylko wymówką, bo przecież on...

Malwina przerwała jej w pół słowa.

— Proszę cię, ciociu! Nie rozmawiajmy o doktorze Lersingenie. Nie wspominaj nawet jego nazwiska. Chcę o nim jak najprędzej zapomnieć. Zostaw mnie teraz samą.

Malwa znalazła dosyć sił, by ukryć swój ból, ale za mało, by go nie odczuwać. Wróciła do normalnego trybu życia i ktoś, kto nie znał jej dobrze, nie zauważyłby żadnej zmiany. Ale

ona spoważniała i stała się bardziej dojrzała. Z jej twarzy zniknął lekki uśmiech dodający jej tyle uroku, a oczy, głęboko zamyślane, patrzyły bez wyrazu w dal.

W ciągu tych kilku dni Malwina wydorosłała. Zawód, jakiego doznało jej młode serce, zburzył jej dotychczasową wizję świata.

Od wielu dni nie opuszczała Lindenhof, unikając spotkania z Danielą czy doktorem van der Straatenem. W końcu przyjaciółka zaniepokoiła się tak długą nieobecnością Malwiny i wybrała się do Lindenhof. Malwina była tego dnia sama. Franz Marlitz z żoną wyjechali wczesnym rankiem do Monachium, gdzie mieli coś do załatwienia w banku. Franz po raz kolejny chciał zaryzykować. Termin pełnoletności jego podopiecznej zbliżał się nieuchronnie, a wraz z nim konieczność rozliczenia się z jej majątku, który on zdążył roztrwonić. Musiał postawić wszystko na jedną kartę i odzyskać pieniądze albo też przegrać do końca. Chciał zagrać *va banque*.

Malwa nie wiedziała, oczywiście, po co wuj jedzie do miasta. Ciotka namawiała ją, by wybrała się z nimi, ale dziewczyna odmówiła. Bała się, że doktor Lersingen jeszcze nie wyjechał z Monachium i może go przypadkiem spotkać.

Siedziała teraz na werandzie, a zobaczywszy Danielę wstała i ciężkim krokiem wyszła jej na spotkanie.

— Co z tobą, Malwinko? W ogóle nie pokazujesz się w Hagenau! Dawno już chciałam dowiedzieć się, jaki jest powód twojego zniknięcia, ale ciągle brakowało mi czasu. Wiesz, z wysyłką owoców mam teraz pełne ręce roboty.

— Wierzę ci, Dani, ale nie gniewaj się, że nie przyszłam. Nie czuję się najlepiej.

Daniela przyglądała się przyjaciółce z uwagą. Usiadła obok i chwyciła ją za rękę.

— Malwo, wiesz, że doktor Lersingen wyjechał?

Dziewczyna zbladła jeszcze bardziej.

— Tak, słyszałam.

— Przyszedł pożegnać się z wami?

Malwina podniosła dumnie głowę.

— Nie. Przekazał tylko pozdrowienia przez pana van der Straatena.

Daniela westchnęła głęboko.

— Nie wiem, co się stało, Malwino, ale ten nagły wyjazd pana Lersingena wydaje mi się niezrozumiały. Pytałam o to pana van der Straatena, a on wyjaśnił, że jego przyjaciel wyjechał w interesach, ale nie powiedział gdzie. Wspomnił coś o nowej wyprawie badawczej. Miałam

wrażenie, że czuł się skrępowany i nie chciał na ten temat rozmawiać. Najwyraźniej sam też był zaskoczony. Nic z tego nie rozumiem.

Malwinie drżały usta, ale odezwała się spokojnie.

— Dlaczego tak się dziwisz?

Daniela pogłaskała ją po dłoni.

— Bo myślałam, droga Malwo, że wy macie się ku sobie, ba, że się kochacie! Niedawno przecież, na przyjęciu w Hagenau, on cały czas wodził za tobą oczyma, a rozmawiając ze mną, wciąż mówił tylko o tobie. Ciągłe mnie wypytywał o ciebie. Ty też wyglądałaś na zakochaną. I co? Nagle nic z tego?

Malwina uśmiechnęła się z przekąsem.

— Masz przywidzenia, Danielo, i dostrzegasz coś, co nie istniało. Doktor Lersingen, jak widzisz, wyjechał, a ja... ja...

Słowa uwięzły jej w gardle i Malwina wybuchnęła płaczem. Daniela przeraziła się. Usiadła obok przyjaciółki i objęła ją serdecznie.

— A ty? Ty co, Malwinko?

— A ja życzę mu szczęśliwej podróży — odrzekła oschle, dumnie podnosząc głowę.

Daniela patrzyła na nią zaskoczona.

— Ależ, Malwino! Nie poznaję cię. Co się z tobą dzieje? — rzekła, gładząc ją po włosach.

— Nic. Proszę cię, jeżeli choć trochę mnie lubisz — a wiem, że tak jest — nie pytaj o nic i nie szukaj przyczyny mojej odmiany. Pomóż mi zapomnieć o wszystkim, co tu się ostatnio zdarzyło.

Malwina wstała i podeszła do balustrady. Po chwili odwróciła się i już z uśmiechem na twarzy rzekła:

— Jakżeż ja byłam naiwna, Dani! Jestem jeszcze trochę zdenerwowana, ale nie zwracaj na mnie uwagi. W ten sposób pomożesz mi najlepiej. Przyniosę herbatę.

Dziewczyny zmieniły temat rozmowy, ale Daniela cały czas miała wrażenie, że Malwinę coś gnębi. Nie chcąc przedłużać męczącej dla obu stron pogawędki, spytała, siłąc się na uśmiech:

— To kiedy do nas wpadniesz, Malwinko? Mama już tęskni za tobą.

Malwina zastanawiała się. Ostatecznie, siedzenie w Lindenhof niczego nie załatwia i nie ma też powodu, żeby martwić Danielę.

— Jeżeli ci odpowiada, przyjdę jutro rano — rzekła w końcu.

— Och, cieszę się. Zobaczysz przy okazji zbiory moich brzoskwiń, zanim wyślę je do Monachium. Niektóre owoce zasługują wręcz na podziw.

— Zasłużyłaś sobie na to, Dani. Co prawda macie zapewnione utrzymanie, ale każdy grosz przyda się przecież.

Daniela westchnęła i uśmiechnęła się.

— Cóż, pieniądze długo nie poleżą. Lubię je mieć, co wcale nie znaczy, że obudziła się we mnie kupiecka dusza. Gdy mogę za nie coś kupić mamie, to czuję się jak prawdziwa królowa.

Malwina ucałowała Danielę.

— Podziwiam cię, Dani. Jesteś taka dzielna. Przyjdę do ciebie jutro, a już dziś pozdrów ode mnie twoją uroczą mamę.

— Dziękuję i do zobaczenia.

Pożegnały się, ściskając sobie serdecznie dłonie.

9

Minęło kilka dni.

Daniela zawiozła na stację kolejową ostatnie skrzynki brzoskwiń i gruszek. Teraz siedziała na ławce przed domkiem i zamknawszy oczy, wystawiła twarz ku słońcu.

Matka odpoczywała po obiedzie, a Walburga zmywała w kuchni naczynia. Daniela z wielką przyjemnością myślała o swoich dokonaniach i z radością patrzyła na cudowny alpejski krajobraz. Czegóż jej brakowało?

Jedno, co ją niepokoiło, to Malwina. Jak mogłaby pomóc swojej jedynej przyjaciółce?

Zatopiona w myślach nie dosłyszała kroków zbliżającego się od strony parku Hendrika. Zerwała się na równe nogi, gdy stanął naprzeciwko niej. Zarumieniła się, a serce biło jej mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi.

— Szczęść Boże, panno Danielo!

— Daj Boże!

— Co za niezwykły widok: panna Daniela nie pracuje!

— Spoczęłam na laurach, panie doktorze.

Spojrzał na szpalery drzew brzoskwiniowych już ogołoconych z owoców, które jeszcze niedawno budziły jego zachwyty.

— A zatem już po zbiorach?

— Tak. Wszystko sprzedałam. Oczywiście, dla pana zostawiłam koszyk tych najpiękniejszych.

Uśmiechnęła się z dumą.

— Wyjdę na egoistę, ale już się na nie cieszę. A skoro już się odkryłem, to poproszę panią o jeszcze jedną przysługę.

— Chętnie służę, panie doktorze, o ile nie przekracza ona moich możliwości.

— Chyba nie. Jeżeli nie jest pani zmęczona, proszę przejść się ze mną po parku. Od kiedy mój przyjaciel wyjechał z Hagenau, czuję się samotny jak pies i dlatego ciągnie mnie do pani.

Daniela wstała i z uśmiechem przeciągnęła się jak kot.

— Zmęczona wprawdzie nie jestem, ale ze względów wychowawczych nie powinnam popierać pańskiego egoizmu. Mimo to pójdę z panem, dopóki mama odpoczywa.

Spojrzał na nią z nie ukrywaną radością.

— Mam nadzieję, że pani von Hagenau ma twarde i długi sen.

— Nie pośpi dłużej niż pół godzinki, panie doktorze.

— Och, niechże pani nie będzie tak surowa dla starszej damy! Sen dobrze jej robi.

— Tylko dlatego, żeby pan dłużej się nie nudził? Widzę, że bardzo panu brakuje doktora Lersingena.

— Nawet nie przypuszczałem, że aż tak — rzekł, idąc obok Daniela. — Byliśmy nierozłączni.

— Dziwię się, że tak nagle się rozstaliście.

— Nie można było inaczej.

— Przyznaję, że mnie także zrobiło się przykro. Wyjechał tak nagle, że nie zdążyłam życzyć mu szczęścia. Nie pożegnał się także z sąsiadami z Lindenhof. Mam wrażenie, że moja przyjaciółka bardzo to przeżyła.

Hendrik wyglądał na zaskoczonego.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Wiem to na pewno.

— Być może myli się pani. Panna Bertram raczej nie powinna się spodziewać, że mój przyjaciel zjawi się w Lindenhof, gdyż — mówię to pani w tajemnicy — jego nagły wyjazd został przez nią sprowokowany.

Daniela aż przystanęła.

— Przez Malwę?

— Tak.

— Jak mam to rozumieć?

— Nie mogę pani zdradzić szczegółów, ale Rüdiger wyjechał tak nagle, żeby nie spotkać się już z panną Bertram. Ona powinna pani powiedzieć więcej, dlaczego tak się stało.

Daniela pokręciła głową.

— Niestety. Mam wrażenie, że ona nie chce na ten temat rozmawiać. Prosiła, żeby nie wspominać przy niej o doktorze Lersingenie i jego wyjeździe.

— Jak widać, nic oboje w tej sprawie nie poradzimy. Niestety. Nie mówmy więc na ten temat. Widzi pani tę dziką winorośl? Już czerwienieją liście, to niechybny znak zbliżającej się jesieni.

Daniela westchnęła.

— Tak. Lato się kończy. Wkrótce pewnie wyjedzie pan z Hagenau? — spytała z ukrywanym niepokojem.

Popatrzył na nią.

— Jeszcze nie wiem. Może się zdarzyć, że i ja wyjadę pewnego dnia tak niespodziewanie jak mój przyjaciel Lersingen.

Mrugnęła szybko oczami i pobladła, ale odezwała się ze spokojem:

— Wróci pan do Holandii?

— Na jakiś czas. Ale później muszę pojechać na Sumatrę.

Wyraźnie posmutniała, z czego Hendrik ucieszył się w duchu. Szli przez chwilę milcząc. Na twarzy Daniela widać było, że walczy z myślami, nie wiedząc od czego zacząć. Nagle przystanęła i popatrzyła mu prosto w oczy.

— Panie doktorze, gdyby rzeczywiście zamierzał pan wyjechać stąd nagle, muszę za czasu omówić z panem sprawę, która od dawna leży mi na sercu.

Zdziwił się.

— Co to za zmartwienie, panno Danielo?

— Raczej chodzi o wyrzuty sumienia — uśmiechnęła się wzdychając.

— To niemożliwe!

— Niestety. Pan może mi jednak pomóc zrzucić moją troskę.

— Nie uwierzę, że pani może mieć jakieś wyrzuty.

— Zaraz się wypowiadam, ale proszę mi obiecać, że nie każe pan mojej matce wyprowadzić się z domku, dopóki ona żyje.

— Przecież nie mam prawa tego zrobić.

— Obieca mi pan? — rzekła proszącym tonem.

Za takie piękne spojrzenie Hendrik gotów był obiecać wszystko.

— Obiecuję.

— Bogu dzięki! — westchnęła z ulgą. — Pan tego nie wie, ale my nie mamy prawa do tego domku, panie doktorze. Zapis dotyczył tylko potomków naszego rodu, von Hagenau, i w żaden sposób nie zobowiązuje on pana. Powinnam była powiedzieć panu o tym od razu, ale bałam się ze względu na matkę. Gdyby nie ona, nigdy nie zgodziłabym się wziąć udziału w oszustwie. Matka nie miałaby się gdzie podziać. Ja dałabym sobie radę. Jestem młoda, zdrowa i mogę pracować, ale ona? Nie przeżyłaby przeprowadzki z Hagenau. Gdybym nie była pewna pańskiej wielkoduszności, nigdy nie odważyłabym się wyznać prawdy, ale obiecuję, że gdy tylko matka umrze, wyprowadzę się natychmiast i nie będę się z panem procesować. Do tego czasu zadbam o domek i ogród, żeby pan nie musiał się martwić, że popada w ruinę.

Słuchał niezwykle wzruszony.

— Tak — odezwał się cicho. — Tak po prostu spakuje pani swoje rzeczy i odejdzie.

— Właśnie tak zrobię — rzekła zdecydowanie.

— I rzuci pani wyzwanie całemu światu?

— Skoro nie mam innego wyjścia.

Przyspieszył kroku, odwrócił się i zastąpił jej drogę, patrząc prosto w oczy.

— A mnie zostawiłaby pani samego, Danielo?

Zarumieniła się i popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami:

— Co pan chce przez to powiedzieć, panie doktorze? Wziął ją za rękę.

— Dani, czy muszę mówić głośno? Nie widzi pani, co naprawdę czuję? Nie domyśliła się pani, że przyszedłem przygnany tęsknotą? Czy pozwoliłbym odjechać Rüdigerowi samemu, gdybym nie chciał tu zostać dla pani? Ja się zakochałem, Dani, i to od pierwszego spotkania, gdy zobaczyłem panią podwiązującą gałęzie drzew brzoskwiniowych. Od tego czasu marzyłem

tylko o tym, że zostanie pani moją żoną. Dani. Czy zechce pani spełnić mój sen? Wiem, że jest to możliwe tylko wtedy, gdy pani mnie pokocha.

Stała ze spuszczonej oczami i czuła, jak zaczyna drżeć na całym ciele. Zamknęła oczy, by po chwili spojrzeć na niego jak zbudzona z głębokiego snu. Szepnęła ledwo słyszalnym głosem:

— To chyba niemożliwe, żeby spotkało mnie tak wielkie szczęście. Porwał ją w ramiona.

— Dani! Czy ty mnie kochasz? Śmiała się przez łzy.

— Gdybym nie kochała, to czy cierpliwie czekałabym, aż skończysz, Hendriku?

Pocałował ją czule w usta.

— Przez chwilę myślałam, że się bawisz moim kosztem — rzekła zawstydzona.

— Moja nieufna Dani! Jakże cię Kocham za twoją dumę!

Objęci spacerowali po parku. Mieli sobie tyle do powiedzenia, że zapomnieli o całym świecie. Dopiero głośnie wołanie Walburgi przywołało ich do rzeczywistości:

— Już mnie wołają, Hendriku. Mama się obudziła i muszę do niej iść.

— Idę z tobą — uśmiechnął się.

— Dostanę burę, że się spóźniłam.

— Odbiorę cię i ja. Od tej chwili dzielimy z sobą radości i przykrości.

Stara Walburga stała przy płocie, gdy zakochani doszli do domku, trzymając się za ręce.

— Już idę, Walburgo! — zawołała Daniela z daleka.

— O mój ty Boże, panienko, myślałam, że mi gardziel pęknie, tak krzycałam. Pani matka już dawno wstali i nie mogą się docekać. Kawa ostygnie.

Henryk popatrzył błagalnie na służącą.

— A dla mnie też starczy, Walburgo?

— Ojej! My warzymy ino zbożową. To wam nie będzie smakować.

— Akurat mam ochotę napić się kawy zbożowej.

— Dostaw, Walburgo, filiżankę dla pana doktora. Niech się przyzwyczai, nie zawsze musi pić prawdziwą kawę — uśmiechnęła się Daniela.

Oboje weszli do przytulnego saloniku, gdzie przy zastawionym stole czekała już pani von Hagenau. Na widok doktora van der Straatena wstała.

— Mamo, przyprowadziłam gościa. Pan van der Straaten ma ochotę napić się z nami kawy zbożowej — rzekła Daniela nieco zmieszana.

Hendrik podszedł do starszej pani.

— Szanowna pani, właściwie to nie po to tu przyszedłem. Przepraszam, że tak bezceremonialnie wtargnąłem, ale mam do omówienia z panią ważną sprawę. Kocham pani córkę, a Daniela przed chwilą zgodziła się zostać moją żoną. Bardzo proszę o matczyne błogosławieństwo dla nas.

Pani von Hagenau nie wiedziała, co powiedzieć:

— Panie doktorze... Pan zamierza ożenić się z Danielą?

— Tak, szanowna pani. Proszę panią o zgodę. Kochamy się bardzo.

Daniela objęła matkę to płacząc, to śmiejąc się na przemian.

— Przestraszyłaś się trochę, mamó? Chyba nie mniej niż ja. Straciłam głowę od pierwszego wejrzenia. Powiedz Hendrikowi, że się zgadzasz i basta!

Pani von Hagenau drżącą ręką głaskała córkę po włosach, po czym uścisnęła dłoń Hendrikowi.

— Drogi panie doktorze! Jestem trochę zaskoczona, ale też bardzo szczęśliwa, że mogę panu powierzyć los mojej Dani. Teraz mogę już spokojnie umrzeć.

Hendrik pocałował ją w rękę.

— Nie wolno pani umierać, łaskawa pani. Musi pani nacieszyć się naszym szczęściem. Oboje otoczmy panią najlepszą opieką.

Starsza dama westchnęła uśmiechając się.

— Cieszę się, słysząc pańskie słowa. Jestem szczęśliwa na równi z moją córką. Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci!

Hendrik przytulił mocno Danielę.

— Będę o nią dbał jak o największy skarb — rzekł wzruszony.

Daniela położyła głowę na jego piersi i rozpromienionym wzrokiem patrzyła na matkę.

Nazajutrz z rana Malwa Bertram wybrała się do Hagenau. W wąwozie, zbliżając się do miejsca, gdzie pierwszy raz spotkała Rüdigera, poczuła, że mocno zabiło jej serce. Przystanąła, zamknęła oczy i oparła się o stromo wznoszącą się ścianę skalną. Rüdiger stanął w jej pamięci jak żywy. Jęknęła cicho, odwróciła się i szybko ruszyła ścieżką w stronę Hagenau. Daniela, zobaczywszy ją z daleka, wybiegła jej naprzeciw.

— Właśnie szłam do ciebie, do Lindenhof — zawołała.

— Widzę, że zebrałaś wszystkie owoce. Jesteś zadowolona? — zmieniła temat Malwina.

— Zadowolona — to zbyt słabe słowo. Jestem szczęśliwa i to bardzo! Gdy patrzę jednak na twoje smutne oblicze, moje szczęście, niestety, blednie.

— Nie zwracaj na mnie uwagi, Dani, ale być może poweseleję, jeżeli powiesz mi, co cię tak uradowało.

— Malwinko, zaręczyłam się wczoraj z Hendrikiem van der Straatenem.

Dziewczyny padły sobie w ramiona.

— Dani, toż to wspaniała nowina. Tak się cieszę. Obyś zawsze była szczęśliwa! — rzekła, całując Danielę.

— Dziękuję ci, Malwino. Jest mi tylko przykro, że podobne szczęście przeszło obok ciebie.

— Nie wszyscy ludzie mogą być szczęśliwi, Dani. Ciesz się z tego, co masz, bo naprawdę sobie na to zasłużyłaś. Ale opowiadaj, jak to się stało?

Szły trzymając się pod ręce. Daniela opowiadała przebieg wczorajszego popołudnia. Gdy skończyła, Malwina spytała.

— Będziecie mieszkać z Hendrikiem w Hagenau?

— Nie na stałe. Na pewno co roku spędzimy tu kilka letnich miesięcy. Jesienią i zimą zamieszkamy w Amsterdamie, a wiosną na Sumatrze, w posiadłości Hendrika. On chce, żebym mu wszędzie towarzyszyła, na co cieszę się już z góry.

— Wyobrażam sobie. Zostaniesz kosmopolitką i gdziekolwiek się ruszysz, będziesz w domu. Nie ukrywam, że będzie mi ciebie brakowało. Będę taka samotna, ale długo tu nie zostanę. Właściwie nic prócz ciebie mnie w Bawarii nie trzyma, a wkrótce osiągnę pełnoletność i uniezależnię się od mojego opiekuna. Muszę kiedyś z tobą porozmawiać. W Lindenhof czuję

się jak w niewoli, choć właściwie mogę robić, co chcę. Z ciotką też nie mamy wspólnych tematów do rozmowy, jesteśmy sobie całkiem obce.

— Rozumiem cię, Malwo, i szczerze mówiąc, nie chciałabym mieszkać w domu twojego opiekuna. Jest to dziwny człowiek i masz rację, że nie zamierzasz tracić młodych lat, siedząc u niego w Lindenhof. Ale do czasu mojego ślubu chyba zostaniesz?

— Kiedy się odbędzie?

— W grudniu, Malwinko. Hendrik nie chce dłużej czekać. Wytrzymaj więc, bo zależy mi na tym, żebyś była obecna.

— Oczywiście, Dani. Zostanę chociażby ze względu na ciebie.

Wyszły z parku na łąkę i zobaczyły nadjeżdżającego konno Hendrika. Zsiadł z konia, przywitał się czule z Danielą i uklonił Malwie.

— Pozwoli pan, że złożę najserdeczniejsze życzenia z okazji zaręczyn, panie doktorze. Jako przyjaciółka Danieli mogę pana zapewnić, że wygrał pan los na loterii, wybierając właśnie ją — rzekła Malwina.

— Nigdy w to nie wątpiłem, proszę pani. Nie mogę uwierzyć, że los zgotował mi tak miłą niespodziankę. A dokąd to bogowie prowadzą?

— Spacerujemy tak bez celu, Hendriku. Spotkałyśmy się przypadkowo.

— Nie jestem więc zawadą w tym towarzystwie?

— Skądże, panie doktorze — zaśmiała się Malwina. — Jeżeli ktoś tu jest zawadą, to prędzej ja. Wracam już do Lindenhof.

Hendrik przyjrzał się jej uważnie. Widzieli się pierwszy raz od wyjazdu Rüdigera i nie trudno było zauważyć, że Malwina bardzo się zmieniła. W jej oczach widniało coś, co mogło być wyrazem żalu do Lersingena. Hendrik domyślił się tego, ale nic nie mógł poradzić, skoro to ona odrzuciła oświadczenia jego przyjaciela.

— Nie puścimy pani tak prędko, prawda, Dani?

— Oczywiście! — rzekła Daniela, biorąc przyjaciółkę za rękę. — Ale pozwolimy Hendrikowi przyłączyć się do nas, co?

— Błagam, nie wypędzajcie mnie! Zwłaszcza że chcę z wami omówić pewną sprawę.

— Udzielamy ci głosu, Hendriku, i zamieniamy się w słuch.

— Wracam z poczty. Przeglądając pobieżnie korespondencję zauważyłem list od pana Jacoba Boolmana. To krewny pani Marii Saalfner, właścicielki Ramaniny, posiadłości sąsiadującej z Madalą. Jacob przebywa teraz z żoną w Holandii, gdyż ze względu na sumatrzański

klimat musieli na pewien czas wyjechać. Pisze, że chętnie pooddychaliby górskim powietrzem i zapowiada przyjazd do Bawarii, do Hagenau.

— Cieszysz się z tej wizyty, Hendriku?

Uśmiechnął się.

— Nie są to ludzie, za którymi bym przepadał. Pan Boolman jest niezwykle hałaśliwy i nie liczy się z nikim, o ile oczywiście nie uspokoi go żona. Mimo to wolę jego niż ją, ale o niej lepiej nie mówić.

Daniela roześmiała się.

— Jest to zwięzła, ale wiele mówiąca opinia. Najwyraźniej czekają cię kłopotliwi goście.

— Nie mam jednak wyjścia i muszę ich przyjąć. Przede wszystkim ze względu na panią Marię Saalfner, gdyż z jej gościnności wielokrotnie korzystałem w Ramaninie, a ponadto była ona zaprzyjaźniona z moimi rodzicami. Ja zaś przyjaźnię się z zięciem Boolmanów, Alfredem Meersburgiem. Jest Niemcem. Mieszka na stałe w Ramaninie, a więc jesteśmy sąsiadami. Meersburgowie mają dwoje dzieci, które ze względu na klimat musieli zostawić u krewnych w Holandii. Teraz jednak dzieci są już duże i pojedą z dziadkami, czyli Boolmanami, na Sumatrę do rodziców.

— Ci wszyscy ludzie mieszkają w Ramaninie? — zainteresowała się Daniela.

— Tak, i prawdę mówiąc na koszt pani Marii, kobiety bardzo dzielnej i chyba najsympatyczniejszej z całej rodziny, nie licząc Alfreda Meersburga. Pani Saalfner jest Niemką z Nadrenii.

— A więc krajanką Malwiny! — zawołała Daniela.

— Pani pochodzi z Nadrenii? — zdziwił się Hendrik.

— Moja rodzina od wieków mieszkała nad Renem, ale po śmierci rodziców musiałam stamtąd wyjechać.

— Ale wracając do pani Saalfner... Wszyscy nazywają ją ciotką Marią, choć właściwie Boolman jest siostrzeńcem jej zmarłego męża. Prócz Jacoba nie ma ona żadnych krewnych i jemu — jak się zdaje — zapisze w spadku posiadłość na Sumatrze. Teraz już wiesz. Dani, o moich gościach wszystko i mam nadzieję, że jakoś z nimi wytrzymasz. Ale musisz ich traktować z przymrużeniem oka i nie dać się wyprowadzić z równowagi.

Daniela uśmiechnęła się.

— Po co się martwić na zapas. Hendriku. Czasami trafiają się ludzie niesympatyczni, ale takie jest życie i nic na to nie poradzisz.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

— W tej sytuacji pani Boolman będzie miała szerokie pole do popisu, ale skoro nie można czegoś uniknąć, najlepiej to polubić zawczasu.

— Spiszę się przykładowo, Hendriku. Obiecuję.

— Obyś się nie załamała. Liczę też na panią — rzekł, zwracając się do Malwiny. — Wierzę, że od czasu do czasu wesprze pani Danielę, gdyby już sama nie dawała rady.

— W górach jest jesienią tak nudno, że każda rozrywka nam się przyda, a pańscy goście — jak mi się wydaje — dostarczą nam jej w nadmiarze. Chętnie się włączę jako ekipa ratunkowa.

Pożegnali się w wesołym nastroju.

Państwo Boolmanowie mieli przyjechać do Hagenau jeszcze dzisiaj. Hendrik poprosił matkę Danieli, żeby w czasie ich pobytu pełniła honory pani domu, czym sprawił jej ogromną radość.

Goście przybyli tuż przed obiadem. Pan Boolman, ciągle zadyszany grubasek, i koścista pani Boolman tworzyli dosyć komiczną parę, choć w obecności tej ostatniej mało kto miał ochotę do śmiechu. Jej chuda, wydłużona twarz była prawie bez wyrazu, ale kto ją raz zobaczył, nie zapomniał już nigdy. Bezbarwne, pozbawione połysku oczy patrzyły z oczodołów jak martwe.

Jak na purytańską protestantkę przystało, pani Boolman ubrana była bardzo skromnie, choć trzeba przyznać, że do jej kanciastej figury żaden elegancki strój by nie pasował.

Beczulkowaty pan Boolman przypominał sylwetką zero, z lekkim guzem w miejscu, gdzie głowa pozbawiona szyi zlewała się z korpusem. Jego przeraźliwie chuda żona przypominała z daleka jedynekę, więc gdy stali obok siebie, wyglądali jak dziesiątka.

Należy przy tym pamiętać, że pan Boolman był wyjątkowo hałaśliwym zerem, a milkł tylko pod piorunującym spojrzeniem swojej małżonki.

Daniela zupełnie nie wiedziała, jak się zachować wobec tej dziwnej pary. Gdy Hendrik przedstawił ją jako swoją narzeczoną, pani Boolman, zmierzywszy ją od stóp do głów, warknęła:

— Co? Pan się zaręczył, panie doktorze? Z Niemką? Na głowę pan chyba upadł. Czy to w Holandii nie znalazłby pan lepszej partii?

Hendrik z trudem się opanował, ale znał charakter tej damy i wiedział, że w dyskusji i tak jej nie pokona.

— Jestem bardzo zadowolony i szczęśliwy, mevrouw Boolman.

— To widać od razu. Lepiej pan nie mógł wybrać. Nad tak śliczną dziewczyną nikt by się nie zastanawiał. Zwłaszcza gdy jest się młodym — wtrącił pan Boolman, równie nietaktowny jak jego żona. Roześmiał się przy tym, a jego potężny brzuch zatrzęsł się jak galareta.

Pani Boolman powoli odwróciła głowę w jego stronę, ciskając swoje niesamowite spojrzenie.

— Jacob! — powiedziała ze specyficznym naciskiem, a obciągnięty jasnożółtą kamizelką brzuch pana Boolmana zastygł w bezruchu. Jego właściciel chrząknął kilka razy, pociągnął nosem i spoważniał.

— Przyjmijcie państwo nasze najlepsze życzenia — rzekł. Jego małżonka podała Hendrikowi swoją długą kościstą rękę.

— Niech Bóg da panu szczęście, panie doktorze — rzekła z namaszczeniem, jakby składała kondolencje.

Danieli von Hagenau także podała rękę.

— Pani nie muszę życzyć szczęścia, bo już je pani ma, wychodząc za pana van der Stratenę. Wiele kobiet chciałoby być na pani miejscu.

Daniela tylko skinęła głową. Nastroju nie poprawiła jej także mina pana Boolmana, który bojąc się odezwać, popatrzył, jakby chciał powiedzieć: Nic sobie z tego nie rób!

Pokojówka, panna Berger, zaprowadziła gości do ich pokoju. Gdy zniknęli na pierwszym piętrze, Hendrik popatrzył na Danielę i jej matkę, które stały jak sparaliżowane.

— I co? Przesadziłem choć trochę?

Daniela pokręciła tylko głową.

— W najgorszych przypuszczeniach nie zakładałam czegoś podobnego.

Przytulił ją czule i pocałował jej włosy.

— Myślałaś, że uda się tę wizytę zamienić w radosne przyjęcie? Mówiłaś, żeby uzbroić się w cierpliwość. I co? Masz już dosyć?

Daniela zdążyła oprzytomnieć. Położyła głowę na ramieniu Hendrika i uśmiechnęła się.

— Tu rzeczywiście może pomóc tylko dobry humor. Trzeba chwycić się go jak koła ratunkowego i pozwolić nieść falom.

— Chwała Bogu, że tak to traktujesz. Myślałem, że się załamiesz, przyjmując życzenia od pani Boolman.

— Rzeczywiście. Gdybym nosiła żółtą kamizelkę jak pan Boolman, pewnie, podobnie jak on, zastygłabym w bezruchu. Wyglądał komicznie. Prawdę mówiąc, musiałam uzbroić się w odwagę, żeby przed wzrokiem tej kobiety nie schować się w mysiej dziurze. W jej oczach naprawdę jest coś paraliżującego.

Hendrik roześmiał się.

— Wiesz, gdy Rüdiger poznał panią Boolman na Sumatrze, powiedział, że ona patrzy jak wąż, który usiłuje wzrokiem sparaliżować swoją ofiarę. Ja uważałem jej spojrzenie za chłodne i bez wyrazu.

— Zgadzam się całkowicie z opinią doktora Lersingena i nie chciałabym mieć tej kobiety za wroga.

Hendrik objął swoją narzeczoną.

— Ależ, Dani! Ona wcale nie jest taka groźna. Jest tylko szorstka w obyciu i niezwykle skąpa, nic poza tym. Zdominowała męża i w ten sposób zdobyła sobie posłuch w całej rodzinie. Nawet rozsądna właścicielka Ramaniny nie potrafi uwolnić się spod jej wpływu. Prawdę mówiąc, energiczna pani Boolman jest bardzo przydatna na plantacji: wszyscy pracownicy boją się jej jak ognia. Krzykliwego i pomstującego Jacoba nikt nie traktuje poważnie. Przegada cały dzień, od rana do wieczora, a skutek żaden. Jego żonie wystarczy, że popatrzy, a ludzie chodzą jak zegarki. Przypuszczam, że nie byłaby tak szorstka, gdyby mąż nie zmusił jej do tego swoją niezaradnością. Poza tym to nie jest zła kobieta.

— W każdym razie poznałam już sympatyczniejszych ludzi — odparła Daniela uśmiechając się.

Pani von Hagenau dopiero teraz włączyła się do rozmowy.

— Mimo wszystko są to pańscy goście, Hendriku, i musimy ich przyjąć takimi, jacy są.

Pocałował ją w rękę.

— Dziękuję bardzo, droga mamo.

Pani Boolman obeszła wszystkie kąty sprawdzając, czy nie ma kurzu, a ponieważ nie znalazła ani odrobiny, stanęła zawiedziona pośrodku pokoju. Rozglądała się bezradnie, szukając jakiejś zaczepki. Gdy niczego nie znalazła, zwróciła się do męża:

— Że też musiał ten van der Straaten dać się złapać tej ślicznotce! Myślałam, że ożenię go z Marytką, moją siostrzenicą. Piękna byłaby z nich para.

— Ależ Marytka jest biedna jak mysz kościelna i wcale nie najładniejsza.

— Przesadzasz, jest podobna do mnie.

— No właśnie... to znaczy... ładniejsza... chciałem rzec mniej ładna...

Uniosła rękę.

— Przestań się płatać, bo jeszcze się dorobisz, W każdym razie zaręczyny van der Straatena nie są mi na rękę. Chciałam zaprosić tu Marytkę, żeby się poznali, a w tej sytuacji nie ma to już sensu.

Jacob Boolman nie odezwał się ani słowem i zaczął szykować się do obiadu. Wziął żonę pod rękę i oboje zeszli do jadalni.

Hendrik, Daniela i jej matka już tam czekali. Podano do stołu. Gospodarze starali się ze wszystkich sił, by w niczym nie uchybić etykietce i nie urazić wrażliwych gości. I tak nie obezło się bez uszczypliwych uwag pani Boolman, które Daniela przyjęła z humorem. Pani von Hagenau — bardziej wyrobionej towarzysko — udało się nawet wciągnąć kapryśną Holenderkę w rozmowę na temat pracy służących na Sumatrze. Jej opinia była druzgocąca:

— Nie mam już zdrowia do tych ludzi i całe szczęście, że znalazłam kilkoro Holendrów, którzy są cokolwiek warci. Teraz szukam wychowawczyni dla moich wnuków, które zabieram już na stałe na Sumatrę. Wolałabym zaangażować Holenderkę, ale zięć uparł się, że musi to być Niemka, bo dzieci powinny uczyć się jego ojczystego języka. Nie wiem po co im ten niemiecki, bo nigdzie na świecie nim się nie dogadają. Ale cóż poradzę. Ciotka Maria też pochodzi z Niemiec i popiera mojego zięcia.

— Ponieważ to ona jest właścicielką Ramaniny, musimy się liczyć z jej zdaniem. Ja zresztą też uważam, że dzieci powinny znać niemiecki — odważył się odezwać pan Boolman.

— Gruba przesada. Szkoda pieniędzy na ciągnięcie stąd wychowawczyni, kiedy holenderską nauczycielkę można znaleźć na Sumatrze, i to o wiele tańszą. Pomyśl, ile trzeba będzie zapłacić za podróż!

— Przecież to ciotka płaci — wtrącił Boolman.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

— Ale z naszego spadku! Nie rozumiesz tego, mój drogi?

— Jak długo zostaną państwo w Niemczech? — spytała Daniela, chcąc zapobiec kłótni.

Pani Boolman zmierzyła ją tak niesamowitym wzrokiem, że Daniela z trudem go wytrzymała.

— Nic nas nie ponagla. Sądzę, że wyjedziemy na Sumatrę w grudniu.

Hendrik i Daniela wymienili ukradkowe spojrzenia.

— Czy mam rozumieć, że zaszczycie nas państwo obecnością na naszym weselu? — spytał Hendrik, mając nadzieję, że odstraszy uprzykrzonych gości. Niestety, pani Boolman uśmiechnęła się promiennie i rzekła:

— Oczywiście, panie doktorze. Nie pozwolimy, żeby w takim dniu został pan sam wśród cudzoziemców.

Młodzi spojrzeli na siebie. Dosłownie opadły im ręce, ale Hendrik trzymał fason.

— Cieszę się, że będę mógł państwa gościć przez tak długi czas. Po weselu zamierzamy z Danielą wyjechać na kilka miesięcy do Amsterdamu.

Pani Boolman pokiwała ze zrozumieniem głową.

— To słuszna decyzja, panie doktorze. Narzeczona wreszcie nauczy się holenderskiego.

— Ależ ja już pilnie się uczę, mevrouw Boolman! — pochwaliła się Daniela.

— Mimo to wymowę ma pani okropną — odrzekła bez ogródek starsza pani.

— Pani za to mówi bezbłędnie po niemiecku — wyrwało się młodej Niemce.

— Musiałam się nauczyć, skoro ciotka Maria zarządziła, że na plantacji wszyscy muszą mówić po niemiecku, bo mój zięć nie potrafi nauczyć się holenderskiego.

— Pani Saalfner to wspianiała kobieta — wtrącił się Hendrik. — Cieszę się, że moja żona pozna ją już na wiosnę, gdy przyjedziemy do Madali.

— Chce pan tam zabrać żonę?

— Oczywiście, mevrouw Boolman. W pewnym sensie będzie to nasza podróż poślubna.

— Cóż, jest pan dość bogaty, żeby sobie na taką podróż pozwolić.

— Tak czy inaczej musiałbym wiosną popłynąć na Sumatrę.

— Pan tak, ale po co ciągnąć żonę?

Hendrik uśmiechnął się.

— W podróż poślubną raczej wyjeżdża się we dwoje, a poza tym bez żony już nigdzie się nie ruszę.

— Z czasem zmieni pan zdanie — rzekła sucho pani Boolman.

— Nie sędzę. A propos: macie ostatnie wieści z Sumatry? — spytał Hendrik widząc, że Daniela ledwo trzyma nerwy na wodzy.

— Och, piszemy tylko, gdy zdarzy się coś ważnego. Córka też nie ma czasu, bo pod naszą nieobecność spadają na nią podwójne obowiązki. Od przyjazdu do Europy nie mamy żadnych wiadomości z Sumatry.

— Zatem nie wiecie, że pan Manders, mój zarządca, nie żyje?

— Co? Dyrektor Manders umarł? — zdziwił się Boolman.

— Niestety. Był rok temu na odpoczynku w Holandii, ale mimo to zachorował.

— I co teraz będzie z Madalą? Alfred może jej doglądać, ale na dłuższą metę nie będzie miał czasu.

— Już znalazłem następcę pana Mandersa, mevrouw Boolman.

— Ach tak! To dobrze. Czy aby równie dobrego jak poprzedni?

— Tego jestem pewien.

— A jest żonaty? — dopytywała się pani Boolman.

— Nie! — rzekł krótko Hendrik.

— To dobrze. Znajdziemy mu jakąś żonę. Gdyby dyrektor Manders posłuchał mojej rady i ożenił się, mógłby jeszcze żyć.

— Moja żona nie lubi ludzi stanu wolnego. Każdemu chciałaby założyć jarzmo na kark — wyjaśnił Boolman.

— Jacob, wystygnie ci kotlet! Żyjąc na tym świecie, ma się pewne obowiązki. Obowiązkiem mężczyzny jest założyć rodzinę.

Rozmowa zmierzała w niebezpiecznym kierunku. Jacob zajął się pałaszowaniem trzeciego kotleta, Hendrik i Daniela patrzyli nerwowo na siebie, a pani von Hagenau gorączkowo szukała innego tematu, którym mogłaby zająć panią Boolman. Na szczęście ona odezwała się pierwsza.

— Przypomniał mi się doktor Lersingen, ten Niemiec, pański przyjaciel. Wpadł w oko ciotce Marii, ale chyba tylko dlatego, że był jej rodakiem. Gdzie on się teraz podziewa?

Hendrik speszył się nieco, gdyż Daniela, słysząc pytanie, popatrzyła na niego uważnie.

Obiecał Rüdigerowi, że nie powie jej o jego wyjeździe na Sumatrę. Musiał dotrzymać obietnicy, a jednocześnie nie potrafił skłamać.

— Zdaje się, że uczestniczy w jakiejś wyprawie badawczej — wybrnął dyplomatycznie. Pani Boolman z dezaprobatą pokręciła głową.

— Nie ma nic lepszego do roboty?

Hendrik omal nie wybuchnął śmiechem. Wyobraził sobie minę pani Boolman, gdy zobaczy Rüdigera w roli właściciela sąsiedniej plantacji.

— Przy okazji zajmuje się wieloma innymi rzeczami.

Wzruszyła ramionami.

— Drogi doktorze! Sam pan przyzna, że ta wasza wyprawa na Nową Gwineę była tylko stratą czasu. Co z tego macie? Z pewnością żadnego pożytku.

Tym razem Hendrik roześmiał się na głos, a Daniela mu zawtórowała.

— Rzeczywiście. Na razie niewiele, jeśli nie liczyć grubej rozprawy naukowej, której rękopis wysłaliśmy już do Lipska do jednego z najpoważniejszych wydawców. Gdy książka się już ukáže, pozwolę sobie przesłać pani jeden egzemplarz po niemiecku albo po holendersku. Sama pani oceni, czy była to strata czasu — rzekł Hendrik, dając pani von Hagenau znak, że czas wstać od stołu.

Boolmanowie udali się na odpoczynek, pani von Hagenau też poszła się zdrzemnąć po obiedzie, a Hendrik zostawszy tylko z Danielą objął ją i rzekł czule:

— Biedactwo ty moje! Czuję się jak na madejowym łożu. Sam nie wiem, czy to pani Boolman zrobiła się jeszcze bardziej złośliwa, czy też ja tracę nerwy i nie mogę jej słuchać. Gdy pomyślę, że dama ta będzie siedzieć nam na karku do grudnia, przechodzą mnie ciarki.

Daniela uśmiechnęła się.

— Daj spokój, Hendriku! Pomyśl, że pani Boolman zgotowała nam czyściec, przez który trzeba przejść, żeby dostać się do nieba.

Pocałował ją.

— Gdy o tym pomyślę, na pewno będzie mi lżej — rzekł, wypuszczając ją z objęć.

— Chodź, wybierzemy się na długi spacer. Nabierzemy nowych sił do walki z uprzejmościami pani Boolman. Korzystajmy, póki śpi.

Hendrik zgodził się z propozycją Danieli. Wyszli do parku przybierającego już jesienną szatę. Zapomnieli natychmiast o pani Boolman i zajęli się sobą, swoim szczęściem.

Po kilku dniach państwo Boolman orzekli, że nie spodziewali się w Hagenau tak okropnej nudy i że trafią w niemal bezludną okolicę. Hendrik zaprosił więc na obiad sąsiadów z Lindenhof. Porozsyłał też zawiadomienia o zaręczynach i niemal każdego dnia ktoś przyjeżdżał złożyć narzeczonym życzenia.

Pani Boolman czuła się w swoim żywiole. Każdego z gości musiała wziąć na język i nie przepuściła nikomu. Uważała siebie za osobą nieposzlakowaną, uprawnioną do wytykania każdemu bez ogródek jego wad. Jednogłośnie wszyscy orzekli, że Emma Boolman jest nie do zniesienia. Teraz przysłała kolej na Marlitzów. Daniela uśmiechnęła się.

— Czy odczuwałeś kiedyś, Hendriku, radość z czyjejś porażki?

— Chyba nie, Dani.

— No to dziś cię to czeka. Wyobrażasz sobie panią Boolman jako damę do towarzystwa dla Franza Marlitza?

— Jak widzę, nie darzysz pana Marlitza zbyt dużą sympatią.

— Ani trochę!

— Pięknie, to się zgadzamy, bo ja też go nie cierpię.

Przy stole rzeczywiście tych dwoje usiadło obok siebie i wcale nie trzeba było czekać długo, żeby panu Marlitzowi nieźle się oberwało. On jednak w ogóle nie zareagował. Pograżył się głęboko w myślach, a ciosy pani Boolman odbijały się od niego jak groch od ściany.

W niewytłumaczalny sposób złośliwości zgryźliwej Holenderki nie dotykały Malwiny Bertram. Milcząca i zamyślona dziewczyna znalazła się jakby pod parasolem. Jej zachowanie najwyraźniej rozbijało wojowniczą kobietę. Nie wiadomo, czy nie zaczepiała Malwiny z litości czy też z wyrachowania, chcąc pokazać Danieli, że bardziej ceni jej przyjaciółkę niż ją. Powodem tego mogła być także wiadomość, że jest ona bogatą dziedziczką fortuny, a pani Boolman, jeżeli przed czymkolwiek czuła respekt, to przed pieniądzem. Trudno też zaprzeczyć, że spokój Malwiny udzielił się wszystkim, nie wyłączając pana Boolmana, który w jej obecności stawał się znacznie mniej hałaśliwy i wyraźnie starał się przypodobać dziewczynie.

Po obiedzie Daniela została przez chwilę sama z Malwą.

— To wprost niewiarygodne! Jesteś jedyną osobą, której pani Boolman nie obraziła już przy pierwszym spotkaniu, od czasu, gdy przybyła do Hagenau.

— Czy to źle? — zaśmiała się Malwa.

— Bardzo źle! Uodporniliśmy się już z Hendrikiem i złośliwości tej damy spływają po nas jak woda po kacze, a tu zanosi się na coś nowego! Czymże ją tak udobruchałaś?

Malwina wzruszyła ramionami.

— Być może spokojem, z jakim wysłuchuję jej uwag.

Daniela westchnęła.

— Fakt, ja tego nie potrafię. Ale nie dziw się, bo tylu zniewag nie usłyszałam przez całe życie, co w ciągu kilku dni od tej kobiety. Odplaciłabym jej pięknym za nadobne, gdyby nie była gościem Hendrika.

— Współczuję ci, Dani, bo zamiast cieszyć się swoim szczęściem, musisz całymi dniami męczyć się z tymi ludźmi. Chętnie bym cię od czasu do czasu wyręczyła, jeżeli pozwolisz.

— Nie mogę się zgodzić, Malwinko. Prędzej czy później tobie też się dostanie.

Dziewczyna uśmiechnęła się gorzko.

— Przynajmniej na coś się komuś przydam. Odstąp mi panią Boolman, a sama odpocznij trochę. Przyjdę do Hagenau, kiedy tylko zechcesz.

— Byłabym ci bardzo wdzięczna, bo prawdę mówiąc, goście ani na chwilę nie pozwalają nam zostać sam na sam.

— Dlaczego mnie wcześniej nie zawiadomiłaś, Dani? Jesteśmy przecież przyjaciółkami.

— Jesteś miła, Malwo, ale naprawdę nie wiesz, w co się angażujesz.

— Moja droga! Przyzwyczaiałam się do obcowania z nieprzyjemnymi ludźmi. Wiesz przecież. Myślisz, że mój opiekun jest lepszy od pani Boolman? Ostatnio coraz trudniej z nim wytrzymać. Mam wrażenie, że on mnie nienawidzi, choć szczerze mówiąc, nie wiem za co.

— To straszne, co mówisz, Malwo!

— Niezbyt miłe, a sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Doszło do tego, że zaczynam się bać wuja Marlitza i zdarza się, że zamykam drzwi od wewnątrz, gdy kładę się spać. Być może przesadzam, ale mam wrażenie, że on skrada się czasem w nocy i próbuje wejść do mojego pokoju. Tak było przedwczoraj. Zerwałam się z łóżka, zapaliłam lampę i nasłuchiwałam. Wydawało mi się, że słyszę kroki na korytarzu, ale gdy popatrzyłam przez okno chwilę później, u wuja paliło się światło. Jego dziwne zachowanie wytrąca mnie zupełnie z równowagi. Wczoraj w nocy u niego też paliła się lampa. Gdy rano spytałam, czy nie czuje się zmęczony, bo przecież wcześniej wstaje i wyrusza w pole, spojrział na mnie tak, jakby chciał mnie zabić.

— Co ty mówisz, dziewczyno! — zawołała Daniela.

— Niesamowite, prawda? — westchnęła ciężko. — Ale inaczej nie potrafię określić jego spojrzenia. Nie wiem, co ja mu zrobiłam i o co ma do mnie żal? Czasami myślę, że dręczy go jakaś choroba, nie fizyczna, ale umysłowa. Mówiłam o tym ciotce, jednak ona nie traktuje mo-

ich obaw poważnie. Opowiadam ci o moich kłopotach, bo dziwisz się, że złościwości pani Boolman nie robią na mnie większego wrażenia. Myślę, że teraz przyznasz mi rację. Muszę powiedzieć wujowi, że po ukończeniu dwudziestu jeden lat natychmiast wyjadę z Lindenhof. Podjęłam już ostateczną decyzję.

— Doskonale cię rozumiem, biedaczko, i nie zazdroszczę ci życia w Lindenhof.

— Rzeczywiście, nie ma czego zazdrościć i sama nie wiem, jak mogłam tam tak długo wytrzymać. Co prawda, dawniej wuj nie był taki złośliwy jak ostatnio, ale zbyt dobry nie był dla mnie nigdy.

— Czy mogłabym ci w czymś pomóc? Do licha, pani Boolman już się obudziła...

— Zostaw mnie z nią, Dani. Idź do Hendrika, a ja zatrzymam ją na jakiś czas.

Daniela uściśnęła rękę Malwiny i szybko zniknęła. Pani Boolman podeszła wprost do Malwy, która przysunęła jej fotel.

— Niech pani usiądzie na słoneczku, mevrouw Boolman. Na tarasie jest tak przyjemnie. Mam nadzieję, że zgodzi się pani, że posiedzę troszkę w pani towarzystwie — zachęcała Malwina.

Pani Boolman nie zdarzało się często, by ktoś dobrowolnie godził się zostać z nią sam na sam. Spojrzała podejrzliwie na Malwinę i popatrzyła w stronę korytarza, gdzie przed chwilą widziała uciekającą chyłkiem Danielę.

— To niezwykle, panno Bertram, że młoda osoba zgadza się porozmawiać ze starą kobietą. Bardzo się dziwię, że pani też nie uciekła.

— Jakżeż mogłabym stracić taką okazję, mevrouw Boolman! Pani tyle podróżowała, tyle przeżyła, mieszkając na Sumatrze. Doktor van der Straaten wiele opowiadał o tamtym kraju, a mnie ciągle mało.

— Przecież może pani pojechać tam i wszystko zobaczyć. Słyszałam o pani bogactwie. Zapraszam do nas w odwiedziny, panno Bertram.

Pani Boolman chyba pierwszy raz w życiu kogoś zaprosiła. Malwina uśmiechnęła się.

— Być może się zdecyduje, zwłaszcza że moja przyjaciółka Daniela zamierza tam także pojechać.

— Proszę więc nie zapomnieć i odwiedzić nas w Ramaninie. Zdziwi się pani, że istnieje na świecie taki uroczy zakątek.

— Długo pani tam mieszka?

— Dobrych piętnaście lat. Ciotka mojego Jacoba została tam sama po śmierci męża i córki. Było mi jej żal i postanowiłam jej pomóc i ulżyć w osamotnieniu. Ona przeżyła w Ramaninie ponad czterdzieści lat. Dziś już skończyła siedemdziesiątkę i ciągle trzyma się dobrze. Oczywiście, przyjeżdżała co pewien czas na odpoczynek do Europy, ale od dziesięciu lat już nie rusza się z Sumatry. Nie może jeździć konno, bo ma sztywne kolano, a podróże też ciężko znosi, zwłaszcza dalekie. Poza tym jest zdrowa jak koń.

Ostatnie zdanie wymówiła z wyraźnym wyrzutem, westchnąwszy przy tym głęboko. Widać dobrze stan zdrowia ciotki Marii nie był pani Boolman na rękę. Od lat liczyła, że starsza pani odejdzie z tego świata, a wtedy ona zostanie władczynią Ramaniny, mimo że formalnym właścicielem będzie jej mąż, Jacob Boolman. Przy niej i tak nie będzie miał wiele do powiedzenia. Spadek zaś obejmował oprócz plantacji, ogromnej zresztą, także kosztowną biżuterię i spore sumy na koncie bankowym.

— Rzadko się zdarza, żeby Europejczyk przeżył tyle lat w tropikach, prawda, mevrouw Boolman? — spytała z zaciekawieniem Malwina.

— Oczywiście, ale — jak już mówiłam — Ramanina leży wysoko w górach i ma dosyć łagodny klimat. Mimo to nie jest on najlepszy dla zdrowia. Moja córka musiała odesłać dzieci do Holandii, bo jako niemowlęta wciąż chorowały. Teraz wyrosły już, są zdrowe i silne, więc zabiorę je w grudniu z powrotem na Sumatrę.

— Długo zostaną państwo w Europie?

— Musimy poczekać do wesela pana van der Straatena. Nie zostawimy go w tak ważnym dniu z samymi cudzoziemcami. Czemu on nie ożenił się z panią? Na pewno lepiej by zrobił, bo jest pani sympatyczniejsza od tej von Hagenau.

Malwina uśmiechnęła się.

— Najważniejsze, że jemu Daniela podoba się bardziej. Nic dziwnego, bo to dzielna i miła dziewczyna. Wszyscy w okolicy ją lubią. Moim zdaniem, doktor van der Straaten miał szczęście, że wybrał właśnie ją. Emma Boolman pokręciła głową.

— Jest biedna jak mysz kościelna, gdzie tu mówić o szczęściu?

— Narzeczonemu, zdaje się, majątek do szczęścia nie jest potrzebny, a lepiej nie mógł trafić.

— Nie zgodzę się z panią. Tamta wygląda na zarozumiałą, pani podoba mi się bardziej.

— Schlebia mi pani opinia i naprawdę nie wiem, czym sobie zasłużyłam.

— Sama nie wiem. Po prostu lubię panią i już.

Któż odgadnie, którądy prowadzą drogi przeznaczenia? Kto mógł przypuszczać, że w lodowatym sercu Emmy Boolman zakiełkuje sympatia akurat do Malwiny Bertram. Ta zwykle ostrożna i podejrzliwa kobieta tym razem nie wyczuła, jaką niespodziankę gotuje jej los. Malwina też nie wiedziała, że okazując sympatię złośliwej Holenderce, podjęła jedną z najważniejszych decyzji w życiu.

Dziewczyna przychodziła do Hagenau często, głównie jednak po to, żeby Hendrik i Daniela mogli odpocząć od kłopotliwych gości.

Minął październik. Na początku listopada spadł pierwszy śnieg. Dzień dwudziestych pierwszych urodzin Malwiny był coraz bliżej, a ona nie mogła się zdecydować, czy powiedzieć wujowi, że zaraz po ślubie Daniela zamierza opuścić Lindenhof. Wiedziała, że musi on przekazać jej informację o stanie majątku. Zamierzała jednak prosić wuja, by dalej nim zarządzał i wydzielał jej tylko sumy potrzebne na utrzymanie.

Nie wiedziała, że wuj lekkomyślnie inwestował jej pieniądze w przeróżne spekulacje bankowe i teraz niecierpliwie czekał na wyniki ostatniej, decydującej rozgrywki.

Kilka dni przed urodzinami Malwina wróciwszy z Hagenau zastała ciotkę Hertę zalaną łzami.

— Co się stało, ciociu Herto? — zmartwiła się.

Starsza pani z trudem opanowała szloch.

— Gdybym to ja wiedziała! Godzinę temu Franz dostał telegram z jakąś niedobłą wiadomością, bo bardzo się zdenerwował i zamknął od razu w swoim gabinecie. Nie chce ze mną rozmawiać, a słyszę przez drzwi, że chodzi po pokoju i ciężko wzdycha.

Malwina próbowała pocieszyć ciotkę.

— Być może chodzi o sprawy urzędowe, ciociu. Od kilku tygodni widzę, że coś go martwi. Mówiłam ci już, że powinien pójść do lekarza. Nie można tak długo żyć w wielkim napięciu nerwowym.

— Nie chce słyszeć o doktorach, a gdy nalegam, denerwuje się jeszcze bardziej.

Malwina podeszła do okna, kręcąc bezradnie głową. Zaczął padać drobny śnieg. Chmury sunęły nisko nad ziemią, jakby niebo opadło na góry. Malwina westchnęła, czując ciężar na sercu. Nie wiedziała, jak pomóc ciotce i wujowi.

Franz Marlitz nie wyszedł już tego dnia z gabinetu. Kobiety zjadły kolację same w nie najlepszym nastroju. Szybko też pożegnały się i poszły spać.

Pani Herta podeszła pod drzwi i spytała męża, czy chce zjeść coś później, czy też położyć się od razu spać. On chodził bezustannie po pokoju i nie odezwał się ani słowem. Kobieta, załamana jeszcze bardziej, odeszła do swojej sypialni.

Malwina położyła się, ale nie mogła zmrużyć oka. Myślami ciągle wracała do Rüdigera Lersingena. Próbowwała o nim zapomnieć, jednak serce wciąż o nim przypominało i nie dawało jej spokoju.

Leżała tak, walcząc z uporczywie powracającymi myślami, gdy nagle usłyszała stłumiony huk, przypominający wystrzał. Usiadła na łóżku i nasłuchiwała z bijącym mocno sercem. Nocną ciszę przerwała głośna bieganina domowników, zatem nie ona jedna usłyszała hałas.

Wyskoczyła z łóżka, nałożyła pantofle i podomkę. Służący biegli już w dół po schodach, wszędzie pozapalano światła, a ciotka wołała przerażonym głosem:

— Franz! Na Boga! Otwórz te drzwi!

Malwina zobaczyła ciotkę dobijającą się do gabinetu wuja.

— Co się stało, ciociu? — spytała.

— Nie słyszałaś? Padł strzał i to chyba stąd, z gabinetu... Franz, otwórz, błagam cię... wielki Boże!

Malwina popatrzyła na służących.

— Czy nie mógłby ktoś z zewnątrz wejść przez okno i otworzyć drzwi? Zbijcie szybko szybę, przecież okna nie są wysoko. Spieszcie się.

Po chwili, dłużej się w nieskończoność, rozległ się brzęk tłuczonego szkła i zaraz potem usłyszano ciężkie kroki lokaja podchodzącego do drzwi. Otworzył od wewnątrz drzwi i przerażony stanął w progu.

— Pani... nieszczęście... — wyjąkał tylko.

Pani Herta odsunęła go, weszła do gabinetu i uderzyła w płacz. Malwina weszła za nią i zobaczyła ją klęczącą tuż obok biurka, przy którym siedział Franz Marlitz z głową opartą o blat. Skroń miał przestreloną.

Przeraziła się, ale nie straciła zimnej krwi. Zaraz kazała pojechać komuś ze służby do Gundlingen i sprowadzić doktora Hallera.

Dopiero teraz przyjrzała się wujowi, przy którym bezradnie klęczała ciotka Herta, i zrozumiała, że właściwie żadna pomoc nie była już potrzebna.

Obok, na podłodze, leżał rewolwer, a czarna, krwawiąca jeszcze rana na skroni Marlitza jednoznacznie wyjaśniała, co tu się stało.

Co skłoniło wuja do popełnienia samobójstwa?

Malwina podniosła z kolan ciotkę Hertę, a gdy pochyliła się nad biurkiem, zobaczyła kartkę leżącą obok książek. Rozpoznała ostre pochylone pismo wuja Franza.

„Jestem zrujnowany. Wydałem cały majątek Malwiny na spekulacje bankowe i przegrałem. Lindenhof jest zastawiony i nie należy już do nas. Herto, musisz przeprowadzić się do córek. Wybaczcie mi, jeżeli potraficie. Ja za swoją winę zapłacę życiem!”.

Malwina czuła, jak przechodzą ją ciarki. Przeczytała kartkę jeszcze raz i jeszcze... Zmroziło ją. Teraz dopiero zrozumiała, dlaczego wuj tak się ostatnio denerwował. Roztrwonił jej majątek na spekulacjach, a więc — tak jak sobie życzyła kiedyś — w jednej chwili stała się biedną dziewczyną! Potrząsnęła ciotkę za ramię.

— Ciociu, czytałaś to? — spytała przerażona.

Kobieta popatrzyła na nią nieprzytomnym wzrokiem.

— Co, dziecko?

— To! Czytaj, ciociu!

Przeczytała kilka słów i spojrzała na Malwinę.

— Miłosierny Boże! A więc dlatego... dlatego? — rozłożyła bezradnie ręce.

Malwina chwyciła się za głowę i drżąc na całym ciele popatrzyła na bladą twarz nieboszczyka opartego o biurko, jakby pogrążonego we śnie. Nareszcie wiedziała, czemu ostatnio nie mógł spać w nocy: dręczony wyrzutami sumienia szukał rozpaczliwie wyjścia z trudnej sytuacji.

Co jednak robić dalej?

Bezładne myśli kłębiły się jej w głowie, gdy bezradnie rozglądała się dookoła i patrzyła na ciotkę z trudem przychodzącą do siebie. Obie znalazły się w trudnej sytuacji, zupełnie do niej nie przygotowane.

Półprzytomne nawet nie zauważyły, kiedy zjawił się doktor Haller. Mógł już tylko stwierdzić zgon Franza Marlitzza i zająć się w imieniu żony pierwszymi niezbędnymi formalnościami. Choć o tym nie mówił, doskonale wiedział, że śmierć nie była wcale najgorszym z nieszczęść, jakie jeszcze spadną na Lindenhof.

Wysłał telegramy do obu córek zmarłego. Tej nocy nie mógł zrobić już nic więcej.

Dla Malwiny nadeszły teraz ciężkie dni. Jej majątek rzeczywiście przepadł, a Lindenhof wraz z żywym i martwym inwentarzem stał się własnością jednego z banków. Marlitz zastawił go w ostatniej chwili licząc, że wygra i odzyska wszystko. Stało się inaczej, a to oznaczało absolutną katastrofę. Zakupione przez niego akcje były tylko stosem bezwartościowego papieru, o czym dowiedział się z telegramu, który mu doręczono w dniu, w którym popełnił samobójstwo.

Malwina straciła cały majątek. Zostały jej tylko nic niewarte akcje, trochę biżuterii i kilka sukien.

Daniela, dowiedziawszy się o śmierci Marlitz, od razu pobiegła do Lindenhof, ale oprócz współczucia — zwłaszcza dla Malwiny — niczego więcej nie mogła zrobić. Sytuacja była wręcz beznadziejna.

Następnego dnia z rana przyszli oboje z Hendrikiem, który zadeklarował swą pomoc przyjaciółce Danieli.

Malwina próbowała się uśmiechnąć.

— Bardzo panu dziękuję, panie doktorze, ale proszę zrozumieć, że nie mogę od pana niczego przyjąć.

— Jak chcesz sobie sama poradzić. Malwo? — spytała zmartwiona Daniela. — Lindenhof przepadł, ciotka wyjedzie z córkami zaraz po pogrzebie, a tu wprowadzą się obcy ludzie. Zgódź się przynajmniej na zamieszkanie w naszym domku. Mama bardzo się ucieszy. Ja i tak przeprowadzę się do dworu, a ona zostanie tam sama. Mogę jej powiedzieć, że się zgadzasz?

Malwina rozplakała się rzewnymi łzami.

— Jesteście dla mnie tacy dobrzy... Dziękuję ci, Dani. Zostanę z twoją mamą, dopóki nie zdołam uporządkować swoich spraw. Na szczęście, zostało mi trochę biżuterii. Nie starczy, żeby po sprzedaży żyć z odsetek, ale na czarną godzinę nie zostanę bez grosza. Kuzynki radzą mi poszukać zajęcia jako dama do towarzystwa czy coś w tym rodzaju. Problem w tym tylko, gdzie taką posadę znaleźć.

Daniela przytuliła Malwinę.

— Biedactwo! Nawet nie wiesz, jak mi ciebie żal.

Malwina pogłaskała ją po głowie.

— Kochana jesteś. Danielo. Ile to już razem przeżyliśmy smutków i radości? Wiem, że mi współczujesz i chętnie skorzystam z twojej propozycji, dopóki sama nie stanę na nogi. Zo-

stanę w Lindenhof do pogrzebu, gdyż nie chcę przysparzać trosk ciotce. Ona w niczym nie zawiniła. Jeżeli pozwolisz, spakuję jeszcze dziś swoje rzeczy i każę je przenieść do Hagenau.

Hendrik słuchał dotychczas bez słowa. Teraz odezwał się:

— Czy rzeczywiście z tej katastrofy nie da się już niczego uratować?

Malwina pokręciła głową.

— Nic, panie doktorze. Zostały mi tylko bezwartościowe akcje. Gdyby cokolwiek było do uratowania, mój wuj z pewnością by się nie załamał.

— Być może stracił głowę wiedząc, że zbliża się termin dojścia pani do pełnoletności. W każdym razie chciałbym się przyjrzeć tym papierom.

Malwa uścisnęła mu dłoń.

— Dziękuję bardzo. Jak to dobrze mieć przyjaciół!

Hendrik nie był zadowolony z siebie, bo nie mógł zrobić nic więcej. Pomyślał o Rüdigerze. Pewnie zrobiłby on wszystko, żeby wyciągnąć Malwinę z kłopotliwej sytuacji. Ze względu chociażby na niego nie powinien teraz zostawić dziewczyny bez opieki. Musiał o tym porozmawiać z Danielą.

Pożegnali się. Wracając do Hagenau, cały czas rozmawiali o Malwinie. Hendrik zapewniał Danielę, że na pewno znajdzie jakiś sposób, by wybawić jej przyjaciółkę z kłopotów.

— Musimy jej pomóc, Dani. Tymczasem niech zamieszka w naszym domku, a później zobaczymy, co da się zrobić.

Daniela pogłaskała go po dłoni.

— Wiedziałam, że na ciebie można liczyć — rzekła cicho.

Malwina patrzyła przez okno za odchodzącymi narzeczonymi. Westchnęła z żalem i poszła do swojego pokoju spakować rzeczy. W hallu stała Vreni, córka ogrodnika, czymś bardzo zakłopotana.

— Panienko Malwo, chcę wam coś powiedzieć — odezwała się, gdy Malwina podeszła bliżej i popatrzyła na nią przyjaźnie.

— Proszę mówić, Weroniko. O co chodzi?

Vreni rozejrzała się z niepokojem.

— Tu nie możemy rozprawiać. Ludziska biegają tam i nazad.

— To chodźmy do mojego pokoju, Weroniko. Tam będziemy mieć spokój.

Vreni poszła za nią, skręcając nerwowo palcami rąbek fartucha. W pokoju Malwiny westchnęła ciężko i rzekła:

— Dawno już chciałam wam to powiedzieć, bo zaraz wiedziałam, że z tego będzie jakoś krzywda. Ale pan mi kazał, toch powtórzyła wszystko, co chcieli, bo postraszyli, iż nie pozwolą Seppelowi ożenić się ze mną. Ale to przecie była nieprawda...

Malwa zainteresowała się.

— Niech pani mówi, Weroniko! Co było nieprawdą?

Vreni pociągnęła nosem.

— O panu Lersingenie. Wcale go nie widziałam z tą damą od doktora Hallera, żeby ją całował. Z złą kobietą go nie widziałam. To pan powiedzieli i chcieli, co bym wam tak rzekła, i jeszcze kazali, co bym o tym ani pary nie puściła. Okłamałam was, a serce mi nie dawało spokoju. Nie odważyłam się, póki pan byli przy życiu, ale teraz już się nie boję i muszę powiedzieć całą prawdę. Pani jest dla mnie tak dobra i nie mogę już dziwić się na wasze blade lica. Nie gniewajcie się na mnie.

Malwina zbladła, usta jej drżały, w oczach pociemniało.

— Więc nie widziała pani doktora Lersingena, gdy całował się w parku z jakąś kobietą?

— Nigdy tego nie widziałam, to pan kazali mi tak powiedzieć.

Malwina westchnęła.

— No dobrze, Vreni. Cieszę się, że mi pani to powiedziała.

— I nie będziecie na mnie zła? Jest mi żal, ale nie mogłam inaczej zrobić.

— Wiem, Weroniko. Nie będą się gniewać. Może już pani iść.

Vreni wyszła z dworku wyraźnie uradowana.

Malwina stanęła przy oknie. A zatem Rüdiger nie całował się z tą kobietą. Gdyby rzeczywiście wuj był świadkiem tej sceny, powiedziałby o tym natychmiast. To on zmusił Vreni, żeby tak skłamała. Dlaczego? Nie musiał przecież wymyślać kłamstwa, skoro Lersingen i tak zdążył już wyjechać. Pewnie Marlitz bał się, że może on zmienić zdanie i przed upływem trzech dni wrócić. Na wszelki wypadek wołał go zdyskredytować.

Malwina zamknęła oczy.

Teraz już nie miało to znaczenia. Dobrze, że się stało, co się stało. Jako uboga żona byłaby dla Rüdigera tylko ciężarem i znalazłaby się w jeszcze gorszej sytuacji.

Zabrała się do pakowania swoich rzeczy. Po wyznaniu Vreni zrobiło się jej znacznie lżej. Jeżeli Rüdiger zdecydował się ją zostawić, to przynajmniej nie zrobił tego dla innej. Myśl ta dręczyła ją najbardziej. Pakowanie zajęło jej cały dzień, nie licząc czasu na posiłki, które jadła z ciotką Hertą i jej córkami.

Ciotka, mając dość własnych kłopotów, nie przestawała martwić się o Malwinę. Ze łzami w oczach próbowała się usprawiedliwić.

— To nie moja wina, drogie dziecko. Bardzo mi cię żal, ale sama nic nie poradzę, gdyż zdana jestem na łaskę i niełaskę zięciów. Już na samą myśl o tym robi mi się słabo. Przecież oni też z ledwością wiążą koniec z końcem. Najlepiej, gdybym też umarła i nie była dla nikogo ciężarem.

Nie szczędziła cierpkich uwag pod adresem męża, który zostawił ją w tak beznadziejnej sytuacji.

Malwina jeszcze nigdy nie rozmawiała z ciotką tak otwarcie i szczerze, ale prócz współczucia, niczego więcej nie odczuwała.

Nazajutrz pochowano Franza Marlitzza na małym cmentarzyku z Gundlingen, a zaraz po pogrzebie Malwina poszła z Daniłą, jej matką i Hendrikiem do Hagenau. Jej rzeczy zostały przeniesione tam już z samego rana.

Kilka dni przed weselem w Hagenau pani Boolman nieoczekiwanie uczyniła Malwinie bardzo ciekawą propozycję:

— Wymyśliłam sposób, jak pani pomóc — odezwała się jak zwykle lakonicznie, nie zwracając uwagi na zdziwienie wszystkich obecnych, gdyż akurat siedzieli przy stole.

— Co by to było, mevrouw Boolman? — spytała Malwina nieśmiało.

— Mówiłam już, że szukam Niemki, nauczycielki, która pojechałaby z nami na Sumatrę. Tak sobie pomyślałam, że pani byłaby właściwą osobą. Co pani na to?

Daniela i Hendrik poruszyli się nerwowo, jakby chcieli powstrzymać Malwinę przez przyjęciem propozycji. Ona jednak udała, że tego nie widzi i spytała, nie kryjąc zdumienia:

— Rzeczywiście powierzyłaby mi pani tę posiadłość, mevrouw Boolman?

— Przecież bym o to nie pytała. Żałuję panią, bo to niezbyt przyjemne uczucie stracić nagle cały majątek. Chce pani pracować, a skoro panią polubiłam, to po co mam się męczyć i szukać kogoś innego?

— To doskonały pomysł, droga Emmo! — ucieszył się pan Boolman.

Małżonka obrzuciła go ostrym spojrzeniem, więc skulił się i zamilkł.

— Czy aby pani nie zawiodę, mevrouw Boolman? — nie dowierzała Malwina.

— Niech pani nie myśli, że nie zebrałam odpowiednich informacji. Mówi pani poprawną niemczyzną, jest pani spokojna, zdecydowana i poważna, co, moim zdaniem, zupełnie wystarczy jak na nauczycielkę.

— Zrobię wszystko, by sprostać pani oczekiwaniom, mevrouw Boolman.

— No to sprawa załatwiona.

Hendrik przysłuchiwał się tej rozmowie z rosnącym niepokojem.

— Czy nie byłoby dobrze, mevrouw Boolman, dać pannie Bertram trochę czasu na zastanowienie? To ważna decyzja, panno Malwino. Nie jestem pewien, czy pani dobrze robi — rzekł zdecydowanie, patrząc na Malwę.

Jego interwencja miała nie tylko uchronić Malwinę przed uzależnieniem się od tej złośliwej kobiety, ale także przed nieuchronnym spotkaniem z Rüdigerem, do którego musiałoby dojść, gdyby dziewczyna zamieszkała w sąsiedniej posiadłości. Nie wiedział jednak, czy ma się temu sprzeciwić za wszelką cenę. Malwina nie wyglądała na speszoną.

— Nie potrzebuję się zastanawiać, panie doktorze. Propozycja pani Boolman bardzo mnie ucieszyła, bo na pewno w Niemczech nie byłoby mi łatwo znaleźć odpowiednią posiadłość.

Emma Boolman przytaknęła skwapliwie.

— Pani jest porządną dziewczyną. Cieszę się, że mogę panią wyciągnąć z takiego kraju jak Niemcy. O szczegółach jeszcze porozmawiamy.

— Dziękuję, mevrouw Boolman, za tak wielkie zaufanie.

— Mam przecież oczy, gdzie trzeba, i wiem, komu mogę zaufać.

Dla pani Boolman sprawa angażu nauczycielki była zakończona. Hendrik nie odezwał się już więcej, ale Daniela wiedziała, że nie aprobuje on decyzji Malwiny. Sama też nie była zachwycona, ale pocieszała się myślą, że wiosną pojedą z Hendrikiem na Sumatrę i jeżeli przyjaciółce nie będzie się podobało w Ramaninie, zabiorą ją z powrotem.

Gdy narzeczeni zostali sami, Hendrik odezwał się zatroskany:

— Wiesz, Dani, muszę prosić cię o radę i pomoc. Chodzi o decyzję panny Bertram i jej wyjazd do Ramaniny. Wydaje mi się, że źle zrobiła i mam ku temu poważne argumenty.

— Ja też przeczuwam, że to się źle skończy, mimo że pani Boolman wyjątkowo Malwinę lubi. Ale o jakich argumentach myślałeś?

— Muszę ci o czymś powiedzieć, ale obiecuję, że zostanie to między nami.

— Obiecuję, Hendriku.

— Otóż Rüdiger Lersingen jest zarządcą mojej plantacji w Madali. Prosił mnie o tę posiadłość po tym, jak otrzymał odmowną odpowiedź opiekuna Malwiny i jej samej na jego oświadczenia. Chciał jak najprędzej opuścić Hagenau. Odmowa bardzo nim wstrząsnęła, gdyż szczerze i z całego serca pokochał Malwinę.

Daniela patrzyła zdumiona.

— Coś podobnego! Teraz już nic nie rozumiem. Ty mówisz, że Lersingen kochał Malwinę, a ja wiem, że ona kochała jego.

— Musisz mieć nieprawdziwą wiadomość. Rüdiger wtedy wyraźnie powiedział: Odmówiła, bo mnie nie kocha — i nie mógł wykrztusić ani słowa więcej.

— Mimo to uważam, że ona go kochała. Znam ją dobrze i wiem, że nagły wyjazd Rüdigerera też ją bardzo zmartwił i boleśnie to przeżyła.

Hendrik pokręcił głową.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Ani ja, Hendriku. Oboje są tak zamknięci w sobie, że chyba nigdy nie dowiemy się, co zdarzyło się naprawdę.

— Hm, na to wygląda, ale twoja przyjaciółka wyraźnie się zmieniła po wyjeździe Rüdigerera. Trudno temu zaprzeczyć. Co powinienem zrobić, Dani? Lersingen chciał zapomnieć o Malwinie i dlatego wyjechał aż na drugi koniec świata. Jeżeli ona zjawi się w Ramaninie, spotkają się na sto procent. Czy wbrew żądaniu Rüdigerera nie należałoby jednak powiedzieć Malwinie, że on tam jest? Nie przypuszczał chyba, że ona może pojechać na Sumatrę, a skoro do tego doszło, nie powinien wymagać ode mnie, bym milczał.

Daniela zastanawiała się chwilę, po czym rzekła zdecydowanie.

— Nie, Hendriku. Nie możemy jej o tym powiedzieć, bo zrezygnuje z wyjazdu. Mam wrażenie, że to opatrność zrządziła i prowadzi Malwinę za Rüdigerem. Być może spotkają się i jeżeli rzeczywiście się kochają, to nieporozumienie zostanie wyjaśnione. A jak mieliby go sobie wytłumaczyć, gdyby się nie spotkali?

— Naprawdę uważasz, że ona kocha Rüdigerera?

— Mój drogi! — westchnęła Daniela. — W tych sprawach, my kobiety, nigdy się nie mylimy. Nawet gdyby sto razy któraś zaprzeczyła, to i tak wiadomo, że kłamie.

— Uważasz więc, kochanie, że nie powinniśmy wspominać o Rüdigerze?

— Nie. Zdajmy się na wolę boską. Nie stanie się nic złego, jeżeli spotkają się zniecka, a — być może — wyjdzie im to na dobre.

— No dobrze, niech już tak będzie. Jeżeli Malwa i Rüdiger nie pogodzą się, a ona nie zechce zostać w Ramaninie, zabierzemy ją z powrotem do Europy. Tymczasem daleka podróż pozwoli jej zapomnieć o bolesnych przeżyciach. Nie zostawimy jej samej, a jestem pewien, że Rüdiger też zechce się nią zaopiekować.

— Masz rację, Hendriku. To bardzo porządny człowiek. Pocałował ją w usta.

— Nie mów tak, bo będę zazdrosny — zażartował.

— Daj spokój, kochanie. Przecież wiesz, że w moim sercu nie ma już nawet kącika dla kogoś innego.

Przytulił ją mocno.

— Wkrótce będziesz już tylko moja, najdroższa.

13

Było już po weselu. Pani von Hagenau przeprowadziła się z powrotem do dworku i zgodziła się podejmować państwa Boolmanów jeszcze przez kilka dni. Malwina ciężko przeżywała bliskie już rozstanie z Danielą. Żal z powodu tak nagle zburzonego życia przybrał teraz na sile i wstrząsał jej ciało bolesnym szlochem.

Daniela próbowała ją pocieszać.

— Nie zamartwiaj się, Malwinko. Dobry Bóg przecież wiedział, po co zsyła ci tak ciężkie doświadczenia. Popatrz, my z matką też musiałyśmy opuścić dworek i schronić się tymczasowo w domku dla wdów i nie wiedziałyśmy, co nas czeka dalej. Myślisz, że ja się nie załamawałam? Ale pomyślałam sobie, że Bóg z pewnością woli odważne serca i chętniej pomoże ludziom dzielnym niż zupełnie załamanym. A jak mi pomógł, sama widzisz! Jestem przekonana, że z tobą będzie tak samo. Kto może dziś wiedzieć, co czeka cię tam daleko, za morzem? Na pewno nie zostawimy cię bez pomocy. Wiosną przyjedziemy do Madali i zostaniemy co najmniej kilka miesięcy. Będziemy się spotykać, ile razy tylko zapragniesz. Hendrik zapewniał mnie, że znajdziesz dobrą opiekunkę w pani Saalfner, właścicielce Ramaniny. Jego zdaniem jest to osoba uczciwa i nie pozwoli, by w jej domu stała ci się krzywda.

Malwina próbowała się uśmiechnąć.

— Ja się wcale nie boję, Dani. To tylko nerwy zupełnie odmówiły mi posłuszeństwa. Ostatnio zbyt wiele kłopotów naraz zważyło się na moją biedną głowę, ale obiecuję, że już się nie załamie.

Daniela spojrzała na przyjaciółkę poważnym wzrokiem.

— Muszę cię jednak, Malwino, o coś spytać. Nie gniewaj się, że postawię ci jeszcze raz pytanie, na które nie chciałaś mi odpowiedzieć wcześniej. Nie chodzi o ciekawość czy brak taktu, a o szczere współczucie... Powiedz mi, kochałaś Rüdigera Lersingena?

Malwina najpierw poczerwieniała, potem zbladła jak ściana i odezwała się bardzo cicho.

— Odpowiem ci na to pytanie, gdy duma mi na to pozwoli.

Dla Daniela odpowiedź ta była aż nadto wyraźna: Malwina kochała Rüdigera, a nawet żywi dla niego to uczucie do dziś. Ucieszyła się. Poczowała ogromną ulgę i uścisnęła Malwinę.

— Przepraszam cię. Kiedyś na pewno powiem ci, dlaczego zadałam to pytanie, albo też wcześniej domyślisz się sama. Zrozumiesz, że powodowała mną wyłącznie przyjaźń.

— Ja nawet teraz w to nie wątpię, najdroższa Dani. Nie miej mi za złe, ale są rzeczy, o których nie można mówić, zanim nie wykorzeni się ich ze świadomości. Poczekaj, aż się z tym uporam, a teraz musimy się już pożegnać...

Ucałowały się bardzo serdecznie, gdyż Hendrik rzeczywiście czekał już na swoją piękną, młodą żonę. Pożegnał się z Malwiną, a siedząc już w samochodzie, jeszcze zawołał „Do widzenia!” i machał długo ręką.

Gdy już odjechali z dziedzińca dworku Hagenau, Daniela rzekła:

— Wiesz, Hendriku, jestem całkowicie pewna, że Malwina wciąż kocha Rüdigera.

— No to miejmy nadzieję, mevrouw van der Straaten, że wszystko skończy się pomyślnie. Radzę jednak nie oglądać się do tyłu, bo została tam pani Boolman, a to może przynieść pecha!

Krótko przed Bożym Narodzeniem Malwina wyjechała z Boolmanami, mimo że pani von Hagenau bardzo nalegała, by pozostali jeszcze w Bawarii.

W Amsterdamie Hendrik i Daniela czekali na nich na dworcu. Udało się im uprosić panią Boolman, by pozwoliła Malwinie zostać z nimi do następnego dnia, zwłaszcza że sama musiała jeszcze pojechać do krewnych po swoje wnuki.

W przepięknym, bajecznie urządzonym starym domu amsterdamskich patrycjuszki spędziła Malwina ostatnią noc w Europie. Rano w towarzystwie swoich przyjaciół zjawiała się w porcie.

Boolmanowie z górnego pokładu powitali ich przyjaźnie, machając chusteczkami. Obok nich biegały rozbawione dzieci: wnuk i wnuczka.

Gdy tylko spotkali się na pokładzie parowca, pani Boolman krzyknęła szorstko po holendersku:

— Jan, Martje! Chodźcie tu natychmiast! To jest panna Bertram, wasza niemiecka wychowawczyni. Możecie do niej mówić juffrouw Malwo.

Dzieci podeszły nieco przestraszone. Jan wyglądał na dobrze wyrosniętego dziewięcioletka, a jasnowłosa Martje mogła mieć około siedmiu lat. Dzieci, zdrowe i wypoczęte, wprost tryskały radością i energią.

— Nie przywitacie się ze mną? — spytała zachęcająco Malwina.

— O, ik kan niet goed verstaan Duitch — wyjąkał Jan.

— O, en kan niet goed spreken... po holendersku. Będziemy sobie nawzajem pomagać. Wy nauczycie się niemieckiego, a ja holenderskiego. To dopiero będzie zabawa, co?

Janowi najwyraźniej spodobała się propozycja, zaś Martje zawsze podzielała poglądy brata, więc nowa nauczycielka z miejsca została zaakceptowana. Dzieci nie mogły się doczekać, kiedy juffrouw Malwa pożegna się ze swoimi przyjaciółmi. Wkrótce podano informację, że odprowadzający pasażerów powinni niezwłocznie opuścić pokład parowca. Przyjaciółki ostatni raz padły sobie w objęcia.

— Życzę ci szczęścia, Malwinko. Szczęśliwej podróży i miejmy nadzieję, że wyjazd uwolni cię od wszelkich zmartwień.

— Dziękuję ci, Dani! Tobie też niech się poszczęści na nowej drodze życia.

— Do zobaczenia na Sumatrze, panno Bertram — rzekł serdecznie Hendrik.

Z Boolmanami pożegnali się już pośpiesznie, prosząc tylko o przekazanie pozdrowień właścicielce Ramaniny, Alfredowi Meersburgowi i jego żonie. Parowiec był już gotowy do wypłynięcia w morze.

Malwinie popłynęły łzy, jakby cały żal nagle ogarnął jej serce, ale dzieci zobaczywszy, że płacze, natychmiast przybiegły.

— Juffrouw Malwa! Dlaczego płakać? My jechać do tatusia i mamusi — zmartwiła się Martje.

Malwa przygarnęła ich oboje.

— Oczywiście. Martje, powinniście się cieszyć, gdyż zobaczycie mamę i tatę.

— Ale ty będziesz cieszyć się z nami!

— Już się cieszę. Jedziemy przecież w piękny daleki świat!

Wyjęła chusteczkę i pomachała Danieli i Hendrikowi. Ogromny parowiec powoli odbijał od przystani. Orkiestra na pokładzie przygrywała radośnie, a pozostali na brzegu przyjaciele Malwiny w jej załzawionych oczach stawali się coraz mniej wyraźni.

Jan i Martje chwycili ją za ręce i pociągnęli w stronę podestu dla orkiestry. Otarła łzy i wdała się w rozmowę z dziećmi, próbującymi rozmawiać pół po niemiecku, pół po holendersku.

Malwina ruszyła w nieznane nie wiedząc, że na dalekiej Sumatrze spotka Rüdigera Lersingena. Gdyby wiedziała, nigdy nie przyjęłaby propozycji pani Boolman. Za żadną cenę.

Podróż przebiegała nadzwyczaj spokojnie i w miłej atmosferze. Dzieci były grzeczne i posłuszne. Radziła sobie z nimi w każdej sytuacji. Ostatecznie — pocieszała się Malwina — drobne niedogodności na pewno jej nie ominą, ale na własne utrzymanie przecież zarobi, zwłaszcza że niczego w Ramaninie nie będzie musiała kupować.

Pod koniec stycznia parowiec wpłynął do portu Palembang, miasta zwanego sumatrzeńską Wenecją. Na podróżnych z Amsterdamu czekał już Alfred Meersburg i jego żona, Jo. On był wysokim blondynem o szaroniebieskich oczach głęboko osadzonych w opalonej, nieco szorstkiej, choć sympatycznej twarzy. Był ubrany w lniany jasny garnitur, a na głowie miał charakterystyczny kapelusz z osłoną opadającą na szyję.

Jo Meersburg była zupełnie niepodobna do swojej matki, Emmy Boolman. Nie była tak przeraźliwie chuda, może nawet nieco za gruba, raczej przypominała ojca. Radość z przyjazdu dzieci nie miała granic. One jednak nie dały dojść nikomu do słowa, opowiadając o swojej nowej nauczycielce. Ich zdaniem juffrouw Malwa była wesola i dobra, a nauka z nią była prawdziwą zabawą.

Po krótkim powitaniu wszyscy przesiedli się na rzeczny parowiec.

Płynęli wzdłuż kanałów przecinających miasto we wszystkich kierunkach. W pobliżu portu zaczynały się dzielnice tubylców, tak zwane rakits, złożone głównie z lekkich, pływających domów. Zza przewiewnych ścian tych zadaszonych tratw raz po raz wychylały się ciekawskie buzie dzieci i kobiet przyglądających się niezliczonej ilości łodzi i łódek przewożących ludzi i towary. Parowiec, przeciskający się z hałasem przez tę ciżbę, wzbudzał powszechne zainteresowanie. Zgiełk narastał w miarę zbliżania się do centrum miasta.

Większość pasażerów tu właśnie opuściła parowiec. Malwina nagle znalazła się w świecie pełnym egzotycznych barw, w otoczeniu targowisk i bazarów. Czego tam nie było! Obok ogromnych stosów miejscowych warzyw piętrzyły się wielobarwne kopce koszyków wypłatanych na miejscu przez tubylców. Zaraz obok mieniły się wszystkimi kolorami tęczy wzorzyste góry tkanin i gotowych już strojów, noszonych powszechnie przez sumatrzeńskie kobiety. Główną ich częścią był sarong — kolorowa płachta, którą miejscowe kobiety przepasywały

się powyżej piersi, pozostawiając odkryte ramiona i ręce. Niektóre narzucały na sarong lekką luźną bluzę, tak zwaną kabaję.

Europejki mieszkające na Sumatrze chętnie ubierały się w ten przewiewny i praktyczny strój, ale tylko w domu, gdy było bardzo gorąco.

Jo Meersburg, widząc zainteresowanie Malwiny, kupiła jej sarong i kabaję.

— Na pewno się pani przydadzą, juffrouw Bertram, i w domu chętnie je pani będzie nosić — przekonywała z uśmiechem.

Malwa zwinęła lekką barwną tkaninę, która bez trudu zmieściła się w podręcznej torebce. Podziękowała Jo i od tej chwili bacznie przyglądała się tubylcom, podglądając sposób upinania sarongu.

Na bazarze było pełno przeróżnej biżuterii, kobierców, mat z liści palmy kokosowej, rzekomo cudownych amuletów. Nie brakowało też sprzętu potrzebnego w gospodarstwie domowym i zabawek dla dzieci.

Błądząc wśród uliczek targowiska nasi podróżni doszli do hotelu „Królowa Emma”, gdzie zamierzali spędzić noc.

Rankiem wyruszyli w dalszą podróż na pokładzie parowca kursującego w górę rzeki Musi, czyli w głąb wyspy.

Rzeka wiła się zakolami wśród bujnej, tropikalnej roślinności. Krajobraz stawał się coraz bardziej malowniczy, w miarę jak parowiec oddalał się od brzegów wyspy. Wkrótce na horyzoncie pojawiły się charakterystyczne sylwetki górskich szczytów. Nagie, żółtawe ściany skał stawały się coraz wyraźniejsze na tle soczystej zieleni dżungli i wielobarwnych, kwitnących bujnie roślin. Kolory zmieniały się jak w kalejdoskopie, by wreszcie ustąpić miejsca gęstej szmaragdowozielonej dżungli, rozciągającej się po obu brzegach rzeki.

Raz po raz cofała się ona w głąb lądu, a pojawiały się rozległe płaskie pola ryżowe i charakterystyczne chaty tubylców, wzniesione na palach i nakryte siodłowatymi dachami z liści palmy. Wśród nich wyróżniały się domy w stylu europejskim, obok których stały ogromne stodoły do przechowywania słomy ryżowej. Po ich wielkości można było ocenić zamożność właściciela.

Zdarzały się też coraz częściej plantacje kawy i bawełny. Malwina patrzyła na tę krainę jak na świat z bajkowych opowieści.

Po południu parowiec przyplłynął do przystani leżącej najbliższej posiadłości Ramanina i Madala. Tam też znajdowała się stacja administracji holenderskiej, malowniczo położona wśród wysokich palm.

Na podróży czekała już służba i trzy pojazdy zaprzęgnięte w woły: dwie bryczki z wyściełanymi siedzeniami i jeden wóz na bagaże. Boolmanowie i Meersburgowie zabrali się do jednej bryczki, Malwina z dziećmi — do drugiej. Droga wiodła przez plantacje kawy, pola ryżowe, gaje palmowe, plantacje bawełny i dziewiczą dżunglę. Pięła się coraz wyżej i coraz piękniejszy widok rozpościerał się na leżącą w dole rzekę i okolicę. Malwina nie mogła uwierzyć, że wszystko to istnieje naprawdę, że nie jest to sen. Wiatr poruszał z szelestem srebrnozielonym baldachimem liści bambusa i podobnym do wawrzynu listowiem drzew żelaznych, których korony, uniesione wysoko i splątane, wspierały się na niezliczonych kolumnach utworzonych przez dziwaczne pnie.

Właściwie były to korzenie napowietrzne tych drzew, wyrastające z gałęzi i opuszczające się ku ziemi, by — dotknąwszy jej — zagłębić się i czerpać z niej życiowe siły. Przez zbity gąszcz listowia i kwiecica przebijały się smukłe pnie drzew eukaliptusowych oplecione girlandami kwitnących pnączy i lian.

Ogromne kolosy powalone piorunem lub upadłe ze starości leżały wśród bujnej zieleni poszycia i próchniejąc powoli, dostarczały pokarmu swoim następcom. Jakby w podzięce za tę przysługę natura ozdobiła je błękitnymi, białymi, różowymi i fioletowymi bukietami pięknych orchidei. Malwina aż przymrużyła oczy rażona takim bogactwem barw. Odczuwała nabożny nastrój tej niezwyklej świątyni natury.

Dzieci śmiały się i zasypywały swoją nauczycielkę setkami pytań, nie pozwalając jej na przeżywanie w milczeniu uroków sumatrzeńskiego krajobrazu. Na szczęście dosyć szybko zmęczyły się i posnęły przytulone do niej.

Karawana dotarła wreszcie na rozległą, położoną wysoko w górach równinę i do zabudowań Ramaniny, posiadłości Marii Saalfner.

Malwina nie wiedziała, że od kilku godzin przemierzała ziemie należące do majątku Madala, którym zarządzał od kilku miesięcy Rüdiger Lersingen.

Gdy wozy zatrzymały się przed obszerną rezydencją właścicielki Ramaniny, Malwina była bardzo zmęczona, ale odzyskała siły, zobaczywszy wprost rajski obraz.

Dom był idealnie wkomponowany w tropikalną zieleń. Wnętrze urządzone było po europejsku.

Stał na wysokim, kamiennym fundamencie. Był parterowy i cały z drewna, miał kolorowo pomalowaną fasadę. Dookoła budynku biegła weranda osłonięta od słońca markizami. Drzwi z wszystkich pokoi, szeroko teraz pootwierane, wychodziły właśnie na werandę. Do głównego wejścia rezydencji prowadziło jakieś dziesięć, dwanaście schodków. Maria Saalfner czekała na swoich gości na najwyższym schodku.

Jej wysoka, smukła postać, pochylona nieco ze starości, wsparta na lasce, była widoczna z daleka. Siwe, niemal białe włosy miała ciasno upięte wokół opalonej twarzy, noszącej wyraźne ślady niegdysiejszej urody. Żywe, brązowe oczy błyszczały radośnie na widok przybyłych. Patrząc w tę szlachetną twarz, każdy musiał dostrzec, że kobieta ta wiele w życiu zaznała trosk i z wielkim trudem walczyła o utrzymanie.

Pan Boolman pierwszy wygramolił się z bryczki i szybko, na ile pozwalała mu jego tuśza, pobiegł po schodach do staruszki, hałaśliwie wykrzykując konwencjonalne pozdrowienia. Zapewniał, że bardzo się cieszy, zastając ciotkę w doskonałej kondycji. Starsza pani nie podzielała entuzjazmu siostrzeńca swojego męża.

— Cieszę się, Jacobie, że mieliście dobrą podróż — rzekła krótko.

Emma Boolman zdążyła już wejść po schodach i objęła ciotkę.

— Najdroższa ciociu! Taka jestem szczęśliwa, że znowu mogę być przy tobie. Dzięki Bogu, jesteś równie żwawa i zdrowa jak w momencie naszego wyjazdu. Cały czas martwiłam się o ciebie. Już nigdy nie zostawię cię tak długo samej — recytowała z niezwykłą uprzejmością.

Maria Saalfner słuchała tego obojętnie. Westchnęła tylko cicho i spytała:

— A jak zdrowie dzieci?

Alfred Meersburg przyprowadził Jana i Martje. Przywitali się, a ona z uśmiechem na twarzy położyła ręce na główkach dzieci, jakby chciała je pobłogosławić. Trwało to dłuższą chwilę. Martje zaczęła z nudów bawić się paskiem od sukni starszej pani, a Jan zniecierpliwiony kręcił głową.

— Hej, wy dwoje! Popatrzcie no na mnie. Wiecie przynajmniej, kim jestem? — odezwała się starsza pani.

Jan uśmiechnął się nieporadnie, a Martje, spojrzawszy najpierw na brata, wyrecytowała:

— Tak, panią Marią, ciocią naszego dziadka.

— Ależ, Martje! Przecież także waszą kochaną ciocią! — poprawiła ją zmieszana nieco pani Boolman.

Maria Saalfner potrząsnęła głową.

— Dlaczego od razu kochaną, Emmo? Dzieci nie wiedzą jeszcze, czy będę dla nich dobrą czy złą ciotką. Pozwól przynajmniej mówić im to, co myślą — odpowiedziała spokojnie, a przygarnawszy Jana i Martje rzekła:

— Spróbujmy najpierw się zaprzyjaźnić, a potem powiecie mi, czy mnie kochacie czy nie, dobrze?

Jan kiwnął poważnie głową, a Martje zrobiła natychmiast to samo.

— Jak będziesz wesoła, ciociu, to na pewno cię polubimy — skwitował Jan.

Uśmiechnęła się.

— Och, zbyt wesoła to ja już nie będę. Jestem za stara, ale gdybym była młodsza, chętnie bym z wami poszalała.

— Jak panna Malwa?

Na pytanie małej Martje starsza pani spoważniała i zbladła. Posmutniałymi oczami zapatrzyła się w dal.

— O czym to dziecko mówi? — spytała po cichu.

— Martje ma na myśli niemiecką nauczycielkę, pannę Malwę Bertram — wyjaśnił Alfred Meersburg.

Staruszka powoli dochodziła do siebie.

— Malwę? — spytała z ogromnym smutkiem w głosie.

Wyprostowała się i rozglądnęła dookoła.

— Gdzie jest ta nauczycielka? — spytała.

— Tu, z nami, Proszę wejść, juffrouw Bertram — zawołała Jo Meersburg do Malwiny, ciągle stojącej na dole przy schodach.

Malwa weszła i ukloniła się właścicielce Ramaniny, która patrzyła na nią niezwykłym wzrokiem.

— Mój Boże, zmarli wstają z grobów! — rzekła cicho do siebie, nie odrywając oczu od Malwiny. Podała jej rękę.

— Witam panią w moim domu, panno Bertram. Z jakich stron pani pochodzi? — spytała po niemiecku.

— Urodziłam się w Nadrenii, proszę pani, ale ostatnich kilka lat spędziłam w Alpach Bawarskich.

— W Nadrenii? A więc jesteśmy rodaczkami. Ja też stamtąd pochodzę...

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale przerwała, widząc wlepione w siebie węzowe oczy Emmy Boolman.

— Jak pani ma na imię? — spytała po chwili, jakby nie mogła sobie przypomnieć.

— Malwina.

— Malwina? To rzadkie imię i niezbyt często spotykane, zwłaszcza w Niemczech.

— Czy nie nosiła go także twoja tragicznie zmarła córka, ciociu Mario? — spytał Jacob Boolman.

Starsza pani zauważyła, że jego żona zbladła w tym momencie.

— Och, rzeczywiście — wyjąkała pani Boolman — dopiero teraz sobie skojarzyłam. Broń Boże, nie chciałam przywołać twoich smutnych wspomnień, ciociu! Proponuję nazywać pannę Bertram innym imieniem.

— Dlaczegoż mielibyśmy zmieniać jej imię, Emmo? Wcale mi ono nie przeszkadza. Zdziwiłam się tylko, bo jest to rzadkie imię. Ale chodźcie już do środka, bo po wielogodzinnej jeździe wołami na pewno chcecie się odświeżyć i coś zjeść.

Maria Saalfner weszła do domu, a pozostali pośpieszyli za nią. Znaleźli się w wielkim przewiewnym hallu, którego dach wspierał się na szesnastu wysokich rzeźbionych kolumnach z pomalowanego drewna. Podłoga w hallu i odchodzących w lewo i prawo korytarzach była wyściełana matami z liści palmy kokosowej. Pośrodku sufitu wisiały duże lampy naftowe. Z korytarzy wiodły drzwi do pokoi mieszkalnych, położonych po obu stronach. Niektóre zamiast drzwi miały zawieszane ciężkie barwne kotary. Wszystkie futryny wykonane były z drewna. Były bogato rzeźbione.

W hallu wzdłuż ścian stały wysokie ławy i oprócz nich nie było tam żadnych mebli. W pokojach natomiast znajdowały się sprzęty podobne do europejskich. Nie było jedynie szaf, których rolę spełniały wnęki w ścianach, zasłonięte kotarami z kosztownej tkaniny. Sypialnie, wszystkie pomalowane na biało, wyposażone były w wygodne łóżka z mosiężnych prętów. Były to jedyne luksusowe meble, na które można było sobie pozwolić w tropikalnym klimacie.

Malwie przydzielono jeden z tych dużych, pięknych pokoi oraz służącą, Malajkę. Dziewczyna zaprowadziła Malwinę najpierw do łazienki. Było to pomieszczenie wyjątkowo skromnie urządzone. W wybetonowanej podłodze znajdował się odpływ ściekowy. Obok stała kadź z wodą i niewielkie wiaderko, którym podczas kąpieli należało zaczerpnąć wody ze zbiornika i polewać ciało, stojąc w zagłębieniu nad odpływem. W ten prosty i nieskomplikowany

sposób można było brać kąpiel kilka razy w ciągu dnia. W tropiku była to wręcz konieczność. Europejczycy brali „prysznic” przed każdym posiłkiem, a także przed snem.

Po kąpeli Malwina poczuła się znacznie różnie. Ubrana w prostą białą sukienkę przeszła szerokim korytarzem przez hall do jadalni, gdzie czekali już wszyscy członkowie rodziny, również dzieci.

Maria Saalfner zajmowała honorowe miejsce. Po jej prawej stronie siedział Jacob Boolman, po lewej — Emma. Obok Emmy usiadł Alfred Meersburg, zaś Jo zajęła krzesło obok Jacoba, mając przy sobie Martje.

Naprzeciwno niej — przy ojcu — siedział Jan. Dla Malwiny pozostało więc miejsce na drugim końcu stołu, na wprost gospodyni.

Podczas całego obiadu Malwina czuła na sobie wzrok Marii Saalfner. Starsza pani dopiero teraz zobaczyła młodą Niemkę bez kapelusza. Zauważyła, że jej jasnoblond włosy mają złotawy odcień, identyczny z kolorem włosów jej tragicznie zmarłej córki.

Malwina dostrzegła zainteresowanie, z jakim przyglądała się jej właścicielka Ramaniny, ale nie krępowała się tym, uznając to za wyraz sympatii, którą wyczuła już przy powitaniu. Ona także podobną sympatią darzyła starszą panią. Dzięki niej nie czuła się nieswojo wśród tych zupełnie obcych ludzi.

Jan i Martje z trudem wytrzymywali siedzenie przy stole i byliby nieźle narozrabiali, gdyby Malwa nie trzymała ich w ryzach i to wcale nie krzykiem czy piorunującymi spojrzeniami, a jedynie uśmiechem i przymówkami odpowiednimi do ich wieku.

Do końca posiłku dzieci były już grzeczne jak aniołki. Po kolacji jeszcze poszły z Malwiną zobaczyć izbę lekcyjną, gdzie miały się uczyć zaraz po zakończeniu ferii.

Gdy domownicy zostali już sami, Emma Boolman spytała:

— Mam nadzieję, ciociu Mario, że panna Bertram nie będzie ci przeszkadzać?

Staruszka wzruszyła obojętnie ramionami.

— Najważniejsze, że należycie zajmie się wychowaniem dzieci.

Upłynęło kilka dni od przyjazdu do Ramaniny i Malwa już przyzwyczała się do nowych warunków.

Dom mieszkalny otoczony był wielkim, prawdziwie rajskim ogrodem pełnym przeróżnych roślin kwiatowych i owocowych, a także znanych w Europie warzyw. Za nim dopiero znajdowały się zabudowania gospodarcze, stajnie i obory oraz domki mieszkalne dla służby.

Malwina prawie cały dzień spędzała z dziećmi, które garnęły się do nauki. Upały były bardzo męczące, toteż zarówno Malwa, jak i mała Martje chętnie nosiły przewiewne sarongi i kabaje. Cały dzień chodziły w słomianych pantoflach zakładanych na gołe nogi. W podobny sposób ubierała się także Emma Boolman i Jo Meersburg. Pani Boolman wyglądała niezwykle komicznie w barwnym sarongu i niebieskiej kabai, jednak wcale się tym nie przejmowała. Maria Saalfner nigdy nie nosiła tropikalnego stroju, nawet gdy była sama w domu. Zawsze ubierała się w proste, skromne białe suknie sięgające do kostek.

Do posiłków wszystkie panie obowiązkowo zasiadały w strojach europejskich.

Dla Emmy Boolman było oczywiste, że Malwina nie tylko zajmie się dziećmi, ale także innymi pracami, które jej zleci. Dziewczyna nie protestowała. Pewnego dnia Maria Saalfner zobaczyła ją w ogrodzie zrywającą owoce i taszczącą później ciężki koszyk do domu. Popatrzyła zdziwiona na siedzącą obok Emmę.

— Nie powinnaś obciążać panny Bertram obowiązkami, które do niej nie należą.

— Ależ, ciociu, ona ma tyle wolnego czasu i nawet sama mnie prosiła, by dać jej coś do roboty.

— To dobrze, że dziewczyna nie próżnuje, ale miałabym dla niej łatwiejsze zajęcie. Co-raz gorzej widzę i męczy mnie czytanie. Panna Bertram mogłaby czytać mi niemieckie książki, gdy nie pracuje z dziećmi, nie sądzisz?

— Oczywiście, droga ciociu. Przecież to ty jej płacisz i możesz wymagać. Oby tylko nie zaczęła się naprzykrzać.

Maria Saalfner dobrze wiedziała, o co chodzi Emmie Boolman, ale udała, że nie zrozumiała.

— Mniejsza o to. Dziewczyna ma czystą i wyraźną wymowę, i tylko to mnie interesuje. Później, jeżeli chcesz, możesz ją zabrać do innych prac.

Pani Boolman uspokoiła się, bo to właśnie chciała usłyszeć: panna Bertram powinna być ciotce Marii zupełnie obojętna.

Od lat starała się, żeby nikt z otoczenia nie zyskał sobie sympatii pani Saalfner i nie zżył się z nią zbyt blisko. Była przezorną i ostrożną kobietą i cały czas się bała, że ciotka może pewnego dnia zmienić decyzję i zapisać swoją posiadłość albo przynajmniej jej część komuś innemu. Ostatecznie nie była prawnie zobowiązana uczynić Jacoba Boolmana swoim jedynym spadkobiercą i mogła rozporządzać swoim majątkiem, jak chciała.

Już wiele lat temu Emma zmusiła Marię do napisania testamentu, stale jej przypominając, że pan Saalfner w grobie by się przewrócił, gdyby jego majątek trafił w ręce kogoś spoza rodziny, a jedynym żyjącym krewnym pana Saalfnera był właśnie Jacob Boolman.

Maria Saalfner nie miała żadnej rodziny i sama doszła do wniosku, że siostrzeniec jej męża powinien dostać w spadku Ramaninę, którą ona wraz z mężem zbudowała i doprowadziła do rozkwitu, zaczynając niemal od zera. By skończyć wreszcie z wiecznymi ponagleniami Emmy, napisała testament ustanawiający Jacoba Boolmana jedynym dziedzicem Ramaniny i całego majątku. Obojgu dała dokument do przeczytania.

Teraz już chyba dasz mi spokój, Emmo — pomyślała zmęczona. Włożyła testament do koperty, zapieczętowała ją i na oczach Boolmanów włożyła do skrytki w biurku.

— Tak, niech tu sobie spokojnie leży aż do dnia, gdy umrę — rzekła, zamykając skrytkę na klucz, który nosiła stale przy sobie razem z innymi.

Emma Boolman i tak jeszcze nie była pewna, czy ciotka nie zmieni zdania. Potajemnie dopasowała klucz do jej biurka i od czasu do czasu sprawdzała, czy duża zalakowana koperta wciąż leży na swoim miejscu. Na szczęście do dziś leżała.

Maria Saalfner nie miała wątpliwości co do zamiarów Emmy. "Wiedziała, że z niecierpliwością oczekuje na jej śmierć i gdyby nie to, z wielką przyjemnością zapisałaby majątek Jacobowi już dawno.

Maria zapytała Malwinę, czy nie zechciałaby poczytać jej w czasie wolnym od zajęć. Ponieważ Emma Boolman była przy tym obecna, starsza pani powiedziała swoją prośbę nieco szorstkim tonem. Dotychczas prawie wcale ze sobą nie rozmawiały, ale Malwa miała wrażenie, że pani Saalfner darzy ją sympatią. Często ich oczy się spotykały. W oczach starszej pani było tyle ciepła i dobroci, że Malwinie przypominały się oczy zmarłej już dawno matki.

W pierwszą niedzielę po przyjeździe Malwy do Ramaniny w pobliskim miasteczku Battakambong tubylcy urządzali dożynki, na które zaprosili też europejskich właścicieli plantacji z całej okolicy.

Uzgodniono, że pojedą tam Boolmanowie z córką i zięciem oraz dziećmi. Maria Saalfner już od wielu lat nie opuszczała Ramaniny. Zastanawiano się, czy nie poprosić Malwiny, by zechciała zaopiekować się starszą panią. Pani Saalfner jednak sprzeciwiła się zdecydowanie:

— Zabierzcie pannę Bertram na dożynki. Poradzę sobie bez jej towarzystwa.

Emma Boolman nie ustąpiła.

— Panna Bertram poczyta ci trochę. Nie będziesz się nudziła, a my będziemy spokojniejsi, że masz zapewnioną opiekę.

— No, dobrze już. Niech panna Bertram zostanie — ustąpiła wreszcie podkreślając, że zrobiła to wbrew swojej woli.

Gdy tylko bryczki zaprzężnięte w woły zniknęły za ogrodzeniem, Malwina i pani Saalfner usiadły na ocienionej werandzie. Rozdzielał je stolik, na którym leżała książka, którą Malwina miała czytać starszej pani. Dziewczyna ubrana była w przewiewną białą sukienkę z pięknymi koronkami z lekkiego muślinu, która została jej jeszcze z dawnych czasów. Z połyskującymi złotawym blaskiem włosami wyglądała w niej czarująco.

Dziewczyna zaczęła czytać, gdy nagle Maria Saalfner przerwała jej, kładąc rękę na książce.

— Nie czytaj dalej, moje dziecko. Porozmawiajmy sobie teraz trochę — rzekła dziwnie drżącym głosem.

Malwa popatrzyła zdziwiona.

— Jak sobie pani życzy, łaskawa pani.

— Proszę sobie darować tę „łaskawą panią”, moja droga, i mówić do mnie tak jak wszyscy tu w okolicy, po prostu pani Saalfner. Rozmawiamy ze sobą po raz pierwszy. Nigdy nie dopuszcza się do mnie obcych, a gdy już ktoś przyjdzie, zawsze nadzoruje mnie jeden z członków rodziny. Z pewnością nie zostawiono by mnie też z panią, gdybym wcześniej nie dała im do zrozumienia, że pani nie lubię.

— Zauważyłam, że patrzy na mnie pani z wielką dobrocią, a odzywa się niemal szorstko. Nie mogłam tego zrozumieć, choć, prawdę mówiąc, teraz też nie wiem, co się tu dzieje.

Starsza pani westchnęła ciężko i zdjęła z szyi wielki złoty medalion wysadzany brylantami, zawieszony na ciężkim łańcuszku ze złota. Otworzyła go i pokazała Malwinie miniaturę-

wy portret młodej kobiety. Oprócz głowy na zdjęciu było widać wysmukłą szyję i kawałek białej sukienki. Malwina nie mogła oderwać oczu od twarzy sportretowanej dziewczyny, zwłaszcza od kręconych blond włosów o identycznym złotawym odcieniu jak jej własne. Przyglądając się dokładniej, rozpoznała u nieznajomej swoje rysy twarzy.

— Kto to jest? — spytała, wstrzymując oddech i patrząc z zainteresowaniem w twarz siwej kobiety, która westchnęła znowu, a w jej oczach pojawiły się łzy.

— To portret mojej córki, jedyne i najukochańsze dziecko. Namalował go pewien holenderski malarz, gdy byliśmy w Amsterdamie półtora roku przed jej śmiercią. Minęło już tyle długich lat, a ja wciąż czuję smutek i żal po stracie mojego dziecka. Może pani sobie wyobrazić, co przeżyłam, zobaczywszy panią pierwszy raz. Miałam wrażenie, że znów widzę moją córkę? Przez moment gotowa byłam uwierzyć, że wstała z martwych... Miałam ochotę przytulić panią do serca, ale na widok Emmy Boolman musiałam się powstrzymać. Ona, na szczęście, nigdy tego portretu nie widziała ani też nie знаła mojej córki, więc nawet się nie domyśla, że pani mi ją przypomina. Nie powinna o tym wiedzieć. Nie może też odkryć, że bardzo panią polubiłam, bo na pewno zrobiłaby wszystko, żeby panią wypędzić z Ramaniny. Ja zaś, przykuta chorobą do domu, nie byłabym w stanie jej powstrzymać; jestem zmuszona kochać tylko członków rodziny Boolman.

Malwa ze wzruszeniem patrzyła na pełną bezradności twarz staruszki.

— Dlaczego zmuszona, kochana pani Saalfner?

— Dlaczego? Musiałabym o tym długo opowiadać, moje dziecko. Jedno jest pewne, że pani Boolman tylko czeka, kiedy zamknę oczy, a ona zostanie gospodynią Ramaniny. Boi się, żeby ktoś nie przypadł mi szczególnie do serca i przypadkiem nie skłonił do zmiany testamentu. Zmusiła już do posłuszeństwa całą swoją rodzinę i nikt nawet nie próbuje się jej przeciwstawić. Ona zaś zrobi wszystko, by nawet moja szpilka od włosów nie dostała się przypadkiem w obce ręce. Dosłownie liczy mi każdą minutę życia, i to od wielu lat.

Malwina pobleadła.

— Mój Boże! Jakież to straszne!

Starsza pani uśmiechnęła się gorzko.

— Do wszystkiego można przywyknąć, moje dziecko.

— Tylko dlaczego pani jej na to pozwala?

— A co ja, bezbronna stara kobieta, mogę poradzić? Od lat nie mogę z nikim swobodnie porozmawiać, nie licząc służby. Ja, właścicielka Ramaniny, stałam się w pewnym sensie więz-

niem we własnym domu. Pani Boolman doskonale to sobie obmyśliła i jeszcze udaje, że robi to w trosce o moje zdrowie. A naprawdę nie musi się niczego bać, bo nie mam żadnych krewnych prócz Jacoba Boolmana, siostrzeńca mojego zmarłego męża. To on sobie życzył, żeby Jacob odziedziczył Ramaninę. Cenił go nawet, ale to było w czasach, zanim despotyczna żona nie uczyniła z niego pożałowania godnego pantoflarza. Ukradkiem stara się korzystać z niewielu przyjemności, których mu jeszcze nie zabroniła. Kiedyś był to wesoły, uczciwy młodzieniec, może nie najzdolniejszy, ale bardzo pracowity. Przy niej stał się karykaturą mężczyzny. Stało się i co by nie powiedzieć, to on zostanie właścicielem Ramaniny. Myśl, że jego żona będzie tu rządzić, chyba nie pozwala mi spokojnie umrzeć. Bronię się przed śmiercią i żyję pewnie dlatego, by zaprotestować przeciwko zachłanności i żądzy władzy tej kobiety.

Malwina skrzyżowała ręce i bezradnie patrzyła na załamana kobietę.

— Mój Boże, że też panią spotkało takie nieszczęście! — westchnęła.

— Jak już wspomniałam, do wszystkiego można się przyzwyczaić. Warto było jednak męczyć się przez tyle lat, by spotkać teraz panią, by móc się przed nią wyżalić, popatrzeć na nią. Czuję się tak, jakbym odzyskała córkę. Odżyły we mnie matczyne uczucia. Czy pani wie, jaka jestem szczęśliwa?

Malwina ze wzruszenia pocałowała ją w rękę.

— Kochana, najdroższa pani Saalfner, czy mogłabym coś dla pani zrobić?

— Tak, moje dziecko, może mi pani pomóc. Skoro nic nie da się już zmienić, zależy mi przynajmniej na tych kilku godzinach sam na sam jak dzisiaj. Musimy obie odgrywać komedię, bo nikt nie powinien się domyślać, że cokolwiek nas łączy. W zeszłym roku w sąsiedniej Madali zamieszkał jej właściciel, doktor van der Straaten, i jego przyjaciel. Ci dwaj młodzi ludzie bardzo mi przypadli do serca i co? Myśli pani, że chociaż przez minutę pozwolono mi z nimi porozmawiać na osobności? Nie! I tak już będzie zawsze. Teraz muszę przechytryć Emmę Boolman. Będę udawała, że jest mi pani absolutnie obojętna. Nie zdradzi mnie pani?

Malwa ośmieliła się pocałować starszą panią w policzek.

— Droga pani Saalfner! Nie powinna pani stawiać takiego pytania. Pomogę, jak tylko będę mogła.

— Gdyby pani wiedziała, jak bardzo czekałam na tę chwilę, kiedy będę mogła wyrzucić z siebie cały żal, całą zgryzotę. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że spotkam w życiu osobę tak uderzająco podobną do mojej ukochanej córki, którą śmierć zabrała w kwiecie wieku. Miała zaledwie dwadzieścia lat.

— Na co córka umarła tak młodo? — spytała Malwa ze współczuciem. Kobieta poruszała drżącymi wargami, ale nie potrafiła wymówić ani słowa. Po dłuższej chwili uspokoiła się.

— Co jakiś czas wyjeżdżaliśmy z mężem i córką do Holandii na odpoczynek. Ostatni raz byliśmy tam wtedy, gdy zamówiłam dla córki ten portret. W drodze powrotnej na Sumatrę zaręczyła się z jednym z oficerów na statku, którym płynęliśmy. Uzgodniliśmy też od razu, że zwolni się on ze służby i przyjedzie do nas, do Ramaniny. Mąż ucieszył się, bo młody Holender był silny i obrotny, przy tym inteligentny, i bardzo by się przydał do pomocy na plantacji, która wciąż się rozrastała. Niestety, okazało się, że wprawdzie narzeczony naszej córki musi wrócić tym statkiem do Amsterdamu. Datę ślubu należało więc przesunąć o kilka miesięcy. Tymczasem parowiec dotarł do Padangu i uległ awarii. Zanosilo się na dłuższy postój, więc narzeczony Malwiny zaprosił nas, zwłaszcza że do Padangu nie jest znów tak daleko. Mieliśmy tam serdecznych przyjaciół, których dawno nie odwiedzaliśmy, a nade wszystko córka bardzo nalegała, żeby zobaczyć się z narzeczonym, skoro nadarzyła się taka okazja. Pojechaliśmy więc do przystani nad rzeką Musi, tam gdzie pani wysiadała z parowca, i dalej koleją przez góry do Padangu. Narzeczony Malwiny czekał już z utęsknieniem i do dziś nie zapomnę ich powitania. Byli tacy szczęśliwi... Młodzi korzystali dosłownie z każdej minuty darowanego im czasu. Codziennie wypływali na morze żaglówką. Pogoda była cudowna, bezchmurne niebo, leciutki wietrzyk... Siedzieliśmy z mężem i przyjaciółmi na hotelowym tarasie i z radością przyglądaliśmy się naszym szalejącym ze szczęścia dzieciom. Wtedy to ostatni raz widziałam moje ukochane dziecko żywe. Wypłynęli łódką daleko w morze... żagiel był ledwo widoczny... zerwał się nagle huragan... bez żadnych znaków ostrzegawczych... Na naszych oczach łódź z córką i mężczyzną, którego kochała, przewróciła się i zniknęła we wzburzonych falach. Zostali oboje pochowani w Padangu, a wraz z nimi nasze szczęście. Gdy dziesięć lat później umarł mój mąż, kazałam pochować go obok córki. Dopóki jeszcze mogłam podróżować, co roku odwiedzałam drogie mi groby, ale od wielu lat już nie mogę... Wkrótce po śmierci męża zjawili się Boolmanowie i nawet nie pytając o zgodę, osiedlili się w Ramaninie. Nie sprzeciwiłam się, bo byłam w stanie absolutnego zubożenia i nie potrafiłam znaleźć sobie miejsca na ziemi. Oczywiście, nie znałam wtedy Emmy Boolman tak, jak znam ją dzisiaj. Pewnie bym ją do razu przepędziła na cztery wiatry, ale człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego. Teraz już pani wie, jak utraciłam moją córkę. Minęło już dwadzieścia pięć lat, a ja wciąż pamiętam te straszliwe wydarzenia, jakby stało się to wczoraj.

Malwina ze łzami w oczach patrzyła na pełną rozpacz twarzy siwej damy.

— Biedna... biedna matko! — rzekła ze współczuciem.

— Tak, to naprawdę ciężki los starej, osamotnionej kobiety, na której koniec czekają niecierpliwie bezduszni krewni. Niczego im przecież nie brakuje, żyją sobie beztrosko w moim domu, a zazdroszczą mi nawet powietrza, którym oddycham. Ja jednak nie chcę być niesprawiedliwa: właściwie to tylko Emma Boolman powinna cieszyć się z mojej śmierci. Jacob jest przez nią zniewolony, Jo nie potrafiłaby chyba uknuć żadnej intrygi i robi tylko to, co każe jej matka. Alfred Meersburg to porządny człowiek. W głębi duszy jest po mojej stronie, czym od razu ściągnął na siebie nienawiść teściowej, i tylko dla świętego spokoju ustępuje jej z drogi. Oby tylko miał dość siły, aby uchronić swoje dzieci przed jadem tej jędry. Niech mu pani pomoże, drogie dziecko, i walczy wraz z nim, aby dzieci wyrosły na uczciwych ludzi. Widzę, że bardzo mądrze pani z nimi postępuje.

— Lubię dzieci i zrobię wszystko co w mojej mocy, by nauczyć je dobra.

— Oby się pani udało! Od czasu, gdy choroba przykuła mnie do tego domu, przeżywałam dni jak w letargu. Mam wrażenie, że dopiero co się obudziłam. Pani podobieństwo do mojej córki zadziało na mnie jak kubeł zimnej wody. Całymi dniami zachodzę w głowę, jak to możliwe. Nawet imię ma pani takie same, mimo że należy ono do rzadkich. I ta Nadrenia... Spośród czterech siostr tylko ja byłam brunetką. Bardzo z tego powodu kiedyś cierpiałam, bo też chciałam mieć złote włosy podobne do tych, które dawno temu nasza prababka oddała w ofierze podczas wojen napoleońskich.

Malwina poruszyła się.

— To dziwne, bo moja matka dała mi to imię na cześć jednej z praprababek, która oddała złotoblond włosy za ojczyznę.

Teraz zdziwiła się Maria Saalfner.

— A nie powiedziała nazwiska tej praprababki?

— Tak. Nazywała się Malwina Döring.

Stara kobieta oparła się o fotel i złapała za głowę.

— Döring? To przecież ja na jej cześć nazwałam Malwą swoją córkę! Tamta Malwina wyszła za kupca Redwitza i mieli dwie córki: również Malwinę i Dorette.

— Córka Dorette Redwitz była moja prababka, Malwina Schwind.

— Powoli zaczynam kojarzyć. Córka Malwiny Redwitz była moja babka, ale ona twierdziła, że nie ma żadnych krewnych.

— Mogła nie wiedzieć! Jedyny syn Malwiny Schwind, czyli mój dziadek, wyjechał do Ameryki jako młody chłopiec i słuch po nim zaginął. Matka urodziła się za oceanem i do Niemiec wróciła już jako dorosła osoba. W Nadrenii poznała mojego ojca i wyszła za niego za mąż.

Maria Saalfner była bardzo wzruszona.

— Moi krewni już wszyscy powymierali. Rodzeństwo z wyjątkiem jednej siostry straciłam, zanim jeszcze wyjechałam z mężem do Holandii. Nie wyszła ona za mąż. Zmarła krótko przed śmiercią mojej córki. Od tamtego czasu nie próbowałam nawet szukać jakichś krewnych.

— Tak samo mówiła moja matka. Jej ojciec, z którym wróciła do Nadrenii, umarł niestety wkrótce potem i zdążył mnie poznać tylko z jedną kuzynką, krewną ze strony Bertramów. Jej mąż był moim opiekunem i przez ostatnie trzy lata musiałam mieszkać w ich domu, gdyż matka umarła w rok po śmierci ojca i zostałam sama, jeszcze niepełnoletnia.

Pani Saalfner mocno uściśniła obie dłonie Malwy.

— Dziecko, czy to nie cudowne zrządzenie opatrności, że się spotkałyśmy na drugim końcu świata! Jesteśmy spokrewnione i będę ci mówić po imieniu. W nas obu płynie przecież krew Malwiny Döring. Chodź, droga Malwinko, niechże cię ucałuję!

Przytuliła ją mocno, a Malwie przypomniał się cudowny uścisk matczynych ramion.

Opowiadała odzyskanej ciotce o swoich tragicznych przeżyciach w Bawarii, o przyjaźni i pomocy doktora van der Straatena i jego uroczej małżonki.

Ani słowem nie wspomniała o Rüdigerze Lersingenie, a Maria Saalfner też dziwnym trafem nie wymówiła jego nazwiska.

— Wreszcie wróciliśmy, ciociu. Dobrze się bez nas bawiłaś? — wołała już z daleka Emma Boolman po powrocie z dożynek.

— Co ja! To przecież wy pojechaliście na zabawę — odparła starsza dama, patrząc z wyrzutem na Malwinę. Pani Boolman natychmiast zaczęła się usprawiedliwiać. Zaklinała się, że nigdy już nie zostawi ciotki Marii samej, Malwinie zaś szorstko nakazała zająć się dziećmi. One rzuciły się do nauczycielki i podniecone prześcigały się w opowiadaniu bogatych przeżyć dzisiejszego dnia, zwłaszcza o barwnym pochodzie dożynkowym.

Malwina odeszła z dziećmi do ogrodu. Dorośli zaś usiedli na werandzie i opowiadali pani Marii o znajomych spotkanych w Kambongu. Emma Boolman była wyraźnie zdenerwowana:

— Wyobraź sobie ciociu, że spotkała nas niespodzianka, i to raczej przykra. Spotkaliśmy nowego zarządcę Madali. Wiesz, kto nim został? Doktor Lersingen... I nikt nam o tym wcześniej nie powiedział. Nie rozumiem, dlaczego doktor van der Straaten zataił to przed nami. Jo i Alfred też mnie nie uprzedzili — powiedziała, rzucając piorunujące spojrzenie na córkę i zięcia.

— Skąd mieliśmy wiedzieć, że mamę to interesuje? — bronił się Alfred.

— Ty rzadko kiedy wiesz, co się wokół ciebie dzieje, Alfredzie! Wcale nie jestem zachwycona, że ten niesympatyczny człowiek zamieszkał na stałe w sąsiedztwie. Siłą rzeczy będziemy się z nim spotykać. Tego nie da się unikać.

— Dlaczego to, Emmo, mielibyśmy go unikać. Zawsze bardzo się cieszę, gdy doktor Lersingen nas odwiedza, i nie rozumiem, skąd ta opinia, że jest niesympatyczny? — zdziwiła się ciotka Maria.

Emma poczerwieniała jak burak.

— Jest arogancki, zadziera nosa, jakby był nie wiadomo kim, a potrafi tak spojrzeć, że aż nogi uginają się pode mną.

— Coś mi się wydaje, że jesteś osamotniona w swoich poglądach — rzekła spokojnie pani Maria.

— To prawda. Wszyscy znajomi bardzo szanują doktora Lersingena i ja także uważam go za człowieka pracowitego, godnego zaufania i dobrze wychowanego — Alfred Meersburg nie mógł się powstrzymać od komentarza.

Teściowa obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

— Drogi Alfredzie! Wy, mężczyźni, rzadko kiedy potraficie właściwie oceniać ludzi, zwłaszcza tej samej płci.

Jo już zamierzała stanąć w obronie męża i doktora Lersingena, ale zamilkła, czując na sobie karcące spojrzenie matki. Maria zauważyła jej zmieszanie i spytała:

— Doktor Lersingen nie mówił, dlaczego nie pokazywał się w Ramaninie cały tydzień?

— Chciał przyjść właśnie dzisiaj, ale musiał pojechać do Kambongu, gdyż nie mógł urazić swoich ludzi, którzy zaprosili go na dożynki. Na pewno wpadnie do nas w najbliższych dniach — pospieszył z odpowiedzią Jacob Boolman.

Jego żona uznała, że nadszedł czas, by zmienić temat i zaczęła mówić o Malwinie.

— Wydaje mi się, że nadaje się na nauczycielkę. Jan i Martje czepiają się jej jak rzepy. Ze sto razy wzdychali dziś ciężko, że panna Bertram nie pojechała z nimi na dożynki.

— Chyba jesteś trochę zazdrosna o nauczycielkę swoich dzieci, droga Jo? — spytała Maria, jakby ignorując poprzednią wypowiedź Emmy Boolman.

— Skądże, ciociu Mario! Na zazdrość nie mam czasu ani też talentu. Cieszę się, że dzieci polubiły pannę Bertram. Mam do niej pełne zaufanie, gdyż nie męczy dzieci nauką i pozwala im się uczyć podczas zabawy. Sama nie dałabym sobie z nimi rady. Mam co robić w obejściu, a Alfred całymi dniami przebywa na plantacjach. Przynajmniej możemy być spokojni, że dzieci są pod dobrą opieką.

— Wiedziałam, na kogo się decyduję. Moja znajomość ludzi jeszcze nigdy mnie nie zawiodła — wtrąciła Emma Boolman bardzo zadowolona z siebie.

W ciągu kilku następnych dni Malwina miała okazję do rozmowy z ciotką Marią nawet przez kilka godzin dziennie, gdyż Emma Boolman nie sprzeciwiała się niegroźnym, jej zdaniem, spotkaniom na czytanie książek.

Tymczasem obie kobiety bardzo zbliżyły się do siebie. Maria traktowała Malwinę jak cudownie odzyskaną córkę, a dziewczyna przylgnęła do starej ciotki jak do utraconej przedwcześnie matki.

Rzeczywiście, więzy krwi i wzajemne zrozumienie szybko dały o sobie znać.

Dziwne tylko, że czujna i przezorna Emma Boolman nie wpadła na trop tego tajemnego związku. Chyba dlatego, że traktowała Malwinę raczej jako służącą i nie podejrzewała, że może ona zagrozić jej planom.

W środę, po tej niedzieli, gdy Maria Saalfner i Malwina odkryły, że są krewnymi, po obiedzie wszyscy udali się na zwyczajową sjęstę.

Malwina miała wtedy kilka godzin wolnego czasu tylko dla siebie. Przebierała się wtedy w przewiewny sarong, zarzucała na ramiona kabaję i udawała się do altanki stojącej przy wejściu do ogrodu. Roztaczał się stąd przepiękny widok na całą okolicę. Czytała tu książki lub pisała listy.

Dziś jednak Malwina usiadła na werandzie przy domu i zabrała się do pisania listów. Zaczęła od Danieli. Musiała napisać przyjaciółce o wszystkim, co wydarzyło się od czasu, gdy pożegnały się na pokładzie parowca w Amsterdamie. Nie wspominała tylko ani słowem o stosunkach łączących ją z Marią Saalfner. Ciotka uprzedziła ją, że Emma Boolman nie wypuści żadnego listu, zanim go nie przeczyta. Malwa pilnowała się, żeby nie zdradzić się czymkolwiek.

Skończyła list i podeszła do balustrady. Widok był precudny. W dolinie zieleniła się dżungla poprzecinana plantacjami kawy, bawełny i ryżu. Nad nią górowały pograżone w cieniu wysokie, nagie szczyty. Na północy z daleka majaczył charakterystyczny szczyt Indrapury. Za nim leżał Padang, portowe miasto, gdzie pochowano ukochaną córkę Marii Saalfner. Dziewczyna miała szczęście umrzeć w ramionach ukochanego. Malwina myślała, że takie historie zdarzają się tylko w powieściach. Nie mogła uwierzyć, że istnieją mężczyźni zdolni kochać aż po grób. A jednak... Malwa westchnęła głęboko i przesunęła ręką po czole, jakby chciała odsunąć boleśnie powracającą myśl. Wyprostowała się i poszła do altanki w ogrodzie.

Ubrana w sarong, kabaję i plecione pantofle, zarzuciła na głowę lekką chustę i zeszła po schodach z werandy. Ledwo usiadła przy ogromnym ogrodowym płocie, zjawił się jeździec na koniu. Malwina nie zauważyła, kiedy przybył. Była odwrócona plecami do bramy i podziwiała krajobraz z drugiej strony wzgórza.

Jeździec tymczasem zsiadł przed bramą, otworzył ją bezszelestnie, puścił luzem konia, który — najwyraźniej przyzwyczajony — ruszył natychmiast do ocienionej stajni na drugim końcu dziedzińca.

Mężczyzna stał przez chwilę i rozglądał się dookoła. Był to Rüdiger Lersingen, który przybył do Ramaniny z zapowiedzianą w niedzielę wizytą.

Zobaczył w altance kobiecą postać ubraną w miejscowy strój. Był pewien, że to malajska służąca pani Saalfner.

— Hedo, dziecko, czy państwo jeszcze odpoczywają? — zawołał.

Malwina przestraszyła się i natychmiast popatrzyła w stronę bramy.

Chusta zsunęła się jej z głowy. Stali oboje patrząc na siebie jak porażeni, nie mogąc wykrztusić słowa. Dopiero po dłuższej chwili Lersingen oprzytomniał i podszedł do Malwiny.

— W dzień chyba duchy się nie ukazują... czyżby fatamorgana? Malwina Bertram! Malwa... czy to naprawdę pani, czy też mam przywidzenia? — mówił jak w transie.

Malwa, drżąc na całym ciele, oparła się o poręcz altanki i przycisnęła obie ręce do piersi.

— Mój Boże! Doktor Lersingen... skąd pan się tu wziął? — wyjąkała.

Mężczyzna odetchnął, a patrząc w jej piękną, choć pobladłą twarz, powoli opanowywał wzruszenie.

— Skąd się wziąłem? Z Madali, posiadłości mojego przyjaciela van der Straatena. A pani? Nie rozumiem, co pani robi w Ramaninie, i to w takim stroju... Prawda, w gorące dni Europejki chętnie zrzucają ciężkie suknie... Jak pani się tu znalazła?

Stopniowo i Malwa odzyskiwała spokój. Obudziła się w niej nagle urażona duma.

— Ja... ja po prostu dostałam posadę nauczycielki dzieci państwa Meersburgów — rzekła najspokojniej, jak potrafiła.

Popatrzył na nią, jakby przemówiła w obcym języku. Wyprostował się przypomniawszy sobie okoliczności, w jakich się rozstali w Niemczech.

— Przepraszam. Naturalnie, nie mam prawa pytać, jak to się stało, że trafiła pani z Lindenhof do Ramaniny.

Skrzywiła się boleśnie. Rüdiger zauważył to i zamyślił się. Co też się mogło zdarzyć?

— Mogę to panu wyjaśnić, panie doktorze. Państwo Boolman przyjechali do Hagenau z wizytą akurat wtedy, gdy mój opiekun zmarł nagle — popełnił samobójstwo — a ja znalazłam się w bardzo trudnej sytuacji finansowej. Stałam wobec konieczności zarobienia na swoje utrzymanie. Wprawdzie Dani i jej matka zaproponowały mi mieszkanie w ich domku, a doktor van der Straaten zaofiarował swoją pomoc, ja jednak nie mogłam przyjąć ani jednej, ani drugiej propozycji. Wtedy to pani Boolman zatrudniła mnie do uczenia jej wnuków. Zgodziłam się i stąd jestem w Ramaninie — odpowiedziała z wymuszonym spokojem.

Rüdiger kręcił z niedowierzaniem głową.

— Nic nie rozumiem. O ile mi wiadomo, była pani niezależna finansowo od opiekuna i dysponowała własnym majątkiem. Jak to się stało, że została pani bez grosza?

Westchnęła i popatrzyła przed siebie.

— Wuj roztrwonil cały mój majątek, spekulując na giełdzie. Zresztą swój także. Lindenhof dostał się w obce ręce, a ciotka musiała szukać schronienia u dzieci. Mnie pozostało utrzymywanie się z pracy własnych rąk.

Uczynił ruch, jakby chciał objąć Malwinę i wesprzeć, ale zaraz opuścił bezradnie ręce.

— To straszne. Bogata dziedziczka, a teraz na kiepskiej posiadzie u pani Boolman. Dla pani musiał to być straszny szok.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Dlaczego zachowuje się tak, jakby wciąż wierzył, że jest bogata? Przecież wuj wyraźnie mu napisał, że jego podopieczna nie posiada majątku, o jaki się niesłusznie ją podejrzewa. Przecież wtedy Rüdiger zrezygnował ze starań o jej rękę i spiesznie, po kryjomu uciekł z Hagenau. Odrzucił ją, bo była biedna. Ból, jaki jej wtedy sprawił, ożył na nowo. Poczerwieniała na twarzy.

— Przecież pan od dawna wie, że nie miałam żadnego majątku. Nie rozumiem, skąd teraz takie zdziwienie.

On nie wiedział, co miała na myśli.

— Cały czas byłem pewien, że pani jest bardzo bogata.

Westchnęła tylko i popatrzyła mu odważnie w twarz. Po co on jeszcze kłamie? Na usta cisnęły się jej słowa pełne pogardy, ale po co właściwie wracać do tamtej sprawy. Po to, by rozdrapywać ledwo zagojoną, piekącą ranę?

Rüdiger zauważył, że Malwina bije się z myślami i chce coś powiedzieć. Nie zdążył jednak zadać pytania, gdyż ona się odezwała:

— A więc był pan w błędzie. Teraz nie ma to już żadnego znaczenia.

Spojrzał na nią z takim niepokojem, że dziewczyna zamknęła na chwilę oczy. Po chwili usłyszała jego głos:

— Nie ma? Czy pani los może mnie nie obchodzić?

Poczerwieniała i odezwała się zdecydowanie.

— Panie doktorze, bardzo proszę, żeby przestał się pan interesować moim losem.

Rüdiger pochylił głowę.

— Przepraszam bardzo, ale wydawało mi się, że kiedyś... albo nie, o tym nie powinienem wspominać. Proszę się nie martwić, będę zachowywać dystans, jak pani sobie życzy. Porozmawiajmy o czymś obojętnym. Jak podoba się pani na Sumatrze?

Westchnęła i odpowiedziała oficjalnym tonem:

— Dziękuję. Bardzo mi się podoba. Zamierza pan zamieszkać w Madali na dłużej?

Popatrzył na nią wyraźnie załamany.

— Być może na zawsze. Hendrik powierzył mi zarządzanie Madalą, gdy musiałem wyjechać z Hagenau. Przepraszam, że nie przyjechałem wtedy do Lindenhof, by się pożegnać.

Dotknęła ręką czoła.

— Dobrze, że tak się stało. Dlaczego jednak doktor van der Straaten nie powiedział nikomu, że pan wyjechał do Madali?

— Bo go o to prosiłem. Nie chciałem, żeby pani wiedziała, dokąd wyjechałem.

Uśmiechnęła się gorzko.

— Czyżby spodziewał się pan, że po panicznej ucieczce z Hagenau będę próbowała pana odnaleźć?

Jej słowa zabrzmiały szyderczo. Patrzył na nią zaskoczony.

— Nie, od pani nie oczekiwałem już niczego. Chciałem zniknąć z pani życia na zawsze. Przypuszczałem, że gdy pani dowie się o tym, że prosiłem przyjaciela o wakujące stanowisko zarządcy plantacji, chociażby dla formy spyta pani o powód mojej decyzji. Nie chciałem pani do tego zmuszać ani też Hendrika stawiać w niezręcznej sytuacji.

Popatrzyła na niego z wyrzutem.

— I to był jedyny powód, dla którego musiał pan tak szybko wyjechać i zatrzeć za sobą ślady.

Westchnął głęboko.

— Widziałem w wyjeździe jedyny ratunek i miałem nadzieję, że przynajmniej pani to zrozumie.

— Przynajmniej co? — spytała gorzko. — Ja, panie doktorze, wszystko zrozumiałam i jest mi przykro, że musiał się pan ze mną spotkać jeszcze raz. Sądzę, że sprawiłam panu raczej niemiłą niespodziankę.

Zacisnęła mocno zęby. Czy ona zamierza drwić z jego bólu, który ze zdwojoną siłą odrodził się na nowo?

— Pozwoli pani, że nie odpowiem na te insynuacje.

Stali przez chwilę bez słowa. Rüdiger patrzył bezradnie na dziewczynę dziwnie wyglądającą w tropikalnym stroju, nie pasującym do jej złocistoblond włosów i niebieskich oczu. Nie wiedzieli, niestety, że poróżniła ich nieczysta gra i skutek czyjejś nieuczciwości cierpią teraz oboje i nie mogą pozbyć się podejrzliwości, która ich dzieli.

Malwina pierwsza zdecydowała się przerwać kłopotliwe milczenie.

— Przyszedł pan z wizytą do moich gospodarzy, panie doktorze, więc proszę się nie krępować moją obecnością.

Skrzywił się.

— Innymi słowy: mam dosyć rozmowy z panem... Właściwie sam zamierzałem odejść, ale proszę mi tylko powiedzieć, co słychać u Hendrika i jego żony. Niedawno dostałem zawiadomienie o ich ślubie, a pani widziała się z nimi jeszcze później.

Malwa wyprostowała się dumnie:

— Są bardzo szczęśliwi. Byłam w Amsterdamie w ich pięknym, starym domu. Odprawiali mnie do portu. Obiecali, że wiosną przyjadą do Madali, ale... ani słowem nie wspomnieli, że zastanę tu pana.

Mówiąc ostatnie zdanie, Malwina zamyśliła się. Przypomniała sobie zagadkowe wypowiedzi Daniela, gdy zegnała się z nią w Hagenau. Dlaczego jej wtedy nie powiedziała, że za morzem spotka Lersingena?

— Być może obawiali się, że zrezygnuje pani z wyjazdu. Jestem nawet pewien, że tak by pani zrobiła — rzekł z goryczą. Przykro mi, ale nie mogę pani obiecać, że nie będziemy się widywać. Ze względów służbowych muszę często przyjeżdżać do Ramaniny. Wyjątkowo tylko nie byłem tu w zeszłym tygodniu. Nie mogę zerwać kontaktów z panią Saalfner, a uciekać też już nie mam gdzie, skoro przyjąłem od Hendrika to odpowiedzialne stanowisko. Nie rozumiem, dlaczego nie oszczędził nam tego kłopotliwego spotkania. Jest przecież rozsądnym człowiekiem i powinien zrozumieć, że w tej sytuacji dane mi słowo już go nie obowiązywało. Mógł śmiało pani powiedzieć, że pojechałem na Sumatrę. Dziwne, że nawet w liście nie wspomniał o pani przyjeździe.

— Stało się i już nie odstanie. Oboje musimy się z tym pogodzić. Ja także podpisałam kontrakt i nie ruszę się stąd przynajmniej przez dwa lata. Żeby nie komplikować sobie nawzajem życia proponuję udawać, że znamy się tylko przelotnie.

Spojrzał na nią tak dziwnie, że aż się przelękła. Ukłonił się bardzo oficjalnie i rzekł:

— Jak pani sobie życzy, panno Bertram.

W tym momencie na werandę weszła pani Saalfner. Wsparta o laskę z zaciekawieniem popatrzyła na dwoje młodych zajętych rozmową. Malwina zauważyła ją pierwsza.

— Pani Saalfner wyszła na werandę. Muszę do niej pójść.

— Pozwoli pani, że pójdziemy razem?

Szli obok siebie przez usiany kwiatami ogród, płosząc roje różnobarwnych motyli. Pani Saalfner podeszła aż do schodów.

— Wreszcie pan sobie o nas przypomniał, drogi doktorze. Już myślałam, że droga z Madali do Ramaniny zarosła chaszczami. Jak widzę, zdążył pan już poznać pannę Bertram.

Rüdiger pocałował siwą damę w rękę z wielkim szacunkiem.

— I to dawno temu, pani Saalfner, jeszcze w Niemczech. Spędziłem całe lato u Hendrika w Hagenau, a panna Bertram mieszkała w sąsiednim dworku w Lindenhof. Jest najlepszą przyjaciółką żony Hendrika.

Maria popatrzyła z uwagą na pobladłą i drżącą twarz Malwiny i nie mniej zdenerwowanego Rüdigera.

— Och, zatem pani wiedziała, panno Bertram, że spotkacie się tu z panem Lersingenem?

— Nie, pani Saalfner, nie wiedzieliśmy o tym. Byliśmy bardzo zdziwieni spotkawszy się po przelotnej znajomości w Hagenau.

Maria zauważyła, że słowo „przelotnej” Malwina wymówiła ze szczególnym naciskiem, spuszczać przy tym oczy, co jej się dotychczas nigdy nie zdarzyło.

— Och, pan doktor Lersingen! — za ich plecami rozległ się głos Emmy Boolman. Po cichu wślizgnęła się na werandę, gdy tylko usłyszała, że ciotka Maria z kimś rozmawia.

Rüdiger przywitał się z Emmą bardzo oficjalnie i nie tak wylewnie jak z panią Saalfner, która wciąż przyglądała się bladej twarzy Malwiny.

— No, panno Bertram, czy nie czas zająć się Janem i Martje? — spytała szorstko pani Boolman. — Proszę ich ubrać i przyprowadzić tu do nas.

Malwina nie spodziewała się tak ostrego tonu.

— Przepraszam, mevrouw Boolman, zagapiłam się trochę. Rüdiger zmarszczył czoło.

— To moja wina, pani Boolman. To ja zatrzymałem pannę Bertram. Znamy się jeszcze z Hagenau i wypytywałem ją o mojego przyjaciela.

— Nie wiedziałam, że się znacie. No, niechże już pani idzie do dzieci.

Malwina ukłoniła się i szybko odeszła. Po chwili zjawił się też Alfred Meersburg i jego żona. Brakowało tylko Jacoba Boolmana.

Dzieci na pół ubrane rozrabiały w swoim pokoju.

— No, moi drodzy, dziś nie możecie mi zrobić wstydu. W odwiedziny przyszedł pan, z którym musicie rozmawiać tylko po niemiecku, bo on jest Niemcem. Pozdrówcie go pięknie: Dzień dobry, panie doktorze, a gdy was o coś spyta, odpowiedzcie grzecznie po niemiecku.

— A jak go nie zrozumiemy i nie będziemy wiedzieli, co odpowiedzieć? — martwił się Jan.

— Musicie uważnie słuchać. W razie czego pospieszę wam na ratunek. No, jesteście gotowi? Poczekajcie tu teraz na mnie pięć minut, bo ja też muszę się przebrać.

— Po co, juffrouw Malwo? W sarongu wyglądasz najładniej — rzekł Jan zadowolony, że udało mu się wtrącić komplement.

— Sarong może służyć najwyżej jako podomka i nie wypada pokazywać się w nim przy stole. Bądźcie grzeczni i nie pogniećcie ubrań. Poćwiczcie sobie niemiecki. Rozmawiajcie ze sobą, a kto zrobi najmniej błędów, zostanie królem.

Dzieci chętnie zgodziły się na tę propozycję i zaczęły prześcigać się w wymyślaniu poprawnych zdań.

Gdy Malwina wróciła przebrana w piękną białą suknię, Jan zawołał tryumfująco:

— Ja będę królem! Martje zrobiła siedem błędów, a ja tylko trzy.

Trzymając Malwę za ręce, wszyscy troje poszli na werandę, gdzie goście siedzieli już przy stole, a malajska służąca podawała zimne napoje.

Malwina cały czas czuła na sobie wzrok Rüdigera. Bezwiednie poczerwieniała, co zauważył nie tylko on, ale także pani Saalfner.

Starła się nie patrzeć w jego stronę. Siedzieli jednak naprzeciwko siebie, więc czasami natrafiała na jego smutne, pełne bólu spojrzenie. Zaniepokoiła się. Dlaczego od tego wzroku jej serce zaczyna mocniej bić?

Maria Saalfner obserwowała dyskretnie oboje młodych i nie miała wątpliwości, że coś między nimi zaszło, ale nie próbowała się dowiadywać.

Rüdiger został nie tylko na kolacji, ale także na noc. Na Sumatrze nikt nie pozwoliłby gościowi wracać do domu nocą, gdy przeróżne drapieżniki opuszczają dżunglę i wyruszają na łowy.

Malwina chcąc nie chcąc musiała spędzić w towarzystwie Rüdigera jeszcze kilka godzin. Wkrótce dzieci wciągnęły go do zabawy i jednogłośnie okrzyknęły przyjacielem. Przy okazji musiał wysłuchać hymnów pochwalnych na cześć Malwiny. Jan, siedząc na ramionach Rüdigera, w pewnym momencie zawołał poważnie:

— A ja i tak najbardziej kocham pannę Malwę!

Rüdiger popatrzył na niego i rzekł półgłosem:

— Masz zupełną rację, Janie, bo ja też.

Malwina usłyszała jednak te słowa i zarumieniła się. Wstała z krzesła i bez słowa zniknęła w hallu. Po długiej chwili wróciła na werandę z koszykiem do robótek ręcznych. Przy kolacji Rüdiger znowu siedział naprzeciwko Malwiny i ani na chwilę nie spuszczał z niej oczu. Dzieci miały dziś prawo posiedzieć dłużej z dorosłymi, ale wkrótce pani Boolman zażądała kategorycznie:

— Panno Bertram, proszę położyć dzieci do snu. Już pani nie będzie nam potrzebna.

Malwa wstała natychmiast. Z jednej strony cieszyła się, że może odejść, z drugiej czuła w sercu wielki żal. Dzieci pożegnały się z wszystkimi po kolei, ona zaś tylko ukłoniła się bez słowa.

Maria zatrzymała ją jeszcze na chwilę.

— Na pewno nie zasnę dziś od razu. Czy panna Bertram nie mogłaby poczytać mi z godzinę, o ile nie będzie potrzebna tobie, Emmo?

Pani Boolman zgodziła się:

— Oczywiście, ciociu.

— A więc, niech pani przyjdzie za jakieś pół godziny do mojego pokoju — rzekła stara kobieta, zwracając się do Malwiny.

— Przyjdę na pewno, pani Saalfner.

Dziewczyna ukłoniła się i zniknęła w hallu.

Maria zauważyła, że po wyjściu Malwiny doktor Lersingen był myślami gdzie indziej. Sama też nie zamierzała dłużej siedzieć przy stole.

— Nie będę wam przeszkadzać. Porozmawiajcie sobie spokojnie z doktorem Lersingem. Bardzo lubię leżeć w łóżku i oczekując na sen przysłuchiwać się gwarowi dochodzącemu z zewnątrz.

— Czy czuje się pani już lepiej, pani Saalfner? — spytał Rüdiger ze współczuciem, gdy całował ją serdecznie w rękę.

— Stara kobieta, panie doktorze, może cieszyć się, że nie jest z nią gorzej. Na poprawę raczej nie należy liczyć. Życzę dobrej nocy, a ponieważ wyjedzie pan zapewne o świcie, pożegnaj się już teraz. Proszę nas znowu odwiedzić.

— Jeżeli pani pozwoli, przyjadę w niedzielę, i to na cały dzień, o ile szanowni państwo nie mają nic przeciwko temu.

— Bardzo prosimy, zapraszamy — zawołali wszyscy naraz oprócz Emmy Boolman.

Maria uśmiechnęła się.

— No to usłyszał pan odpowiedź. A więc do zobaczenia w niedzielę, drogi doktorze.

Rüdiger podał starszej pani rękę i odprowadził ją do drzwi sypialni. Gdy znaleźli się daleko od pozostałych, Maria odezwała się półgłosem:

— Drogi doktorze, być może będę miała do pana prośbę, o której nikt nie powinien się dowiedzieć. Napiszę o tym w liście i podam go panu ukradkiem podczas następnej wizyty. Proszę mi obiecać, że nikomu pan o tym nie powie.

— Słowo honoru, pani Saalfner. Cokolwiek by to nie było, pozostanie między nami.

— Bardzo panu dziękuję, drogi doktorze. Jeszcze raz życzę dobrej nocy.

Starsza pani zamknęła za sobą drzwi do sypialni, a Rüdiger wrócił na werandę. Boolmanowie opowiadali o swoich wrażeniach z pobytu w Hagenau. Przy okazji Lersingen dowiedział się o tragedii w Lindenhof i weselu van der Straatena.

Czujna jak zwykle Emma Boolman zauważyła, że młody Niemiec wyraźnie ożywał się, gdy padało imię lub nazwisko nauczycielki.

16

Ona tymczasem zaprowadziła dzieci do ich pokoju. Zazwyczaj kładły się chętnie i zasypiały bez kłopotów, ale dziś zarówno Jan, jak i Martje grymasili i wymusili na opiekunce opowiedzenie jeszcze jednej bajki. Wreszcie mogła wyrwać się i pójść do sypialni ciotki Marii.

Służąca pomogła starszej pani w przebieraniu się i gdy Malwina weszła do sypialni, ciotka powitała ją już z łóżka:

— Siądź, moje dziecko, tuż obok mnie. Nie pozwolimy sobie zabrać tej chwilki na pogawędkę, ale patrz cały czas w okno, bo niewykluczone, że Emma Boolman w trosce o mnie zechce zajrzeć do mojej sypialni, oczywiście po kryjomu.

Malwina uśmiechnęła się i poprawiła poduszki starszej pani, która cały czas uważnie jej się przyglądała.

— Jesteś dziś taka blada i zmęczona, jakbyś miała jakieś zmartwienie.

Malwina zamyśliła się, po czym, patrząc przed siebie, powiedziała cicho:

— Rzeczywiście, jest mi dziś wyjątkowo ciężko na sercu, ciociu. Maria chwyciła ją za rękę.

— Czy to z powodu doktora Lersingena, moje dziecko?

Dziewczyna zaczerwieniła się.

— Proszę raczej nie pytać, ciociu — poprosiła.

— Malwinko, nie chcę wtrącać się do twoich spraw, ale obserwowałam cię i doktora i widzę, że coś wyraźnie was trapi. Jesteś mi teraz bliższa niż ktokolwiek na świecie. Kocham cię jak własną córkę i gdyby to ona siedziała tu teraz na twoim miejscu z zatroskaną miną i zalamana, to przecież nie pozwoliłabym jej odejść, zanim nie dowiedziałabym się, co ją martwi. Musiałabym wiedzieć, w czym mogę jej pomóc.

Malwa pocałowała ciotkę w rękę.

— Mnie nie możesz pomóc, ciociu... nikt nie może.

— Powiedz mi, dziecko, czy przyjechałaś do Ramaniny, żeby spotkać się z Lersingenem?

Malwa natychmiast zaprzeczyła.

— O nie! Gdybym wiedziała, że on tu jest, nigdy bym nie przyjechała.

— A ja nie poznałabym cię! Bogu dzięki, że nie wiedziałaś. Ze względu na niego gotowa byłaś zrezygnować z przyjazdu, a on patrzy na cię, jakby chciał cię nosić na rękach.

Uśmiechnęła się gorzko.

— Jesteś bardzo spostrzegawcza, ciociu, ale tym razem się mylisz. Nie wiesz po prostu, co zaszło między mną a Lersingenem. Nikomu o tym nie mówiłam, ale tobie powiem, bo ufam ci jak własnej matce.

Malwina opowiedziała, jak poznała i pokochała Rüdigera, jak mu uwierzyła, jak on poprosił wuja o jej rękę. Dokładnie powtórzyła przebieg rozmowy z opiekunem i opowiedziała o próbie, której on postanowił poddać Lersingena. Opowiedziała też o liście napisanym w jej obecności i o tym, że ona własnoręcznie dopisała, iż nic nie może poradzić i musi zgodzić się na wyznaczony przez wuja czas do namysłu. Drżącym głosem powiedziała o nagłym wyjeździe Rüdigera, gdy dowiedział się, że nie jest tą bogatą dziedziczką, za jaką ją uważał.

— Od tej chwili już więcej go nie widziałam ani też o nim nie słyszałam. Jego przyjaciel twierdził, że musiał nagle wyjechać w interesach, a ja — ni stąd, ni zowąd — spotykam go dziś na Sumatrze. Możesz sobie wyobrazić, jak ja się czułam?

Starsza pani słuchała z uwagą.

— To wprost nie do uwierzenia, moje dziecko, i zupełnie nie pasuje do doktora Lersingena. Jak on zareagował na to nieoczekiwane spotkanie?

Malwina powtórzyła dokładnie całą ich dzisiejszą rozmowę. Na koniec dodała:

— Jak widzisz, on wciąż udaje, że nie wiedział nic o tym, że nie jestem bogatą dziedziczką. Zachowuje się, jakbym to ja była wszystkiemu winna. Być może jest mu głupio ze względu na was. Nie mówmy już o tym, ciociu. To dla mnie wciąż bolesna sprawa i chciałabym o niej jak najprędzej zapomnieć.

— Dobrze, ale jedno tylko ci powiem. Nie wiem, co skłoniło Lersingena do nagłego wyjazdu, zanim jeszcze dostał twoją ostateczną odpowiedź, ale na pewno nie był to brak miłości. On kocha cię nadal. Jeżeli kiedykolwiek widziałam oczy mężczyzny prawdziwie zakochanego, to są nimi z pewnością oczy doktora Lersingena.

Malwina znowu zbladła jak ściana.

— To niemożliwe. Mylisz się, ciociu.

— Na pewno nie. On kocha cię co najmniej tak, jak ty jego.

— Ja już go nie kocham. Zapomniałam o nim.

Ciotka uśmiechnęła się.

— Moje drogie dziecko! My, kobiety z rodziny Malwy Döring, kochamy tylko raz, ale za to na całe życie. Coś mi się wydaje, że twój opiekun ograbił cię nie tylko z pieniędzy, ale też ze szczęścia. Na pewno czytałaś ten list, który on wysłał Lersingenowi?

— Tak, ciociu. Włożył go przy mnie do koperty, gdy mu go oddałam po przeczytaniu. Przy mnie też wręczył go posłańcowi.

Maria zamyśliła się: Czy nie mógł potem zawołać posłańca i zamienić listy? Ale nie powiedziała tego głośno. Spytała tylko:

— Czy nie zdarzyło się nic, co wydało ci się podejrzanym w tej całej sprawie?

Malwina zastanawiała się chwilę.

— Na pewno wujowi zależało na niedopuszczeniu do mojego ślubu z Lersingenem, bo wtedy jeszcze przed datą mojej pełnoletności, musiałby ujawnić stan mojego konta. Wiem o tym z zeznania jednej z naszych służących.

Opowiedziała o kłamstwie, do którego wuj zmusił córkę ogrodnika. Ciotka nie miała już teraz żadnych wątpliwości:

— Twój wuj nie przebierał w środkach, a wszystko co mi opowiedziałaś o doktorze Lersingenie, po prostu do niego nie pasuje. To nie ten typ człowieka. Ludzie jego pokroju nie żenią się dla pieniędzy. Stawiają na siebie i kobietę, którą kochają.

— Którą kochają... ale on mnie nie kochał — szepnęła po cichu.

Maria zamyśliła się. Dziś Malwiny nie przekona, ale zrobi wszystko, żeby sprawę wyjaśnić do końca.

— Trudno powiedzieć, czy masz rację czy też nie. To się dopiero okaże. Ciągłe mi się wydaje, że dobry Bóg wiedział, po co ściągnął cię aż tu, na Sumatrę, i on najlepiej wie, co będzie dalej. Pomówmy więc o czym innym. Wiele myślałam, jak wyrwać cię z biedy. Wiem na pewno, że muszę ci pomóc.

— Ależ ja wcale nie narzekam, ciociu. Jestem z tobą i naprawdę niczego więcej nie potrzebuję.

— Moje dni są już policzone. To się czuje, moje dziecko. Ramanina musi przejść w ręce siostrzeńca mojego męża. Mąż sobie tego życzył, a ja wielokrotnie obiecywałam Jacobowi, że spełnię wolę jego wuja. Ale oprócz posiadłości mam jeszcze sporo gotówki i wiele cennej biżuterii. W większości są to klejnoty naszej rodziny, gdyż zaledwie kilka drobiazgów dostałam w podarunku od męża. Właściwie mogę dysponować moim osobistym majątkiem, jak mi się podoba, i nikt nie powinien mieć o to pretensji. Dotyczy to także posagu, który wniosłam w gotówce. Uważam, że tę część mojego majątku powinnaś odziedziczyć ty. Zapisałam wprawdzie Jacobowi wszystko, ale nie wiedziałam wtedy, że mam także krewnych z mojej strony. Jemu i tak przypadnie ogromna większość z tego, co pozostanie po mnie. Ciebie zaś w żadnym wypadku nie zostawię z pustymi rękoma. Muszę jak najprędzej spisać nowy testament i zabezpieczyć go, by nie wpadł w ręce Emmy Boolman. Mam nadzieję, że dobry Bóg pozostawi mnie przy życiu, dopóki nie ureguluję tej sprawy. Teraz jednak czuję się już zmęczona i muszę zasnąć. Jak to dobrze, że jesteś ze mną, moja najdroższa. Potrzebuję twojej miłości. Czy wyobrażasz sobie, jak wyglądało moje życie w otoczeniu ludzi, którzy codziennie patrzyli na mnie z wyrzutem, że jeszcze żyję? Szkoda, że nie poznałyśmy się wcześniej. Moja starość byłaby o wiele weselsza, a ty też nie dręczyłabyś się zdana na łaskę twojego wuja. Taka jednak była wola boska. Teraz muszę zrobić wszystko, by ci pomóc. Nie odmawiaj mi tej przyjemności, Malwinko. Bardzo mi na tobie zależy. Idź już. Wyśpij się dobrze.

Malwina ucałowała serdecznie ciotkę i po cichu wyszła z jej sypialni.

Przez otwarte okno w swoim pokoju usłyszała głos Rüdiger'a, żegnającego się już z gospodarzami. Wyjeżdżał przed świtem i nie chciał budzić domowników.

— Do zobaczenia w niedzielę, panie doktorze — doleciał głos Jo Meersburg, a zaraz po nim odpowiedź Lersingena.

— Do zobaczenia.

17

Pierwsze promienie wschodzącego słońca rozświetlały pokój Malwiny. Dziewczyna przebudziła się i zaczęła nasłuchiwać. Za oknem usłyszała głosy rozmawiających mężczyzn. Podeszła ukradkiem. Rüdiger Lersingen stał na werandzie i witał się z Alfredem Meersburgiem.

— Mam nadzieję, że nie ze względu na mnie zerwał się pan tak wcześnie, drogi Alfredzie?

— Nie, nie, panie doktorze! Muszę doglądać prac polowych już od świtu. Wie pan, jacy są tu ludzie. Nie garną się do roboty i trzeba ich czasem trochę poganiać.

— Tak, to prawda. A zatem do zobaczenia w niedzielę.

Rüdiger rozejrzał się dookoła, jakby kogoś szukał. Malwina przestraszyła się i cofnęła w głąb sypialni. Dopiero po chwili usłyszała tętent końskich kopyt. Rüdiger odjechał.

Po wczorajszym spotkaniu z Malwiną w jego sercu na nowo odżyły wszystkie uczucia, które kilka miesięcy temu sprawiły mu tyle bólu. Dlaczego Malwa zbladła, gdy zobaczyła go niespodziewanie? Dlaczego się zdenerwowała? Skąd wreszcie tyle goryczy w jej słowach? Potraktowała go jak surowa sędzina...

Sięgnął do podręcznej torby i jeszcze raz przeczytał jedyny list, który od niej dostał. Był krótki: „Proszę się nie gniewać, ale nie mogę nic poradzić. Szczerze oddana Malwa Bertram”.

Dziwne... Czytał te słowa już setki razy, a dziś po spotkaniu z Malwiną dostrzegł w nich nagle nowe, zupełnie odmienne znaczenie. „Nie mogę nic poradzić” — przecież to brzmi, jakby nie mogła przeciwstawić się naciskowi, jaki na nią wywierano. Dlaczego nie mogła zrobić nic innego, jak tylko odrzucić jego oświadczenia? Dlatego, że nie kochała? A może ktoś ją do tego zmusił?... To opiekun napisał, że Malwina nie chce wyjść za mąż, bo nie kocha Rüdigera. Bo nie kocha?

Zacisnął mocno zęby, wspiął konia i pogalopował na południowy wschód, gdzie leżała Madala.

Na szczęście czekało go tam wiele pracy i przez cały dzień nie miał czasu myśleć o tym, co zdarzyło się wczoraj w Ramaninie. Dopiero wieczorem, będąc sam w ogromnym, pięknym domu, usiadł w swoim pokoju, zapalił papierosa i wrócił wspomnieniami do spotkania z Mal-

wina. Stała mu przed oczyma jak żywa, w obcisłym sarongu i z rozpuszczonymi złocistymi włosami. Jakże była piękna z pobladyłymi policzkami i przestraczem na twarzy! Nie mógł jej nie kochać. Kochał ją uczuciem głębszym niż przedtem. Martwił się o nią. Wiedział, że w Ramaninie, sterroryzowanej przez Emmę Boolman, dziewczyna nie będzie miała łatwego życia. Czy nie mógłby jej jakoś pomóc?

Przypomniała mu się Maria Saalfner. Bardzo szanował i cenił tę dzielną kobietę i od dawna podejrzewał, że w pewnym sensie jest ona więźniem we własnym domu. Wczoraj ona sama potwierdziła te podejrzenia. Nie wolno jej rozmawiać z kim chce i kiedy chce. Ma widocznie coś ważnego do powiedzenia i oczekuje, że on jej nie zdradzi.

Siedział, nie zapalając światła. Za oknami tubylcy zatrudnieni jako służba rozmawiali i śmiali się radośnie. W salonie obok holenderscy urzędnicy pracujący w Madali grali w karty. Chętnie przysiadłby się do ich stolika, ale dziś nie miał ochoty na zabawę, chciał zostać sam ze swoimi rozterkami.

Wiedział, że do niedzieli czas będzie dłużył się niemiłosiernie, ale żył nadzieją na ponowne spotkanie z Malwiną. Na samą tę myśl od razu poczuł się lepiej.

Maria mogła wreszcie spokojnie usiąść przy biurku. Panowie Boolman i Meersburg byli zajęci na plantacji, a pani Boolman z córką wybrały się z wizytą do znajomych, którzy mieszkali na północ od Ramaniny.

Emma miała dla nich wiadomości od krewnych z Holandii, ale nie mogła ich przekazać wcześniej, bo była bardzo zajęta. Dłużej już jednak nie wypadało zwlekać. Malwina otrzymała polecenie, żeby nie zajmowała się dziećmi, ale pomagała we wszystkim ciotce.

Ciotka zaś postanowiła wykorzystać okazję i napisać nowy testament, bo gdyby Emma Boolman była w domu, nie pozwoliłaby jej nawet wziąć pióra do ręki.

Stary dokument wciąż leżał w biurku na swoim miejscu. Emma wielokrotnie otwierała dorobionym kluczem skrytkę i sprawdzała, czy nie zniknął. Maria o tym wiedziała i musiała zrobić wszystko, żeby tamta nie zauważyła zamiany. Zaczęła od napisania nowego oświadczenia.

„Oświadczam, że sporządzony przed kilku laty w obecności siostrzeńca mojego męża, Jacoba Boolmana, i jego żony testament uznaję za nieważny, gdyż — jak się okazało — żyje jeszcze jeden członek mojej rodziny, którego w swojej ostatniej woli pominąć nie mogę.

A zatem dzisiaj, będąc w pełni władz umysłowych i fizycznych, postanawiam, co następuje:

Odziedziczoną po mężu posiadłość Ramanina wraz z żywym i martwym inwentarzem przekazuję siostrzeńcowi męża, Jacobowi Boolmanowi.

Wszystkie drogocenne przedmioty, wyszczególnione w załączonym spisie, otrzymuje moja krewna, panna Malwina Bertram, tymczasowo zatrudniona w Ramaninie jako nauczycielka. Może nimi dysponować według własnego uznania. Malwinie Bertram zapisuję także równowartość mojego posagu. Suma ta wynosi czterysta tysięcy guldenów i zostanie wypłacona z konta w Banku Holenderskim w Palembangu.

Pozostałe moje oszczędności w wysokości trzystu sześćdziesięciu tysięcy guldenów przekazuję wnukom mojego siostrzeńca, Jacoba Boolmana. Jan i Martje Meersburg otrzymają po połowie tej sumy. Do czasu ich pełnoletności zarządzaniem tą kwotą zajmie się ojciec dzieci, Alfred Meersburg. W ten sposób chcę uniezależnić tych troje od Emmy Boolman. Jestem pewna, że będą mi za to wdzięczni.

Tym samym zmieniam decyzję, którą podjęłam przed laty, i czynię to z pełnym przekonaniem. Nie życzę sobie, aby po mojej śmierci Emma Boolman zaspokajała swoją chciwość i żądzę władzy kosztem pozostałych członków rodziny. Ona nie ma najmniejszego prawa do dziedziczenia po mnie czegokolwiek. Po śmierci Jacoba Boolmana posiadłość Ramanina przypadnie obojgu wnukom, Janowi i Martje Meersburgom, a ich rodzice, Alfred i Jo, do czasu pełnoletności dzieci będą zarządzać ich majątkiem. Mają też, naturalnie, prawo do mieszkania w Ramaninie do śmierci, na co sobie zasłużyli długoletnią ciężką pracą.

Na wypadek, gdyby Emma Boolman próbowała kwestionować prawa Malwiny Bertram do spadku i uniemożliwiała odebranie należnej jej części, oświadczam, że bliźniacze podobieństwo panny Bertram do mojej tragicznie zmarłej córki wcale nie jest przypadkowe: jesteśmy spokrewnione w prostej linii. Naszym wspólnym przodkiem była pani Malwina Redwitz z domu Döring, urodzona i pochowana w Koblencji. Panna Bertram posiada dowody potwierdzające pokrewieństwo ze mną.

Mam nadzieję, że moja ostatnia wola zostanie skrupulatnie wypełniona, a wszyscy spadkobiercy bez przeszkód uzyskają należną im część.

Ramanina, 20 lutego 1922 roku.

Maria Saalfner z domu Falke".

Maria sporządziła szybko odpis testamentu i starannie odpieczętowała kopertę z napisanym przed laty dokumentem. Wyjęła go i od razu zniszczyła. Do koperty zaś włożyła odpis nowego i pieczołowicie ją zapieczętowała, po czym położyła na poprzednim miejscu.

Oryginał nowego testamentu schowała w osobnej kopercie, na której po zapieczętowaniu napisała:

„Moja ostatni wola: Do rąk pana doktora Lersingena z prośbą, aby po mojej śmierci otworzył ten list w obecności rodziny i panny Malwiny Bertram. Jego też wyznaczam na wykonawcę mojego testamentu.”

Następnie zabrała się do pisania listu do Rüdigerera.

„Drogi panie doktorze! Nie mając wyboru, pozwalam sobie obciążać pana moimi sprawami. Wraz z listem przekazuję panu opieczętowaną kopertę zawierającą mój testament. Poznałam pańską uczciwość i jestem pewna, że wykonanie ostatniej woli powierzam odpowiedniej osobie. Odpis dokumentu zostawiam w biurku, ale nie jestem przekonana, czy trafi on do rąk właściwych spadkobierców. Jeżeli moje podejrzenia okażą się nieusprawiedliwione i osoba, którą mam na myśli, nie ukradnie z biurka odpisu, gotowa jestem przeprosić ją z za grobu. Dotychczasowe jednak jej postępowanie utwierdza mnie w przekonaniu, że to robi. Dorobiła klucz do mojego biurka i wielokrotnie je przeszukiwała.

Mam także drugą prośbę: bardzo mi zależy, żeby po mojej śmierci zechciał pan zaopiekować się panną Bertram, nawet gdyby ona o to nie prosiła. Nie chcę, żeby ktokolwiek ją skrzywdził.

Jak doszło do tego, że Malwina Bertram stała się dla mnie osobą tak bliską, powie ona kiedyś panu sama, gdybym ja nie miała ku temu okazji. Chcę, żeby pan wiedział, że chętnie porozmawiałabym z panem o panie Bertram. Nalegałam bardzo, żeby mi opowiedziała o tym, co między wami zaszło, i widzę, że nie wszystko zostało wyjaśnione. Chętnie bym wam pomogła, bo nie mogę patrzeć, jak oboje cierpicie, a sprawa jest delikatna i wymaga spokojnej rozmowy. Sądzę, że godzina by wystarczyła i dlatego pana proszę o poświęcenie mi odrobiny czasu. Boolmanowie i Meersburgowie wyjeżdżają na środę i czwartek do Palembangu na zakupy i w sprawach służbowych, więc bardzo by mi zależało, żeby pan do mnie wtedy przyjechał. Mam nadzieję, że do tego czasu Bóg zachowa mnie jeszcze przy życiu. Starzy, sterani życiem ludzie przeczuwają, kiedy nadchodzi ich kres. Moje dni już są policzone, więc niech się pan nie zdziwi, gdy w niedzielę oprócz tego listu wręcę panu ukradkiem mój testament. Proszę mi wierzyć, że moja ostrożność jest uzasadniona, a o szczegółach powiem panu w środę lub w czwartek. Obym tylko doczekała! W przeciwnym razie Malwa Bertram powie panu o wszystkim.

Z poważaniem Maria Saalfner"

Maria przeczytała list jeszcze raz, złożyła kartkę i wsunęła ją do koperty. Dołączyła testament, zaadresowała trzecią kopertę do doktora Lersingena i od razu schowała do szerokiej kieszeni wszytej pod suknią, zapinanej od zewnątrz na guziki. List będzie tam czekał aż do niedzieli, gdy trafi do rąk adresata, a więc jeszcze dwa dni. W całym domu nie było właściwie innego bezpiecznego miejsca. Przed Emmą Boolman nie dało się niczego ukryć. Maria wstała i podeszła do otwartego na oścież okna balkonowego. Jej wyniosła, majestatyczna, niemal królewska postać ukazała się na werandzie, gdzie dzieci miały kolejną lekcję z Malwina. Właśnie pisały wypracowanie. Malwa zobaczywszy ciotkę wstała i rzekła:

— Piszcie sobie spokojnie dalej, a ja pójdę na chwilę do ciotki Marii. Kiedy skończycie, pobawimy się razem.

Malwina pomogła ciotce zejść po szerokich schodach i poprowadziła ją do ogrodu.

— Zrobiłaś już to, co zaplanowałaś ciociu? — spytała.

— Tak, moje dziecko. Testament jest gotów, a reszta już zależy od Boga.

Spacerowały główną aleją tam i z powrotem, aby Malwa nie straciła z oczu swoich podopiecznych, a jednocześnie mogła bez przeszkód rozmawiać z ciotką. Maria patrzyła z zachwytem.

— Mój Boże, jak długo jeszcze? — westchnęła.

— O czym myślisz, ciociu?

— Jak długo jeszcze moje oczy będą się cieszyć tym pięknym widokiem.

— Oj, jeszcze się nacieszą, ciociu. Nie chciałabyś pojechać do ojczyzny, chociażby na miesiąc?

Stara kobieta westchnęła ze smutkiem.

— Drogie dziecko, ojczyzna jest tam, gdzie ma się najbliższych. Moi są tu, na Sumatrze. Co z tego, że już w grobie. Tu jest moja ojczyzna i tu chcę zostać na zawsze. Ty jednak pewnego dnia wyjedziesz stąd i zawieziesz do Niemiec wspomnienie o ciotce Marii, której umiliłaś ostatnie dni życia i ogrzałaś ją jak gorący promyk słońca.

— Czy naprawdę, ciociu, tak myślisz?

— Tak, moje dziecko. Czuję, że są to moje ostatnie dni.

Malwa przytuliła się do niej.

— Nie zostawiaj mnie samej, ciociu! — rzekła błagalnie zdławionym głosem.

— Gdyby ktoś pytał mnie o zdanie! Ty długo nie będziesz sama.

— Co masz na myśli, ciociu?

Maria uśmiechnęła się.

— Chociażby to, że na wiosnę przyjedzie tu doktor van der Straaten i jego młoda żona. Będziesz miała więc bliską przyjaciółkę. Pozdrów ją i Hendrika i przekaż im obojgu moje najserdeczniejsze życzenia. Hendrik to bardzo porządny człowiek, a z tego co mówiłaś o Dani, ona wcale mu nie ustępuje. Szkoda, że jej nie poznam osobiście, bo nie wątpię, że gdy przyjadą na Sumatrę, ja będę już po tamtej stronie, w Padangu. Moi najbliżsi już tak długo są tam sami i czas, żebym do nich dołączyła. Patrz, jak słońce pięknie zachodzi za Indrapurę. Szczyt wygląda, jakby stał w ogniu. Co za przepiękny widok!

Stały obie przez chwilę i w milczeniu podziwiałały niezwykle zjawisko. Z zadumy wyrwał je głos Jana:

— Juffrouw Malwo, już skończyliśmy! Obiecałaś nam zabawę.

Oboje przybiegli i uczepili się rąk Malwiny.

Maria pogłaskała dzieci po głowie.

— Lubicie pannę Malwinę, co?

— Tak, ciociu, bardzo lubimy — rzekł Jan.

— Bardzo, ciociu — powtórzyła jak echo Martje.

— Ale ciocię na pewno też lubicie? — spytała Malwina.

Popatrzyli oboje na starszą panią i równocześnie skinęli główkami.

— A kogo bardziej: pannę Malwę czy mnie? — zagadnęła ich ciotka Maria.

Jan zastanawiał się przez chwilę, a potem rzekł bez mrugnięcia okiem:

— Ja bardziej kocham pannę Malwę.

— I ja też — odezwała się wierna jak echo Martje.

Stara kobieta uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Dzięki Bogu, że Emma Boolman nie zdążyła w nich zaszczepić obłudy. To dobrze, że mówicie prawdę — rzekła, zwracając się do dzieci. — Nigdy nie kłamcie.

W tym momencie przed dom zajechały bryczki zaprzężone w woły. Emma Boolman, zeszywniała po długiej podróży, wygramoliła się z trudem. Dzieci radośnie rzuciły się do Jo.

— Jeszcze na spacerze, ciociu Mario? Mam nadzieję, że nie był on zbyt forsowny. Ciągle się o ciebie boję. Co to będzie, gdy w środę i czwartek pojedziemy do Palembangu — rzekła Emma ze słodką miną.

Maria Saalfner przybrała obojętną minę.

— Jakoś sobie przecież radziłam, gdy ty i Jacob przebywaliście w Europie — rzekła spokojnie.

Emma zacisnęła usta i ze złością fuknęła na Malwę.

— Czego pani tu sterczy? Nie ma pani co robić z dziećmi?

— Chciałam odprowadzić panią Saalfner do domu — odparła zdecydowanie Malwina.

— Od tego ja tu jestem. Proszę zająć się swoimi obowiązkami.

Malwa odeszła bez słowa.

18

W niedzielę rano Rüdiger Lersingen przyjechał do Ramaniny, gdzie wszyscy przywitali go z radością. Tylko pani Boolman nie kryła swojego niezadowolenia.

Malwiny nie było jeszcze w salonie i Rüdiger, zaniepokojony, rozglądał się ukradkiem na wszystkie strony. Maria zauważyła to i rzekła:

— Dzieci zaraz przyjdą przywitać się z panem, panie doktorze. Dziś jest niedziela, więc mają dodatkową lekcję religii z panną Bertram. Gdy skończą, wszyscy zasiądziemy do śniadania.

Rüdiger ukłonił się.

— Cieszę się, pani Saalfner, że wygląda dziś pani znacznie lepiej niż poprzednio.

Staruszka uśmiechnęła się tylko i dała znak do zajmowania miejsc przy stole.

Gdy weszła Malwina z dziećmi, Maria zauważyła blask, jaki pojawił się w oczach Lersingena.

— Jeżeli on nie kocha Malwiny przynajmniej tak, jak ona jego, to ja chyba nie znam się na ludziach — pomyślała.

Śniadanie trwało dziś wyjątkowo długo, a nikt nie ruszał się od stołu, nawet gdy służące uprzątnęły naczynia.

Doktor Lersingen otrzymał list od van der Straatena, w którym informował o przyjeździe na Sumatrę pod koniec kwietnia i przesyłał serdeczne pozdrowienia dla wszystkich znajomych z Ramaniny.

— Co za nieprzyjemna osoba z żony doktora van der Straatena. Jest taka wyniosła i zarozumiała — zauważyła Emma Boolman.

— Nie powinna pani tego mówić w mojej obecności, pani Boolman. Po prostu pani nie zna tej kobiety. Ja miałem okazję poznać ją bliżej i jestem dumny, że zaliczyła mnie do grona swoich przyjaciół — odezwał się Rüdiger spokojnie, ale zdecydowanie.

Malwina popatrzyła na niego z wdzięcznością. Ona nie zdobyłaby się na odwagę i nie potrafiłaby się przeciwstawić Emmie Boolman.

Rüdiger przekazał też osobne pozdrowienia przyjaciół dla Malwiny. Podziękowała chłodno. On przypomniał sobie dokładnie słowa listu Hendrika:

„Być może masz mi za złe, że nie napisałem ci wcześniej o przyjeździe Malwiny Bertram do Ramaniny. Z pewnością już się spotkaliście, a my z żoną mamy nadzieję, że mimo wcześniejszych nieporozumień znowu jesteście sobie bliscy. Uważamy bowiem, że padliście ofiarą pomyłki, którą już na pewno wyjaśniliście. Dani gotowa jest przysiąc, że Malwina cię kocha, a ja wiem, że ty kochasz ją nad wszystko. Bylibyśmy radzi, gdybyście z Malwiną doszli do takich samych wniosków jak my.”

Słowa te dosłownie dźwięczały mu w uszach, gdy patrzył na Malwinę: „Dani gotowa jest przysiąc, że Malwina cię kocha”... Westchnął ciężko. Daniela złożyłaby więc fałszywą przysięgę, bo gdyby Malwa go kochała, nie pozwoliłaby napisać wujowi, że wyjdzie tylko za człowieka, którego obdarzy uczuciem.

Niedziela upłynęła wszystkim w bardzo pogodnym nastroju. Jedyne pani Boolman i Malwina milczały i czuły się nieswojo, choć, oczywiście, z całkiem odmiennych powodów. Emma z przykrością stwierdziła, że ciotka Maria czuje się o wiele zdrowsza i weselsza niż dawniej. Nadzieja na zostanie władczynią Ramaniny odsuwała się w nieskończoność. Malwina cierpiała zaś z powodu nieszczęśliwej miłości.

Po obiedzie biesiadnicy rozeszli się do swoich pokoi. Rüdiger wolał odbyć sjętę na werandzie, gdzie ułożył się wygodnie w bujanym fotelu.

Po chwili w domu zapanowała cisza. Maria Saalfner otworzyła przeszklone drzwi swojego gabinetu i dała ręką znak Rüdigerowi, żeby wszedł. Gdy wszedł, rozejrzała się przezornie na wszystkie strony i wyjęła z kieszeni sukni pękata kopertę.

— Proszę, niech pan ją weźmie i dobrze schowa. Proszę ją otworzyć dopiero w domu, w Madali — rzekła cicho i dała mu znak, żeby szybko wrócił na fotel.

Mężczyzna wsadził kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki i położył się na fotelu, jakby nigdy z niego nie wstawał. Przebywając od dłuższego czasu w tropikach, przyzwyczał

się już do poobiedniej drzemki, dziś jednak nie mógł zasnąć. Myślami wracał do Malwy. Popatrzył na szereg okien frontowej ściany domu. Tu gdzieś był jej pokój. Czy położyła się spać?

Zastanawiał się z kwadrans, gdy nagle usłyszał czyjeś szybkie kroki. Obejrzał się i zobaczył Malwinę schodzącą po schodkach z werandy. Ubrana była w białą sukienkę, na głowie miała wielki słomiany kapelusz. Nie zauważyła Rüdigera. Przypuszczała, że podobnie jak pozostali śpi w którymś z pokoi gościnnych.

Przeszła sprężystym krokiem do altanki przy bramie wejściowej do ogrodu, zdjęła kapelusz i usiadła w plecionym fotelu, biorąc do ręki książkę. Rüdiger obserwował ją z daleka i dopiero teraz zdecydował się podejść. Szedł powoli.

Malwa przestraszyła się, zobaczywszy go tuż przed sobą.

— Przepraszam panią. Zdaje się, że jesteśmy jedynymi, którzy nie położyli się spać, i pomyślałem, że moglibyśmy chwilę porozmawiać?

Malwina poczerwieniała, ale zaraz zbladła. Nie odrywając oczu od książki, rzekła:

— Chciałam poczytać. W inne dni na lekturę prawie nie mam czasu. Westchnął.

— O ile dobrze zrozumiałem, chciała pani powiedzieć: proszę się wynieść, nie potrzebuję pana towarzystwa — rzekł z goryczą.

Nie mogła znieść jego pełnego wyrzutu spojrzenia.

— Nie uzurpuję sobie prawa do tej altanki, panie doktorze, i nie mogę stąd pana wypędzić.

— Inaczej mówiąc: gdyby pani takie prawo miała, zrobiłaby to chętnie?

Zapatrzyła się w dal.

— Po co się zadręczać? Przecież to nie ma sensu.

— Nie ma, ale chciałem porozmawiać o naszych wspólnych przyjaciółach, Hendriku van der Straatenie i jego żonie. Jak już wspomniałem, dostałem wczoraj od nich list.

— Owszem, wspomniał pan.

— Jest w nim mowa także o pani.

— O mnie?

— Tak. Hendrik przeprasza, że nie zapobiegł pani przyjazdowi na Sumatrę, że nie uprzedził pani o moim tu pobycie. Czy pani gniewa się za to na niego?

— Z pewnością nie zrobił tego w złej wierze.

— Nie, ani on, ani też jego żona.

— Więc Daniela także wiedziała, że pan tu jest? — spytała zdziwiona.

— Tak. Hendrik powiedział jej o wszystkim.

— Dlaczego to przede mną zataiła? Oczywiście... przecież nie mogła wiedzieć... zacisnęła usta i zamilkła.

— Czego nie wiedziała? — nalegał.

Zaprzeczyła energicznie.

— Dajmy temu spokój. Porozmawiajmy o czym innym. Zostanie pan zarządcą plantacji w Madali na stałe czy tylko czasowo?

Zadumał się.

— Na pewno zostanę, dopóki Hendrik będzie mnie potrzebował. Mam okazję, by w tym czasie zrealizować swój zamiar. Nabyłem plantację, nie tak jednak piękną jak Ramanina czy Madala. Muszę rozbudować dom mieszkalny. Gdy pewnego dnia nie będę już potrzebny Hendrikowi, zajmę się własnym gospodarstwem.

Słuchała go z uwagą.

— Zatem do Niemiec już pan nie wróci?

— Z pewnością nie. Wcale nie marzę o powrocie do tego kraju.

— Ale tu, w tropikach, chyba nie można mieszkać przez całe życie. O ile wiem nie ma tu prawie Europejczyków. Czy panu wystarczy to towarzystwo?

Wzruszył ramionami.

— Rozrywek dostarczą mi książki i moje badania naukowe, no i precudna tutejsza przyroda. Za jakiś czas na pewno będzie mnie stać na podróż do Europy. Tu praktycznie niczego nie trzeba kupować, więc można zaoszczędzić trochę grosza.

Popatrzyła na niego uważnie.

— Kiedyś stawiał pan sobie wyższe wymagania. Wyprostował się, oparł o kolumnę podtrzymującą dach altanki i rzekł:

— Wyższe wymagania? O tak! Oprócz katedry na jednym z niemieckich uniwersytetów marzyło mi się szczęście osobiste. Katedrę mógłbym zdobyć bez trudu, ale ze szczęścia musiałem zrezygnować, pani przecież o tym wie.

Przestraszyła się.

— Ja?

— Tak, pani. Ale mieliśmy o tym nie mówić, skoro nie ma to sensu. Może jednak na jedno pytanie zechce mi pani odpowiedzieć: jak długo chce pani zostać w Ramaninie? O ile się zdążyłem zorientować, pani pozycja w tym domu nie jest do pozazdroszczenia.

Znowu zapatrzyła się w dal.

— Muszę być zadowolona z tego, co mam, bo przynajmniej zarobię na swoje utrzymanie. Mam nadzieję, że mnie stąd nie wyrzucą przed upływem dwuletniego kontraktu — rzekła cicho.

Zacisnął zęby. Jej słowa boleśnie go raniły.

— Chyba nie zamierza pani pracować tu, aż — powiedzmy — Jan zostanie wysłany na studia do Holandii, a Martje wydorosłeje? Straci pani młode lata i co dalej?

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

— A mam inny wybór? Podszedł do niej i stanął naprzeciw.

— Jeżeli kiedykolwiek będzie pani potrzebna moja pomoc lub rada, proszę się do mnie zwrócić. Może mi pani to obiecać?

Zrobiło mu się nagle gorąco i miał ochotę ją objąć, ale zabrakło mu odwagi. Dziewczyna podniosła dumnie głowę.

— Wolałabym nie czuć się w niczym zobowiązana wobec pana — odpowiedziała zdenerwowana.

— Aż tak mnie pani nienawidzi? A ja, dureń, uwierzyłem, że pani mnie kochała!

Zareagowała gwałtownie.

— Skończmy już tę rozmowę... i chyba lepiej będzie w przyszłości nie wracać do tego tematu. Nie spotykajmy się, wtedy unikniemy rozczarowań.

Spuściła głowę i w pośpiechu poszła do domu.

Rüdiger stał blady z bezradnie opuszczonymi rękami. Daniela van der Straaten na pewno w tej chwili już nie przysięgałaby, że Malwina go kochała. Dlaczego ona zawsze unosi się dumą, gdy rozmowa zahacza o ich plany małżeńskie? Czy sprawiłem jej wtedy przykrość? Przecież zwyczajnie poprosiłem ją o rękę. Jakim prawem ona traktuje mnie za to jak przestępcę? Na żadne z tych pytań nie potrafił znaleźć jasnej odpowiedzi.

Zamierzał wyjechać z Ramaniny nazajutrz o świcie, ale po tej rozmowie nie mógłby już ze spokojem usiąść naprzeciwko Malwy przy podwieczorku i kolacji. Sjesta tymczasem się skończyła. Rüdiger został jeszcze niecałą godzinę, potem pożegnał się i po wyczerpującym, szybkim galopie znalazł się w Madali. Tu panowała głęboka niedzielna cisza. Nikt nie przeszkadzał, więc Rüdiger mógł w spokoju przeczytać list od Marii Saalfner.

Wyjął z koperty testament i włożył go do wielkiej pancерnej kasy. Usiadł potem w fotelu i pogrążył się w myślach.

Boolmanowie i Meersburgowie wybierali się do Palembangu. Emma wezwała Malwinę i surowo jej przykazała, żeby w czasie ich nieobecności nikogo obcego nie dopuszczała do ciotki Marii.

— Chodzi o to, żeby ciotki nie denerwować, gdyż powinna mieć zupełny spokój. Pani jest odpowiedzialna, żeby jej nikt nie przeszkadzał.

Malwa ukloniła się bez słowa. Wkrótce wszyscy wyjechali i zostały z ciotką Marią same. Natychmiast opowiedziała o otrzymanym poleceniu.

— Chyba dziś i tak nikt nie przyjedzie do Ramaniny.

— Kto to wie, moje dziecko. Tak czy inaczej sama będę decydować, czy przyjąć kogoś z wizytą czy nie.

— Masz oczywiście rację, ciociu.

Obie kobiety z wielką radością korzystały z okazji do swobodnego porozmawiania. Dzieci też nie przeszkadzały, bo Malwina pozwoliła im pojechać na grzbiecie Jumba na dłuższą przejażdżkę. Jumbo był ogromnym słoniem, którego używano do ciężkich prac polowych, gdy woły okazywały się za słabe. Przewodnik słonia, człowiek bardzo rozsądny i odpowiedzialny, już nieraz zabierał Jana i Martje w pole i nigdy nic złego się dzieciom nie stało.

Minęło zaledwie pół godziny, gdy Malwina spojrzawszy w stronę bramy, aż zaniemówiła.

— O, wreszcie przybył mój oczekiwany gość — ucieszyła się staruszka.

— Oczekiwałaś doktora Lersingena?

— Tak, Malwinko. Specjalnie go zaprosiłam wiedząc, że dziś i jutro będziemy same. Muszę z nim omówić kilka ważnych spraw. Mam nadzieję, że mi nie zabronisz. Zresztą i tak jest za późno, skoro pan doktor już przyszedł.

Mężczyzna zeskoczył z konia i wbiegł szybko po schodach. Przywitał się z paniami. Maria była szczęśliwa jak nigdy dotąd.

— Dziękuję, panie doktorze, że tak prędko odpowiedział pan na moją prośbę.

— Dla pani gotów jestem zrobić wszystko, droga pani Mario.

Starsza pani zwróciła się do Malwiny, która stała obok naburmuszona:

— Drogie dziecko, zostaw nas teraz z doktorem Lersingenem i poczekaj na dzieci. Gdyby wróciły wcześniej, zrób wszystko, żeby nie widziały doktora u mnie.

— Zrobię, co będę mogła — rzekła dziewczyna i odeszła.

— Zawołam cię, jeżeli będziesz mi potrzebna — zawołała za nią Maria.

Rüdiger patrzył zdziwiony na starszą panią.

— Dziwi się pan, że mówię do Malwiny po imieniu — uśmiechnęła się.

Przedtem tego nie zauważyłem. Zdjęła z szyi łańcuszek z medalionem i otworzywszy go podsunęła Rüdigerowi przed oczy.

— Niech się pan przyjrzy temu portretowi, panie doktorze.

Pochylił się, obejrzał miniaturkę i powiedział zdziwiony.

— To Malwina Bertram... albo nie... ale co za zdumiewające podobieństwo. Kogo przedstawia?

— To portret mojej jedynej córki, która niestety nie żyje już od wielu lat.

Opowiedziała mu o spotkaniu z Malwiną i o tym, jak odnalazły wspólnych przodków. Dowiedział się też, że osobą, której mogło zależeć na zniknięciu testamentu, jest Emma Boolman. Rüdiger wysłuchał opowiadania Marii, a potem rzekł:

— Tak. Teraz rozumiem, dlaczego panna Bertram stała się pani tak bliska, ale muszę zadać jedno pytanie. Przepraszam, że się ośmielę: Dlaczego pozwala pani, żeby w tym domu traktowano ją jak służącą?

— Mój drogi doktorze. Gdybym zaczęła traktować Malwę tak, jak na to zasługuje, wkrótce dziewczyna musiałaby wyjechać z Ramaniny. Widzę, że muszę z panem rozmawiać otwarcie, bo inaczej się nie zrozumiemy. Dobrze pan schował mój testament?

— Jest w Madali, w kasie pancерnej, a klucz mam tylko ja.

Skinęła głową i zaczęła opowiadać o sobie, o Emmie Boolman, o poprzednim testamencie i o nowym, w którym zabezpieczyła przyszłość Malwiny.

— Najchętniej ustanowiłabym Malwinę jedyłą spadkobierczynią, ale nie mogę, skoro mąż zostawił mi także swój majątek. Mogę natomiast dać jej część, którą ja do małżeństwa wniosłam. Wiem, że Emma Boolman będzie temu przeciwna i zrobi wszystko, żeby uniemożliwić Malwinie odebranie należnej jej części. Bardzo pana proszę, niech pan pomoże dziewczynie walczyć o swoje prawa.

Rüdiger skłonił się.

— Oczywiście, że zrobię, co będę mógł, choć wiem, że panna Bertram może sobie tego nie życzyć.

Spojrzała na niego badawczym wzrokiem.

— W ten sposób doszliśmy do następnej sprawy, która też leży mi na sercu. Malwina szczerze opowiedziała mi o tym, co między wami zaszło. Ja mam do pana wielkie zaufanie, o czym mógł się pan przekonać przed chwilą. Pański nagły wyjazd z Hagenau wydaje mi się otoczony jakąś tajemnicą, którą chciałabym teraz z panem wyjaśnić. Nie chodzi bynajmniej o zaspokojenie ciekawości. Proszę mi szczerze powiedzieć, dlaczego pan wtedy uciekł od Malwiny?

Rüdiger słuchał z niedowierzaniem.

— Ja od niej uciekłem? Ktoś panią źle poinformował, pani Mario. Jak mógłbym od niej uciec, skoro kochałem ją nad życie? Dostałem list, gdzie oprócz niewiele znaczących słów Malwiny znalazłem wyjaśnienie jej opiekuna. Co mi pozostało? Musiałem wyjechać. Nie byłem wtedy w stanie spotkać się z Malwiną.

Maria patrzyła na jego drżącą ze zdenerwowania twarz.

— Chciałabym tę sprawę wyjaśnić do końca. Wysłuchałam Malwiny, więc muszę wysłuchać też pana. Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie?

— Proszę bardzo.

— Czy ma pan jeszcze ten list od opiekuna Malwiny?

— Tak, pani Mario. Wziąłem go i ciągle noszę przy sobie.

— Czy mogłabym go przeczytać?

Otworzył portfel i wyjął kopertę z obydwojema listami:

— Niczego nie wyrzucałem. Jest tu też kartka, którą napisała Malwa. Chce pani ją też przeczytać?

— Nie, może pan ją wyjąć.

Starsza pani sięgnęła po okulary i przeczytała list Marlitza do Lersingena.

W jej ciemnych oczach pojawił się błysk gniewu, gdy dowiedziała się o krętactwie opiekuna Malwiny. Złożyła list i wyraźnie uspokojona spytała:

— Czy mogłabym zatrzymać tę kartkę na kilka dni, doktorze? Ale niech pan nie pyta, co zamierzam z nią zrobić.

— Zgadza się. Niech pani zrobi, co uważa za słusne.

— Dziękuję panu bardzo. Podczas następnej wizyty oddam ją panu. Gdybym jednak nie dożyła do tego czasu, dam list Malwinie, żeby go panu zwróciła.

— Nie będzie mi potrzebny. Może go pani zniszczyć. Trzymałem go tylko dlatego, że był w kopercie razem z kartką od Malwiny.

Maria uśmiechnęła się.

— Mimo to zrobię wszystko, by trafił on do pana z powrotem. Wróćmy jednak do sprawy testamentu. Gdy dostanie pan wiadomość o mojej śmierci, proszę przyjechać do Ramaniny i spytać moich krewnych, czy znaleźli odpis testamentu schowany w biurku. Zobaczy pan, co odpowiedzą. Okaze się, czy miałam prorocze myśli czy nie i czy Emma Boolman do niego zagładnęła. Jeżeli to zrobiła, to na pewno zniszczyła dokument sądząc, że jest to jedyny egzemplarz. Nikt wtedy nie wiedziałby o moim pokrewieństwie z Malwiną i cały spadek przypadłby Jacobowi. W żadnym wypadku nie powinna dowiedzieć się, że w biurku jest tylko duplikat, dlatego też musi pan dobrze strzec oryginału, bo bez niego Malwina nie będzie mogła udowodnić swoich praw przed Emmą Boolman. Panu też daję pełnomocnictwo do otwarcia testamentu w obecności moich krewnych i do odczytania listu, który do pana napisałam. Chyba mogę panu zaufać i wierzyć, że zrobi pan wszystko zgodnie z moją wolą?

— Najzupełniej, pani Mario. Daję słowo honoru, że będę bronił praw panny Bertram jak swoich własnych. Cieszę się bardzo, że dzięki pani pomocy panna Malwa ma zapewnioną przyszłość. Sam nie mógłbym dla niej zrobić niczego, choćbym nawet chciał. Wiem, że ode mnie nie przyjęłaby żadnego wsparcia. Bardzo się zmartwiłem, gdy dowiedziałem się, że została bez grosza.

— Dowiedział się pan o tym dopiero tu, w Ramaninie?

— Tak. Powiedziała mi to przy pierwszym naszym spotkaniu.

Maria pokiwała głową.

— Dobry Bóg zawsze czyni dobro, to tylko my, krótkowzroczni ludzie, nie chcemy tego zauważać. A teraz, drogi doktorze, zachowam się niezbyt gościnnie. Każę panu podać szybko coś do zjedzenia i poproszę, żeby jak najprędzej pan stąd wyjechał. Dzieci mogą lada chwila wrócić, a wtedy Emma Boolman na pewno dowiedziałaby się o pańskiej wizycie. Nasz spisek zostałby natychmiast wykryty.

Rüdiger wstał i podziękował za poczęstunek. Wolał odjechać natychmiast.

— Niech się pan nie gniewa, że nie zatrzymuję. I tak już pana dość wymęczyłam — rzekła, ściskając mu mocno dłoń. Rüdiger pochylił się i pocałował ją z szacunkiem w rękę.

— To ja dziękuję za wszystko, pani Mario. Jestem dumny, że obdarzyła mnie pani tak wielkim zaufaniem.

— Zasłużył pan na nie, panie doktorze. A gdyby pan jeszcze chciał dla mnie coś zrobić, niech pan trochę podbuntuje Alfreda Meersburga, żeby nie pozwolił teściowej ciosać sobie kołków na głowie.

— Chętnie to zrobię, pani Mario.

— Dziękuję. Proszę mi jeszcze raz podać rękę. Pewnie nie doczekam już dnia, gdy odzyska pan swoje szczęście, ale proszę wtedy przypomnieć sobie o mnie i pomyśleć, że to ja uprosiłam niebiosą, by odwróciły zły los.

Spojrzał z rezygnacją w stronę altanki.

— Trudno mi uwierzyć, że kiedyś jeszcze będę szczęśliwy.

Maria uśmiechnęła się.

— Głowa do góry, mój drogi. Powodzenia i niech Bóg ci dopomoże.

20

Malwina zajrzała do gabinetu ciotki i zobaczyła ją samą. Zdziwiła się.

— Doktor Lersingen tak szybko wyjechał, ciociu?

— Tak, moja droga. Sama go o to prosiłam, bo gdyby dzieci go zobaczyły. Emma Bolman od razu by się dowiedziała, że miałam gościa. Siądź tu obok mnie, Malwinko. Chcę z tobą porozmawiać.

Malwina przysunęła fotel i usiadła obok ciotki.

— Wiesz, dziecko, z ciężkim sercem odesłałam tak szybko doktora Lersingena, bo najchętniej chciałabym jeszcze dziś zburzyć mur, który was rozdzielił. Na pewno runie on już przy waszym następnym spotkaniu, gdyż nie mam już wątpliwości, że doktor ciebie kocha. Sam mi to wyraźnie powiedział.

Malwina zbladła jak płótno.

— Trudno mi uwierzyć, ciociu Mario. Dlaczego więc wtedy uciekł bez słowa wyjaśnienia?

— Gdyż nie wiedział, że prosisz go o czas do namysłu.

Popatrzyła zdziwiona.

— Nie wiedział? Przecież wuj napisał o tym wyraźnie.

— Niestety, drogie dziecko. Wuj wplątał was w swoją nieczystą grę. Popatrz, to jest list, który wtedy wysłał Lersingenowi. Brzmi on zupełnie inaczej, niż mi opowiedziałaś. Najwyraź-

niej wuj w jakiś sposób zamienił kartki i Rüdiger otrzymał nie tę odpowiedź, którą on napisał przy tobie. Ale przeczytaj i zobacz, czy nie zmienisz zdania o nagłym wyjeździe doktora Lersingena.

Malwa wzięła drżącą ręką list, w którym opiekun w jej imieniu odrzucał oświadczyzny, gdyż jego podopieczna, nie zgadza się wyjść za człowieka, którego nie kocha.

Pobladła i zdenerwowana przeczytała też własnoręcznie dopisane wtedy zdanie. Zacisnęła mocno usta.

— Ciociu, co sobie po tym wszystkim Rüdiger o mnie pomyślał?

Maria chwyciła ją za rękę.

— Z pewnością nie miał ci tego za złe i tylko martwił się, co też nagle wpłynęło na zmianę twojej decyzji. Uwierzył po prostu, że go nie kochałaś. Nie wyprowadzałam go z błędu, bo myślę, że ty zrobisz to lepiej. Jemu też będzie łatwiej uwierzyć, gdy powiesz mu to sama. Prosiłam go tylko o pozostawienie mi tego listu, by przedstawić ci dowód, że mówię prawdę. Na pewno przyjedzie tu w niedzielę, więc oddasz mu list i wyjaśnisz, skąd wzięło się nieporozumienie.

Malwina nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Uklękła przed ciotką i wtuliła swoją bladą twarz w jej kolana.

— Ciociu, najdroższa moja ciociu! Skąd mogłam wiedzieć, że wuj posunął się do oszustwa, żeby nas rozdzielić? Co mam zrobić, żeby przekonać Rüdigera, że nie znałam treści tego fałszywego listu?

Maria pogłaskała ją po włosach,

— Wystarczy, że powiesz prawdę, moje dziecko. O resztę się nie martw. Daj mi ten list, czystą kartkę i kopertę.

Malwina wstała i podeszła do biurka. Maria wzięła papier i napisała:

„Drogi panie doktorze! Proszę spytać Malwinę, czy wiedziała o tym liście. Tym razem niech pan nie pozwoli wymknąć się szczęściu. Życzę go panu z całego serca”.

Z poważaniem Maria Saalfner.”

Włożyła obie kartki do koperty i podała ją Malwinie.

— Weź ją, dziecko, a w niedzielę postaram się, żebyś miała okazję oddać ją Rüdigerowi i porozmawiać z nim na osobności.

Malwina rozpląkała się rzewnymi łzami:

— O mój Boże! Ciociu, jak ja ci się odwdzięczę? Co by było, gdybyś mi nie pomogła. Tylko tobie zawdzięczam, że znów mogę liczyć na szczęście, choć zupełnie już w nie zwątpiłam. Mijaliśmy się z Rüdigerem nie wiedząc, że dzieli nas tylko podłe oszustwo mojego wuja.

Maria objęła Malwinę.

— Moja droga, cóż ja? Stałam się narzędziem w ręku Boga i to on sprawił, że wszystko skończyło się dobrze. Jestem pewna, że będzie czuwał nad wami dalej. Wiesz, co jeszcze powiedział mi Lersingen?

— No, powiedz — zainteresowała się.

— Bardzo się zmartwił, że nie może ci pomóc, gdyż dopiero tu, w Ramaninie, dowiedział się o tym, że straciłaś cały majątek.

— Boże, ciociu, jak ja go nienawidziłam! Gdy sobie przypomnę, co mu wtedy powiedziałam, co o nim myślałam, mam ochotę ze wstydu zapaść się pod ziemię.

— Przestań się tym martwić. Przecież nie była to twoja wina. Ciesz się, że wszystko się wyjaśniło.

Malwina przytuliła głowę do piersi Marii.

— Aż nie mogę w to uwierzyć, ciociu. Czy Rüdiger na pewno się nie obraził, że potraktowałam go tak niesprawiedliwie?

— O tym najlepiej powie ci on sam. Poczekaj do niedzieli. Mogłam zakończyć waszą sprawę już dziś, ale wolałam nie ryzykować, by sprawa się wydała przed Emmą Boolman, a wam trochę cierpliwości na pewno nie zaszkodzi.

Maria poczuła wielką ulgę, że załatwiła najważniejsze sprawy i przekazała los Malwiny w ręce Rüdigera, ale jednocześnie zauważyła, że nagle opuszczają ją siły. Wigor i energia, które bardzo zmartwiły Emmę Boolman, były najwyraźniej ostatnim wysiłkiem steranego życia organizmu.

W nocy Malwinę zbudziła służąca ciotki Marii. Starsza pani siedziała w łóżku oparta o stos poduszek i z trudem łapała oddech.

— Ciociu, co się stało? — spytała przestraszona dziewczyna.

Ciotka chwyciła ją za rękę i pociągnęła do siebie prosząc, by Malwa usiadła.

— Chcę mieć przy sobie kogoś bliskiego. Malwinko. Ja... ja czuję, że zbliża się koniec. Posiedź ze mną, jeśli nie jesteś zbyt zmęczona.

Malwina pocałowała jej rękę i odgarnęła siwe włosy opadające na czoło.

— Kochana ciociu, oczywiście, że zostanę z tobą. Na pewno atak zaraz przejdzie. Zde-nerwowałam się i musisz wypocząć.

Starsza pani uśmiechnęła się blado.

— Najważniejsze, że jesteś teraz ze mną. Wiem, że wkrótce umrę, ale wcale nie boję się śmierci. Nie chciałabym jednak być w tym momencie sama, gdyby zaś Emma Boolman zdążyła wrócić, zrób wszystko, żeby nie widziała, jak umieram. Chcę zostać tylko z tobą.

Malwina pogłaskała ciotkę po policzku.

— Ciociu, czy mogę ci w czymś pomóc? Mogę coś dla ciebie zrobić?

— Podaj mi rękę i zostań ze mną, abym do ostatniej chwili widziała twoje kochające oczy.

Obecność Malwiny najwyraźniej uspokoiła staruszkę, która po chwili zasnęła. Malwa pobiegła do swojego pokoju, ubrała się i wróciła do chorej.

Noc minęła bez żadnych sensacji. Czasami tylko oddech śpiącej stawał się chrapliwy i ciężki. Budziła się wtedy i przerażonymi oczyma rozglądała dokoła. Widząc przy sobie Malwinę uspokajała się i zasypiała znowu.

Rano dzieci zaczęły się dopytywać o swoją opiekunkę. Malwina poszła do ich pokoju i rzekła cicho.

— Dziś musicie być bardzo dzielni i grzeczni. Ciotka Maria jest chora i nie wolno jej przeszkadzać. Obiecujcie, że nie będziecie hałasować. Zjedzcie sami śniadanie, a potem usiądźcie na werandzie i napiszcie po niemiecku to opowiadanie, o którym wczoraj rozmawialiśmy.

Dzieci potraktowały poważnie swoją obietnicę i zachowywały się nadzwyczaj grzecznie.

Do południa stan zdrowia Marii Saalfner nie uległ zmianie. Drzemała. Około dwunastej obudziła się, spojrzała na Malwę szeroko otwartymi oczami i rzekła:

— Śniło mi się, że moja córka usiadła obok ciebie tu, na łóżku. Zdjęła mi łańcuszek z medalionem i założyła go tobie. Patrzysz teraz na mnie tak, jak ona przed chwilą we śnie. Zrobię to co ona, dam ci ten łańcuszek. Noś teraz ty wizerunek mojej córki. Chciałam, by włożono mi go do grobu, bo nie życzę sobie, żeby wpadł w ręce Emmy. Zostawię go jednak tobie, abyś zawsze pamiętała, że umiliłaś starej ciotce jej ostatnie dni życia.

Maria odpięła złoty łańcuszek z medalionem wysadzonym brylantami, z uśmiechem popatrzyła na wizerunek swojej córki, po czym zawiesiła go na szyi Malwiny.

— Schowaj go pod suknię, moje dziecko. Na razie Emma Boolman nie powinna go zauważyć.

Malwa pocałowała ciotkę i spełniła jej polecenie.

— Dziękuję ci z całego serca, ciociu, i nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś. Portret twojej córki będzie dla mnie zawsze świętością, bo to przecież dzięki podobieństwu do niej tak bardzo przypadłam ci do serca.

— Tak, dziecko. Noś go zawsze przy sobie, a na pewno przyniesie ci szczęście.

— Czy tamci nie wezmą mi tego za złe?

— Nikt nie ma prawa zarzucać ci czegokolwiek. Odziedziczysz po mnie całą biżuterię, a ten medalion jest jej częścią. Gdyby ktoś próbował czynić ci zarzuty, zwłaszcza Emma, poproś o pomoc doktora Lersingena.

Malwa poczerwieniała i zamierzała zmienić temat.

— Może byś coś zjadła, ciociu?

— Nie, nie, moje dziecko. Jestem taka słaba... taka słabiutka.

To powiedziawszy zasnęła.

Malwa w tym czasie zajęła się dziećmi, zaprowadziła je na obiad i położyła na popołudniową drzemkę.

Gdy wróciła do sypialni ciotki, chora wciąż spała. Służąca, która cały czas przy niej czuwała, mogła odejść. Malwina poprosiła ją, by po przebudzeniu dzieci ubrała je i wyprowadziła do ogrodu.

Sama została przy ciotce. Po pewnym czasie usłyszała Jana i Martje głośno kłócących się na werandzie. Wyszła i przypomniała im o obietnicy grzecznego zachowywania się.

— Rodzice i dziadkowie powinni lada moment wrócić. Czekaście, a gdy przyjadą, pojdźcie do bramy i powiedzcie im, że ciotka Maria jest ciężko chora i śpi. Dopilnujcie, aby jej nikt nie przeszkadzał.

Dzieci słuchały z poważnymi minami.

Malwina wróciła do chorej. Maria oddychała z wielkim trudem, coraz ciężej.

Czyżby rzeczywiście musiała już umrzeć? Dlaczego tak nagle? Czy nie można zatrzymać ulatującego życia? Malwina chciała posłać do holenderskiej stacji po lekarza, ale ciotka sprzeciwiła się.

— Na moją chorobę nie ma już żadnego lekarstwa, Malwinko — rzekła.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi i na niebie pokazała się purpurowa poświata, gdy Maria nagle otworzyła szeroko oczy.

— Malwo, widzisz tam... na niebie... tę czerwień? Moja córka przychodzi... po mnie. Woła mnie... uśmiecha się. Malwinko! Córeczko... o, moja...

Przerwała i z wyciągniętymi ramionami próbowała wstać, ale westchnąwszy głęboko, opadła na poduszki. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła w stronę okna. Umarła.

Malwina bezwiednie dotknęła jej powiek i drżącymi rękoma zamknęła zmarłej oczy. Ogarnął ją głęboki żal i poczucie bezradności. Z oczu same popłynęły łzy. Wtuliła twarz w poduszkę obok pobladłego, nieruchomego oblicza ukochanej ciotki. Świat się jej zawalił. Ocknęła się dopiero na dźwięk ostrego głosu dochodzącego od progu:

— Co to ma znaczyć? Dzieciary biegają po dworze jak opętane... Dlaczego ich pani nie pilnuje?

Malwa podniosła się i otarła łzy.

Zobaczyła Emmę Boolman stojącą w drzwiach i przyglądającą się nieruchomo leżącej ciotce. Na szczęście życzenie Marii spełniło się i Emma nie widziała jej umierającej.

Patrzyła teraz swoim węzowym wzrokiem raz na Malwinę, raz na zmarłą. Malwina położyła rękę na głowie ciotki, jakby chciała ją osłonić.

— Ona nie żyje. Zasnęła w Bogu kilka minut temu — szepnęła Malwa.

Emma bez słowa podeszła do łóżka zmarłej, sięgnęła po leżącą obok chusteczkę, rozwinęła ją i nakryła majestatycznie wyniosłą, zastygłą twarz Marii.

— Proszę stąd wyjść — warknęła na Malwinę — i zostawić mnie z ukochaną nieboszczką.

Malwa dotknęła zimnych już rąk, które zdążyła złożyć na piersi ciotki już wcześniej, i wyszła bez słowa.

Emma została przy śmiertelnym łożu sama.

— Nareszcie! — wycedziła przez zęby.

Nagle zerwała się i pobiegła do sąsiadującego z sypialnią gabinetu Marii Saalfner. Wyłuskała z pęku kluczy ten od biurka i szybko zajrzała do skrytki, którą już wielokrotnie przedtem potajemnie otwierała. Odetchnęła z ulgą na widok znajomej koperty, spokojnie leżącej na swoim miejscu. Cicho zamknęła drzwiczki, niczego dotykając. Dopiero teraz wyszła przed dom. Jacob, Meersburgowie i dzieci stali przy drzwiach wejściowych. Emma wśliznęła się między nich jak cień.

— Kochani, nasza droga ciotka Maria nie żyje. Chodźcie wszyscy do jej sypialni.

Złapała dzieci za ręce i ruszyła pierwsza. Pozostali w milczeniu pośpieszyli za nią.

Malwina wróciła do swojego pokoju. Usiadła i zaczęła nerwowo zaciskać palce. Była blada jak płótno i nie mogłaby w tej chwili zamienić z nikim ani słowa. Musiała przeżyć ten bolesny moment w samotności. Przed kilku laty była przy śmierci matki, a dziś czuła się tak, jakby te straszne chwile się powtórzyły.

Długo jednak nie nacieszyła się samotnością. Emma Boolman stanęła w drzwiach jej pokoju.

— Panno Bertram, dziś w sposób wręcz karygodny zapomina pani o swoich obowiązkach. Dzieci nieustannie przeszkadzają nam. Proszę się natychmiast nimi zająć — rzekła ostro.

— Przepraszam, pani Boolman. Zaraz zabiorę dzieci. Śmierć pani Saalfner bardzo...

Emma przerwała jej gwałtownie.

— Rozumiem, ale nas dotknęła jeszcze boleśniej, a mimo to nie możemy stać z założonymi rękami. Czy przed śmiercią pani Saalfner nie przekazała dla nas żadnej wiadomości? Była pani z nią sama, jak mi doniesiono — rzekła, patrząc przenikliwym wzrokiem na Malwinę.

— Owszem, byłam z nią sama, ale żadnej informacji dla was ciotka nie przekazała. Cały czas spała, a tuż przed śmiercią mówiła tylko o swojej zmarłej córce.

— No, dobrze. Niech się pani zajmie dziećmi.

Malwa spełniła jej polecenie jak w transie. Dzieci nie były dziś zachwycone swoją nauczycielką: była milcząca i smutna, a w oczach miała cały czas łzy.

Jeszcze tego samego dnia sprowadzono ze stacji holenderskiej lekarza, który mógł już tylko wypisać świadectwo zgonu. Następnego dnia Alfred Meersburg zawiadomił o śmierci Marii Saalfner wszystkich właścicieli okolicznych plantacji.

Jacob i Jo zajęli się ułożeniem zmarłej w zawczasu zakupionej trumnie. Maria zamówiła ją już dawno, gdyż chciała mieć pewność, że zostanie przewieziona na cmentarz w Padangu, a do przewozu koleją wymagana była specjalna trumna. Malwa również pomagała w przygotowaniu ciotki do ostatniej podróży. Tylko Emma Boolman trzymała się z daleka twierdząc, że widok nieboszczki za bardzo ją wzrusza. Za to cały czas kręciła się po domu sprawdzając, czy wszystkie rzeczy po zmarłej pozostały na swoim miejscu.

Gdy trumna była już przygotowana do transportu, Emma weszła do pokoju i spytała zdenerwowana:

— Nie zapomnieliście zdjąć ciężkiego złotego łańcuszka z medalionem wysadzonym brylantami, który ciotka zawsze nosiła? Jest bardzo drogi i nie powinien trafić do grobu.

Jo spojrzała na matkę zdziwiona.

— Ciotka nie miała żadnego łańcuszka, mamó — rzekła ze spokojem.

Emma wyraźnie się zdenerwowała.

— To gdzie, u licha, ten klejnot się podział? Wiem, że nigdy go nie zdejmowała. Jeszcze wczoraj, gdy się z nami żegnała, miała go na szyi.

W tym momencie weszła Malwina z naręczem kwiatów, które chciała włożyć ciotce do trumny. Nie słyszała, o czym rozmawiała Emma z córką i schyliła się, by położyć bukiety u stóp zmarłej i obok rąk. Kilka kwiatów spadło na ziemię i gdy Malwa je podnosiła, medalion wyślizgnął się zza dekoltu jej sukni i błysnął wyraźnie w świetle. Emma natychmiast go zauważyła i rzuciła się na dziewczynę, chcąc odebrać jej klejnot.

— Co to ma znaczyć? Skąd pani ma ten medalion? Zabrała go pani zmarłej!

Malwina to czerwieniła się, to bladła, ale szybko oprzytomniała. Schowała łańcuszek pod suknię i dumnie wyprostowana rzekła ze spokojem:

— Pomyłka, pani Boolman. Ciotka Maria sama włożyła mi ten łańcuszek z medalionem na szyję. Kazała mi go nosić, gdyż jest w nim portret jej córki.

Emma przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

— Co pani plecie? Co za bezczelność? Kto pozwolił pani nazywać naszą ciotkę po imieniu? Nie wierzę, żeby ofiarowała pani tak cenną biżuterię. Niby z jakiej racji? Bajki może pani opowiadać komu innemu. Proszę mi natychmiast oddać łańcuszek, bo pani go ukradła!

Malwa ugięła się jak uderzona obuchem. Cofnęła się, gdyż Emma próbowała sięgnąć po medalion. Z pobladłą twarzą patrzyła na obecnych, którzy mniej lub bardziej zdziwieni czekali na dalszy rozwój sytuacji. Nie była ona dla Malwy łatwa, ale dziewczyna nie zamierzała skapitulować:

— Wcale go nie ukradłam, bo ciotka Maria podarowała mi ten medalion. Pozwoliła mi też nazywać siebie po imieniu, gdyż jesteśmy spokrewnione. W medalionie jest portret córki ciotki Marii. Zobaczcie, jak jestem do niej podobna. Ciotka zauważyła to od razu, a potem razem ustaliłyśmy, że pochodzimy z tej samej rodziny, której losy rozeszły się jakieś sto lat temu.

Malwina otworzyła medalion i obeszła zaskoczonych obecnych. Jo odezwała się pierwsza.

— Rzeczywiście, mamó, ta dziewczyna z medalionu wygląda jak bliźniacza siostra panny Bertram!

— Nonsens! Nawet jeżeli jest do niej podobna, to ta bezwstydną osoba wykorzystała ten fakt i uknuła intrygę z pokrewieństwem. My jednak nie damy się nabrać. Proszę mi natychmiast oddać ten klejnot, bo sprowadzę tu policję z Palembangu.

Malwina zacisnęła medalion w dłoni i odważnie popatrzyła Emmie w oczy.

— Proszę się liczyć ze słowami, pani Boolman, bo jeszcze pani pożałuje, że mnie niewinnie oskarżyła. Wiem od ciotki Marii, że w testamencie zapisała mi nie tylko ten medalion, ale wszystkie swoje kosztowności.

Emma Boolman zaśmiała się szyderczo.

— Bezczelna kłamczucho! Oddaj mi ten łańcuszek natychmiast!

— Nie wypuszczę go z rąk. Obiecałam ciotce, że będę go zawsze nosić i zrobię wszystko, by dotrzymać słowa.

W tym momencie wszedł Alfred Meersburg. Jo szybko opowiedziała mu o całym zajściu. Nikt nie zauważył, że Emma Boolman nagle zniknęła. Alfred poprosił Malwinę, by dokładnie przedstawiła przebieg rozmowy z ciotką dotyczącej medalionu. Wyglądało na to, że jej uwierzył.

Jo Meersburg słuchała uważnie i patrząc na pobladłą twarz Malwiny, gotowa była też uwierzyć.

— Musi jednak pani przyznać, panno Bertram, że cała ta historia budzi pewne wątpliwości. Ciotka Maria ani słowem nie wspomniała o waszym pokrewieństwie. Trudno uwierzyć pani na słowo, ale skoro — jak pani wspomniała — ciotka zostawiła jakiś dokument, na pewno znajdziemy w nim dowód na to, że mówi pani prawdę.

— Jestem tego samego zdania — stwierdził Alfred Meersburg.

Malwa odetchnęła z ulgą i podziękowała obojgu, że nie potępili jej natychmiast, jak uczyniła to pani Boolman.

Ona tymczasem wkradła się do gabinetu ciotki. Ze złością otworzyła skrytkę w biurku i wyjęła kopertę z testamentem. Przyjrzała się jej dokładnie. Sklejone krawędzie wyraźnie nie przylegały ściśle do siebie. Czy było tak zawsze, czy też ktoś otworzył i ponownie zamknął kopertę?

Ogarnął ją niepokój. Zatrzasnęła drzwiczki skrytki, wsadziła dokument za dekolty i pobiegła do swojego pokoju.

Ostrożnie otworzyła kopertę, by nie naruszyć pieczęci, i wyjęła włożony tam odpis testamentu. Czytała w pośpiechu i czuła, jak robi się jej gorąco. Trzymała w ręku nowy doku-

ment, w którym Maria Saalfner odbierała jej tak upragnioną władzę nad Ramanina, a co gorsza — uzależniała ją całkowicie od dobrej woli pozostałych członków rodziny. Gdyby doszło do realizacji tego testamentu, oni niechybnie odsunęliby ją od wszystkiego.

Jęknęła boleśnie i wyprostowała się. Niesłychane! Ciotce udało się bez jej wiedzy zniszczyć poprzedni dokument i sporządzić nowy!

A co najgorsze — zdążyła przekazać tej nieznajomej ogromną część majątku, a przy okazji podkopać grunt pod jej, Emmy, nogami, skazując ją na łaskę i niełaskę rodziny.

W jej bladych oczach pojawiło się zdecydowanie, a koścista twarz spurpurowiała ze złości.

Nie, po stokroć nie! Tak nie może być. Ten testament musi zniknąć. Gdy nie będzie żadnego dokumentu, cały spadek przypadnie Jacobowi, a ta przybłęda, którą — o zgrozo — sama sprowadziła do Ramaniny, niech sobie dochodzi swoich praw! Tymczasem trzeba ją nękać podejrzewaniem, że łańcuszek z medalionem ciotce ukradła.

Drżącymi rękoma schowała testament pomiędzy bielizną i nawet nie zauważyła, że był to tylko odpis. Wyszła z pokoju i dołączyła do pozostałych.

— I co, panno Bertram, już się pani przekonała, że to kłamstwo na nic się nie zda? Czas więc przyznać, że zdjęła pani medalion z szyi nieboszczki, a potem na poczekaniu wymyśliła bajeczkę o pokrewieństwie.

Zanim jednak Malwina zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Alfred Meersburg zwrócił się do teściowej.

— Proszę cię, mamó, nie spiesz się z oskarżeniami panny Bertram o kradzież. Pokrewieństwo z ciotką Marią wydaje mi się wielce prawdopodobne i wkrótce dowiemy się, jak jest naprawdę. Co do mnie, jestem przekonany o niewinności panny Bertram.

Emma spojrzała na zięcia, jakby chciała go zetrzeć w proch. Nigdy go nie lubiła, bo nie dał się sprowadzić do roli biernego narzędzia w jej ręku, ale gdy teraz z testamentu Marii dowiedziała się, że to on otrzymał większą władzę niż ona, a do tego jeszcze broni Malwiny, wybuchnęła w niej nienawiść.

— No, jeszcze zobaczymy, czy Malwa Bertram mówi prawdę. Plecie coś o testamencie, w którym rzekomo ciotka zapisała jej biżuterię, a ja wiem na pewno, że istniał dokument, gdzie jedynym spadkobiercą był mój mąż. Oczywiście, głowy nie dam, czy ten testament jeszcze istnieje, ale wystarczy przecież przejrzeć biurko ciotki Marii. Jacobie, wczoraj wieczorem, gdy

wróciliśmy z Palembangu i zastaliśmy ciotkę nieżywą, dałam ci jej klucze do przechowania. Gdzie je masz?

Jacob wyjął pęk kluczy z kieszeni.

Nikt oczywiście nie przypuszczał, że Emma ma dorobiony kluczyk do biurka ciotki. Ona zaś, zachowując spokój, rzekła:

— No to chodźmy wszyscy do gabinetu, pani też, panno Bertram. Zaraz się okaże, czy mówiła pani prawdę. W przeciwnym razie oskarżenie o kradzież będzie w pełni uzasadnione.

Malwina szła ostatnia. Przechodząc obok trumny, dotknęła czule skrzyżowanych rąk zmarłej i z bólem spojrzała na jej bladą twarz.

Nie weszła w głąb gabinetu, a tylko stanęła z boku, tuż obok drzwi. Czuła się nieswojo. Uwierzyła ciotce na słowo i była przekonana, że zaraz dokument potwierdzi jej racje, mimo to serce biło jej jak oszalałe. Posądzenie o kradzież uraziło ją do głębi. Z niepokojem czekała na otwarcie biurka. Niestety, nie było tam niczego, co potwierdziłoby jej racje. Testament zniknął bez śladu. Malwę obleciał blady strach. Jak udowodni, że ciotka darowała jej ten klejnot, skoro sama nie napisała o tym w swojej ostatniej woli. Czuła, jak ziemia rozstępuje się pod jej nogami. Oparła się o ścianę i bezradnie patrzyła na twarze obecnych, którzy odwrócili się w jej stronę.

— Niestety, nie ma tu żadnego dokumentu, który potwierdzałby prawdziwość pani słów, panno Bertram — rzekł wyraźnie zakłopotany Alfred Meersburg.

W tej chwili na korytarzu zadudniły czyjeś energiczne kroki, a po chwili w drzwiach stanął Rüdiger Lersingen. Usłyszał ostatnie zdanie Emmy Boolman:

— I co, panno Bertram, dalej pani upiera się przy kłamstwie, czy wreszcie przyzna, że ukradła ciotce medalion?

Rüdiger patrzył ze współczuciem na obecnych, gdy nagle zobaczył bladą jak płótno Malwę, opartą bezradnie o ścianę. Bez chwili wahania podszedł do niej.

— Kto tu ośmielił się rzucić na pannę Bertram tak nikczemne podejrzenie? — spytał ostro, łamiącym się głosem.

— Ja, doktorze Lersingen. Oskarżam pannę Bertram o kradzież — odezwała się pewna swojej racji Emma.

— Będzie pani musiała je odwołać i natychmiast przeprosić pannę Malwę. Ręczę za nią swoim honorem.

— Lepiej niech pan tego nie robi i nie miesza się do spraw, które pana nie dotyczą. Panna Bertram zdjęła z szyi naszej drogiej zmarłej złoty łańcuszek z medalionem i próbuje nam wmówić, że ciotka Maria jej go podarowała.

Rüdiger patrzył Emmie prosto w oczy.

— Skoro panna Bertram tak twierdzi, mówi prawdę — rzekł zdecydowanie.

Spojrzał na Malwinę, która drżąc na całym ciele, ledwo trzymała się na nogach. Nie pytając nikogo o zgodę, wziął krzesło i podstawił go dziewczynie.

— Proszę usiąść. Jest pani bardzo zdenerwowana, ale ja jestem tu po to, żeby panią bronić.

Posadził ją na krzesło. Patrzyła na niego z wdzięcznością i najchętniej rzuciłaby mu się do stóp. Gotowa była całować go po rękach.

— Co pan tu za komedie urządza, panie doktorze? Mógłby nam pan oszczędzić popisów swojej rycerskości — rzekła rozjuszona Emma.

Rüdiger odwrócił się powoli i popatrzył na nią z pogardą. Nie odezwał się ani słowem, a zwracając się do pozostałych spytał:

— Czy szanowni państwo znaleźli już testament w biurku pani Saalfner?

— Szukaliśmy, ale żadnego dokumentu tam nie ma. A co to właściwie pana obchodzi, jeżeli można wiedzieć? — wtrąciła się szybko Emma Boolman.

Rüdiger podszedł krok do przodu i spojrzał jej prosto w oczy.

— To dziwne. Ktoś niepowołany musiał wykraść dokument z biurka, bo wiem, że był tam na pewno.

Emma zdenerwowała się, podczas gdy pozostali patrzyli na Lersingena ze zdziwieniem.

— Co pan wygaduje, doktorze? To jakaś insynuacja! Mam wrażenie, że ukartował pan jakąś grę z panną Bertram.

Rüdiger spojrzał na nią wyniośle.

— Niech pani odwoła te słowa, bo będę musiał opowiedzieć pewną historyjkę o podrobionym kluczu. Twierdzę, że osoba, która ten klucz posiada, ukradła testament pani Saalfner.

— Bezcelność! Jak pan śmie? — skrzeczała Emma Boolman. Rüdiger zamyślił się i zaczął mówić niby do siebie.

— A zatem testament, który pani Saalfner napisała 20 lutego tego roku zaginął. Dobrze, że w biurku został tylko jego odpis. Oryginał dała mi pani Maria na przechowanie, bo dobrze wiedziała, że podrobionym kluczem ktoś ciągle otwierał jej biurko i sprawdzał jego zawartość.

Mnie też wyznaczyła do otwarcia testamentu i odczytania go w obecności zainteresowanych. Proszę, niech państwo przeczytają, co napisała na zapieczętowanej kopercie. Pieczęcie są nie-naruszone.

Malwa nareszcie poczuła się lepiej i z zachwytem patrzyła na Rüdigera, pokazującego wszystkim po kolei zalakowaną kopertę.

Pani Boolman miała ochotę wyrwać mu ją z rąk i podrzeć na miejscu, ale on przezornie cofnął się o krok mówiąc:

— Ostrożnie, pani Boolman. Pieczęcie mam prawo złamać tylko ja. Zanim jednak to uczynię, proszę posłuchać, co pani Saalfner napisała mi w liście, do którego dołączyła testament. Lepiej będzie, jeżeli państwo usiądą.

Wszyscy patrzyli ze zdumieniem na spektakl, w którym kobieta, despotka gnębiąca ich całe życie, kręciła się teraz bezradnie i upokorzona nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Wreszcie opadła na podstawione jej krzesło. Patrzyła na Rüdigera swoimi węzowymi oczami, ale ich urok najwyraźniej na niego nie działał.

Począł, aż wszyscy usiedli.

Przeczytał najpierw list od Marii Saalfner i poinformował zebranych, że otrzymał go w zeszłą środę, gdy odwiedził Ramaninę. Wtedy też dowiedział się, że Malwina Bertram jest krewną starszej pani i zostanie ujęta w jej testamencie.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się ku Emmie Boolman, która spuściła wzrok i kuliła się coraz bardziej z swoim fotelu. Rüdiger przystąpił do odczytywania testamentu, z którego jasno wynikało, że Malwina mówiła prawdę. Gdy skończył, w gabinecie zapadła grobowa cisza. Lersingen odezwał się po dłuższej chwili.

— Panie Boolman, czy przyjmuje pan do wiadomości w całości treść tego testamentu? To samo pytanie kieruję też do pana, drogi Alfredzie, jako że jest pan pełnomocnikiem swoich nieletnich dzieci.

Jacob spojrział najpierw trwożliwie na swoją żonę, ale gdy zobaczył ją zdruzgotaną i zawstydzoną — popatrzył odważnie wokół siebie i rzekł:

— Uznaję i zgadzam się ze wszystkim, co postanowiła ciotka Maria.

— Ja również się zgadzam w imieniu moich dzieci. Jestem wdzięczny naszej drogiej zmarłej za to, co dla nas zrobiła. Zawsze bardzo ją szanowałem i kochałem — rzekł wzruszony Alfred.

Rüdiger powtórzył przy wszystkich, jakie ustne polecenia przekazała ciotka Alfredowi za jego pośrednictwem. Meersburg odetchnął z ulgą, wstał i uściśnął dłoń Lersingena.

— Dziękuję panu bardzo za te informacje, drogi doktorze. W tym domu działały się rzeczy, które bardzo mnie mierzily, ale nie mogłem im się przeciwstawić. Teraz, dzięki Bogu, mam wolną rękę. Mam nadzieję, że pomoże mi On wychować moje dzieci na uczciwych ludzi i chociaż w ten sposób odwdzińczyć się ciotce Marii za jej dobroć.

Emma Boolman wstała i bez słowa wyszła z gabinetu. Zdetronizowana królowa udawała się na wygnanie. Koniec snów o władzy. Maria z za grobu odniosła należne jej od dawna zwycięstwo.

Rüdiger wstał.

— Cieszę się, że przy tej smutnej okazji wyzwoliliście się wszyscy z jarzma, które nosiliście od tylu lat.

Podał wszystkim rękę. Jacob podszedł do Malwiny.

— Proszę nam wybaczyć wszystko zło, które na panią spadło w tym domu. Chciałbym je czym prędzej naprawić — rzekł, nie szukając nadzwyczajnych słów.

Malwina skinęła głową.

— Już wybaczyłam i o wszystkim zapomniałam. Teraz podeszła Jo.

— Przez ciotkę jesteśmy jakby trochę spokrewnione, panno Malwo. Mam nadzieję, że mówię także w imieniu ojca, i proszę o pozostanie w Ramaninie w charakterze naszego gościa. Myślę, że tak jak dotychczas pomoże mi pani przy dzieciach.

— Dziękuję, pani Meersburg, ale proszę dziś nie wymagać wiążących decyzji. Z pewnością nie zostawię Jana i Martje bez opieki do czasu, zanim nie znajdzie pani innej nauczycielki.

Alfred Meersburg uśmiechnął się.

— Cieszę się, panno Bertram, że nie zawiodłem się na pani, okazując jej od razu pełne zaufanie.

— To ja panu dziękuję — odpowiedziała Malwina, a zwracając się do Rüdigera rzekła:

— Naprawdę nie wiem, jak mam panu dziękować, doktorze, za to, co pan dla mnie zrobił.

— Niestety, panno Bertram, niewiele mogłem zrobić.

Westchnęła i rzekła drżącym głosem.

— Obronił pan przede wszystkim honor mojego nazwiska.

— Spełniłem tylko polecenie otrzymane od pani Saalfner. Kiedy to się stało, mogę spokojnie stąd wyjechać, mając świadomość, że ostatnia wola naszej drogiej zmarłej została spełniona.

— Niech pan zje z nami obiad, drogi doktorze. Zaraz potem nastąpi przewiezienie trumny do stacji holenderskiej. Sądzę, że zechce pan towarzyszyć ciotce w jej ostatniej podróży — rzekł Alfred Meersburg.

Rüdiger skinął głową.

— Wprawdzie gdy tylko dowiedziałem się o śmierci pani Saalfner, zostawiłem w Madali wszystko tak, jak stało, ale myślę, że poradzą tam sobie beze mnie. Chętnie zostanę z wami, jeśli pozwolicie.

W tym momencie dzieci podbiegły do okna i uradowane oznajmiły, że rozwiązały wszystkie zadania z matematyki. Malwina musiała wrócić do swoich obowiązków.

21

Malwina jeszcze raz podeszła do trumny, by popatrzeć na ukochaną ciotkę. Tym razem było to już ostatnie spojrzenie, bowiem za chwilę wieko zostało zamknięte.

Malwa odruchowo pobiegła do altanki, bo w tej smutnej chwili nie chciała z nikim rozmawiać, z nikim się widzieć.

Niestety, długo nie zostawiono jej samej. Rüdiger poszedł za nią i po chwili stanął za jej plecami.

— Panno Bertram, obiecałem pani Saalfner, że otoczę panią opieką i udzielę wszelkiej pomocy. Dlatego proszę nie traktować mojego postępowania jako natarczywości, ale muszę spytać, czy nie mógłbym pani w czymś pomóc.

Spojrzała na niego niepewnie.

— Zanim panu odpowiem, muszę i ja spełnić życzenie ciotki Marii. Prosiła mnie o oddanie panu tego listu.

Podala mu kopertę z listem Franza Marlitzza i notatką ciotki. Rüdiger przeczytał i spojrzał zdziwiony na Malwinę.

— Czy mogę spytać, co pani ma do powiedzenia na temat listu pana Marlitzza? Pani Saalfner prosiła mnie w środę, żebym jej go zostawił, ale nie powiedziała, w jakim celu. Nie rozumiem, co miała na myśli pisząc, żebym nie pozwolił tym razem wymknąć się szczęściu?

Zaczerwieniła się i nie śmiała popatrzeć mu w oczy.

— Tak, panie doktorze. Wiem, co ciotka miała na myśli. Winna jestem panu wyjaśnienie, ale najpierw chciałam przeprosić, że rzuciłam na pana niesłuszne podejrzenia. Niestety, teraz wiem, że pana krzywdziłam. List, który pan wtedy otrzymał, został napisany przez wuja bez mojej zgody i wiedzy. Przy mnie napisał zupełnie coś innego. Niezbyt się z nim zgadzałam, ale nic nie mogłam poradzić. On tymczasem zamienił list na inny, na ten, który teraz trzyma pan w ręku. Nie wiedziałam, że wuj może coś takiego zrobić, nigdy go o to nie podejrzewałam.

Patrzył z niedowierzaniem. Nagle chwycił Malwinę za rękę.

— Zatem pani nie czytała tego listu, który dostałem od Marlitza?

— Nie, skądże? Dopiero tutaj.

— Malwo? Czy to oznacza, że pani nie odrzuciła wtedy moich oświadczeń i nie wiedziała, że zrobił to wuj?

Westchnęła głęboko i popatrzyła mu w oczy.

— Nie wiedziałam — rzekła łamiącym się głosem i opowiedziała o przebiegu zdarzeń, które miały miejsce w Lindenhof. Gdy wspomniała o kłamstwie córki ogrodnika, wymuszonym przez wuja, Rüdiger zacisnął ze złości dłonie. Gdy skończyła, popatrzył na nią płonącymi ze wzruszenia oczyma i wziął ją w ramiona.

— Malwino, zatem mnie kochasz i nigdy nie odrzuciłaś moich oświadczeń?

Z oczu popłynęły jej łzy, ale uśmiechnęła się.

— O nie! Cały czas cię kochałam i nigdy nie mogłam pogodzić się z myślą, że ty mnie nie kochasz.

— Ja także cierpiałem, moja najdroższa. Wielki Boże, dlaczego do tego dopuściłeś?

Wziął rękę Malwiny i czule ją ucałował.

— Rüdigerze, Pan Bóg chciał poddać naszą miłość próbie. Jak widzisz, przeszliśmy przez nią pomyślnie. Dziś wolałabym raczej umrzeć, niż znowu ciebie stracić.

Pocałował ją w usta i patrzył z rozrzewnieniem w oczy.

Przytuleni szli powoli w stronę domu. W jadalni, gdzie przygotowano obiad, czekali już Jacob Boolman i Meersburgowie. Emma nie przyszła, tłumacząc się złym samopoczuciem. Zanim jeszcze zasiedli do stołu, Rüdiger oznajmił o swoich zaręczynach z Malwiną. Podkreślił, że swoje szczęście zawdzięczają pośrednictwu ciotki Marii.

Po obiedzie uroczysty kondukt pogrzebowy wyruszył do stacji kolejowej położonej w dolinie nad brzegiem rzeki Musi. Mężczyźni, w tym także Rüdiger Lersingen, towarzyszyli

trumnie aż do Padangu. Jo i Malwina wróciły ze stacji do Ramaniny razem ze służbą. Zastały Emmę Boolman siedzącą samotnie na werandzie i zapatrzoną przed siebie. Dzieci szalały na podwórku, a ona nawet nie zareagowała. Jo rzekła do Malwiny:

— Jest przecież moją matką i nie mogę jej tak zostawić. Muszę jej pomóc, bo i dla niej zaczyna się teraz nowy etap w życiu.

Malwina doskonale rozumiała Jo, a ponieważ nie żywiła w sercu żadnej urazy, obiecała, że pomoże pani Meersburg, jak tylko będzie mogła.

— Odprowadziłyśmy ciotkę Marię na stację, mamó — rzekła Jo, podchodząc do pani Boolman. W tym momencie podbiegły dzieci i swoim szczebiotem wypełniły pustkę wokół Emmy. Ocknęła się i uśmiechnęła. Być może w roli babci odnajdzie sens życia.

Rüdiger przyjeżdżał do Ramaniny w każdej wolnej chwili. Kilka razy zaprosił też Malwinę i Meersburgów do Madali. Cały czas rozbudowywał swój dom mieszkalny, gdyż już postanowili z Malwiną, że przez kilka lat będą mieszkać na Sumatrze. Czy później przeniosą się na stałe do Niemiec, będzie zależało od rozwoju sytuacji w ich dawnej ojczyźnie.

Pod koniec kwietnia nowy dom w Malwenau był już gotów. Wygląda jak prawdziwa szkatułka na klejnoty — powiedziała Jo Meersburg, na co Rüdiger z roziskrzonymi oczyma rzekł:

— Bo też zamierzam przechowywać w nim najszlachetniejszy kamień.

W pierwszych dniach maja do Madali przyjechał Hendrik van der Straaten ze swoją piękną żoną. Tydzień po ich przyjeździe odbył się ślub Rüdiger i Malwiny. Na prośbę Meersburgów przyjęcie weselne urządzone w Ramaninie, a zaproszono na nie wszystkich sąsiadów, nawet tych, z którymi tylko rzadko się spotykano.

Wkrótce potem młoda para w paradnym orszaku zaprzęgów przeprowadziła się do Malwenau.

Malwina szykowała się do wyjazdu w pokoju, który Rüdiger dotychczas zajmował w Madali. Wszedł tam teraz i patrząc uradowany na żonę, objął ją czule i rzekł:

— Chodź, moje szczęście z Ramaniny, uczynię cię „szczęściem z Malwenau”.

— Z tobą jestem wszędzie szczęśliwa, najdroższy — odparła, kokieteryjnie patrząc mu w oczy.

Stali tak przez chwilę, a potem długo i namiętnie się całowali.

Nadszedł jednak czas odjazdu. Życzeniom szczęścia i błogosławieństwom na nowej drodze życia nie było końca. Oni, objęci czule, ruszyli ukwieconą tropikalnymi roślinami drogą ku swojemu przeznaczeniu.



TLR